



Margaret Moore



KUSICIELKA

Prolog

Środkowa Anglia, rok 1228

Strach to twój najgorszy wróg, wyrzeknij się wszelkich ludzkich uczuć i słabostek - taką naukę wpoili chłopcu ojciec tyran i prześmiewca oraz skorzy do bitki starsi bracia. Po śmierci matki domostwo de Beauvieux stało się pozbawionym ciepła siedliskiem zgorzknienia i przemocy. Ranulf nie rozpaczał więc, kiedy jako dwunastoletniego wyrostka przegnano go precz. Nie uronił ani jednej łzy, gdy rozsierdzony rodzic smagał go batogiem, wyklinał pod niebiosa i wyzywał od najgorszych. Uciekał, lecz nie przed rękami. Wziął nogi za pas, aby wreszcie poznać smak wolności, by wyzwolić się spod władzy krewnych.

Od samego początku wiedział, co uczyni i dokąd się uda.

Pójdzie do zamku sir Leonarda de Brissy'ego i nauczy się władać mieczem. Już dawno umyślił sobie zostać rycerzem. Podróż okazała się dłuższa i o wiele bardziej męcząca, niż przypuszczał. Mimo wyczerpania, dotarwszy do celu, uniósł dumnie głowę i wyprostował mężnie ramiona.

- Wiedźcie mnie natychmiast przed oblicze mistrza Leonarda - rzekł stanowczo do zdumionych wartowników, którzy strzegli drewnianych wrót.

- Ktoś ty i co cię sprowadza? - zapytał starszy z mężczyzn, spoglądając na przybyśsza spod zmarszczonych brwi. Zmierzwiona ruda czupryna i postrzępione odzienie wskazywały na to, że ma do czynienia z biednym jak mysz kościelna ulicznikiem. Młokos nosił się wszakże niczym udzielny książę i przemawiał jak wielmoża.

- Jestem Ranulf, syn lorda Faulka de Beauvieux - oznajmił dumnie. - Przybyłem na nauki do sir Leonarda.

- Wiedz, że to nie takie proste, chłopcze. Sir Leonard sam wybiera wychowanków. Nie wystarczy zwyczajnie zażądać, by cię przyjęto.

- Ręczę, że dla mnie sir Leonard zrobi wyjątek.

Drugi ze strażników gwizdnął pod nosem.

- Takiś pewny swego, zuchwalcze?

- Powiadam wam, zwę się Ranulf de Beauvieux i chcę mówić z mistrzem de Brissym. Przeszedłem... to jest... przebyłem szmat drogi, aby się z nim zobaczyć.

Choć Ranulf wciąż usiłował zachować pozory śmiałości, powoli opadała go desperacja. Czyżby wędrował w nieskończoność na próżno? Kradł jedło i sypiał pod gołym niebem, żeby teraz odejść z kwitkiem?

- Przyszedłeś piechotą? - Młodszy wartownik spojrzał na niego z niejakim podziwem. - Pochodzisz z daleka, jak mniemam?

- Wytlumaczę się przed sir Leonardem, nie przed tobą.

- A z czegoż to będziesz mi się tłumaczył, młodzieńcze? - rozległ się raptem szorstki męski głos.

Strażnicy wyprostowali się jak na komendę. Ranulf przyjrzał się z uwagą wysokiemu, siwowłosemu mężczyźnie, który zmierzał ku nim różnym krokiem. Miał na sobie kolczugę oraz czarną tunikę. Ogorzałe oblicze szpeciło kilka blizn, a przenikliwe błękitne oczy wpatrywały się w chłopca, jakby próbowały zajrzeć w głąb jego duszy. Ranulf odgadł, że za chwilę stanie przed mistrzem Leonardem. Uzmysłowił sobie, że jeżeli de Brissy wyczuje w nim choćby cień fałszu, odprawi go bez wahania. Musi zatem powiedzieć prawdę. W przeciwnym razie nie nauczy się walczyć i nigdy nie zostanie wojownikiem.

Skłonił się i rzekł:

- Sir Leonardzie, jestem Ranulf, syn lorda Faulka de Beauvieux. Pokornie proszę, panie, byś przyjął mnie do swego domu i wyuczył wojennego rzemiosła.

- Słyszałem to i owo o twoim ojcu - odparł chłodno de Brissy.

Stary de Beauvieux znany był z bezprzykładnego okrucieństwa oraz skłonności do pijaństwa. Młodzik odziedziczył po zapalczywym rodzicu nie tylko ostre rysy, lecz także smukłą posturę i wyniosłą postawę. Ryża czupryna i zielonobrazowe oczy wyrostka zmiękczyły serce starego rycerza. Przypominały mu matkę chłopca, piękną i łagodną niewiastę, której nie widział od z górą dwudziestu lat. W przeciwieństwie do syna brakowało jej uporu i determinacji. Gdyby była nieco mniej uległa, być może zdołałaby uniknąć skojarzonego przez rodziców małżeństwa.

Tak czy owak młodzik z miejsca mu się spodobał. De Brissy wyczuwał w nim zapal i niezłomną siłę woli. Chłopak posiadał również niezwykłą dla tak młodego wieku umiejętność panowania nad własnymi emocjami. Leonard widywał podobny hart ducha jedynie u gruntownie wyszkolonych i zaprawionych w bojach rycerzy. Tak, instykt go nie myli, uznał. Młokos wyjdzie na ludzi. Dla jednych będzie nieocenionym sprzymierzeńcem, dla innych nieprzejednanym przeciwnikiem. Biada tym, którzy znajdą w nim wroga.

- Znałem ongiś twoją matkę - odezwał się przyjaźnie. - Wezmę cię pod swój dach przez wzgląd na nią, Ranulfie de Beauvieux.

Niewysłowiona ulga niemal odebrała młodzieńcowi mowę, uznał wszakże, że już na wstępie wypada mu poruszyć pewną istotną kwestię.

- Nie jestem i nie będę jednym z Beauvieux. Ojciec przepędził mnie z domu. Nie chcę więcej oglądać ani jego, ani braci.

- A czemuż to zostałeś wygnany?

- Wyznam ci wszystko jak na spowiedzi, panie, ale na osobności. Wolałbym, aby rodzinne swary nie stały się pożywką dla plotek.

Sir Leonard nie skwitował jego życzenia śmiechem ani nie poczuł się urażony.

- Skoro tak - rzekł - pójdź za mną, chłopcze. Coś mi się zdaje, że mamy sporo do omówienia.

Rozdział pierwszy

Kornwalia, rok 1244

Pan na zamku Tregellas niespokojnie wiercił się na dębowym krześle.

- Na rany Chrystusa, czemuż to tyle trwa? - wymamrotał pod nosem.

Lord Merrick był mężem z natury statecznym i nad wyraz powściągliwym. Dziś jednak rozsądek i opanowanie całkowicie go opuściły. Nie bez przyczyny, ma się rozumieć. Umiłowana małżonka jego lordowskiej mości od rana cierpiała katusze, wydając na świat pierwszego potomka. Jak to zwykle w takich razach bywa, wszystkich domowników dopadła nerwowa gorączka. Służba stąpała na palcach, nie śmiejąc wyrzec słowa, nawet psy leżały nieruchomo na matach przykrywających podłogę. Jedyne rudowłosego towarzysza przyszłego ojca sprawiał wrażenie kompletnie nieporuszonego. Pogładziwszy brodę, skosztował wina i zauważył rzeczowym tonem:

- Ponoć bywa, że schodzi się dwa, a nawet trzy dni.

Lord Merrick łypnął na niego spod przymrużonych powiek.

- Też mi pociecha, słowo daję!

Wargi Ranulfa wykrzywiły się w krzywym uśmiechu.

- Sądziłem, że moje słowa natchną cię otuchą. - Usłyszawszy w odpowiedzi urągliwe prychnięcie, westchnął i dodał pojednawczo: - Powiadam ci, drogi przyjacielu, tam na górze wszystko pójdzie jak z płatka. Zdaje nam się, że czekamy całą wieczność, ale śmiem twierdzić, że twojej Constance czas wlecze się o wiele bardziej. Długi połówg to nic nadzwyczajnego, zwłaszcza za pierwszym razem. Po cóż rwać włosy z głowy na zapas? Bądź cierpliwy. Dam sobie rękę odjąć, że ani matce, ani dziecięciu nie grozi nic złego.

- Myślałby kto, żeś taki znawca - obruszył się podenerwowany małżonek. - Co ty tam możesz wiedzieć o babskich... przypadłościach.

- Słusznie prawisz - odparł stoicko de Beauvieux. Opryskliwość kompana nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia, jako że dawno do niej przywykł. - Nie wyznaję się na tych sprawach, ale swój rozum mam. Podpowiada mi, że nie ma czym się trwożyć.

Gdyby, Boże uchowaj, coś było nie tak, akuszerka posłałaby po ciebie i kazałaby sprowadzić księdza. Ani chybi wyprosiłaby też z komnaty lady Beatrice.

Choć nie wypadało mu powiedzieć tego na głos, uważał, że Bea nie powinna towarzyszyć kuzynce w takiej chwili. Oglądanie narodzin, to, jak sądził, niezbyt przyjemny widok, poza tym obecność dziarskiej i nieprzewidywalnej młódki nierzadko bywała uciążliwa. Bea gotowa zagadać krewniaczkę na śmierć. Gdyby sam cierpiał na łożu boleści, raczej nie chciałby, aby skakała wokół posłania, racząc go bez ustanku najnowszymi plotkami, albo, co gorsza, niezliczonymi opowieściami o królu Arturze i rycerzach okrągłego stołu.

- Constance pragnęła mieć ją przy sobie - wyjaśnił gospodarz, jakby czytał w myślach Ranulfa. - Są dla siebie jak siostry.

Nie trzeba mu było o tym przypominać. Ranulf doskonale wiedział, że Beatrice znalazła schronienie tylko dzięki nadzwyczajnej zażyłości z lady Tregellas. Gdy ojca ścięto za zdradę stanu, Beę pozbawiono majątku i pozycji. Pozostał jej jedynie tytuł, który również by jej odebrano, gdyby mąż kuzynki nie wstawił się za nią u księcia Kornwalii.

- Nie zniosę dłużej tej bezczynności - zaczął Merrick, poderwawszy się z miejsca. - Idę. - Przystanął w pół kroku, kiedy raptem otworzyły się drzwi i w progu stanął nieznanym de Beauvieux mężczyzna. Przybysz miał przemoczone do suchej nitki odzienie, a jego pierś wznosiła się i opadała w urywanym oddechu.

- Panie! - zawołał, przemierzając pospiesznie westybul.

- To Myghal, przyboczny szeryfa Penterwell, jednego z pomniejszych majątków - wyjaśnił Merrick.

- Przynoszę złe wieści, panie - oznajmił Myghal, potwierdzając domysły de Beauvieux. - Sir Frioc nie żyje - dodał zwięźle.

Frioc był tęgim jegomościem o szlachetnym sercu i łagodnym usposobieniu. Lord Tregellas uczynił go kasztelanem wkrótce po przejęciu schedy po zmarłym ojcu.

- Jak do tego doszło? - spytał Merrick.

Jego twarz pozostała jak zwykle niewzruszona, lecz Ranulf usłyszał w głosie przyjaciela szczere zatroskanie.

- Nieszczęśliwy upadek na łowach, wasza lordowska mość. Sir Frioc ścigał zająca. Straciliśmy go na moment z oczu, a kiedyśmy go odnaleźli, leżał bez życia na wrzosowisku ze skręconym karkiem. Okulały koń błąkał się nieopodal. Hedyn sądzi, że zwierzę się potknął i zrzucił jeźdźca z siodła.

Hedyn pełnił funkcję szeryfa Penterwell jeszcze za czasów poprzedniego feudała. Merrick uznał go za męża godnego zaufania i pozostawił na urzędzie po odziedziczeniu władzy po swym świętej pamięci rodzicu.

Myghal sięgnął za pazuchę i wyjął skórzaną sakiewkę.

- Mam pismo od szeryfa dla waszej lordowskiej mości.

- Idź do kuchni, niech cię nakarmią i napoją. - Tregellas wyjął list i złamał pieczęć.

- Każę przygotować dla ciebie izbę na nocleg.

Po wyjściu posłańca zerknął w stronę schodów wiodących do alkierza, po czym zasiadł na ławie i odczytał wiadomość. De Beauvieux starał się nie okazywać zniecierpliwienia. Dopił wino i odstawił na bok puchar. Wyczekiwał kolejnych słów towarzysza, lecz ten milczał jak zaklęty, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w zdobiący ścianę gobelin.

- Szkoda Frioca - zagaił ostrożnie Ranulf. - Zaczny był z niego człek.

Merrick kiwnął milcząco głową i znów spojrzał w górę. Jego myśli nieustannie biegły ku żonie.

- Szczęście, że nie pozostawił po sobie wdowy ani potomstwa. O ile mnie pamięć nie myli, nie miał synów, którzy zechcieliby uzurpować sobie prawo do przejęcia jego stanowiska. Zresztą, tobie przypada w udziale przywilej mianowania nowego kasztelana, no nie?

Merrick wsunął pismo do kieszeni tuniki.

- Nie inaczej.

- Zdecydowałeś już, na kogo spadnie ten zaszczyt?

- Owszem. Potrzebuję kogoś lojalnego, całkowicie godnego zaufania. Dlatego też postanowiłem powierzyć kasztelanię tobie.

Ranulf nie miał ochoty brać na barki tak wielkiej odpowiedzialności. Na cóż mu nowe zobowiązania? Wystarczy przysięga wierności, którą złożył pobratymcom oraz monarsze.

Roześmiał się z przymusem, aby ukryć zmieszanie.

- Wdzięczny ci jestem, żeś o mnie pomyślał, ale prawdę rzekłszy, wolałbym jak najszybciej opuścić Kornwalię. Pomnij na to, że zatrzymałem się w tych stronach przejazdem. Miałem dowodzić tutejszą chorągwią tylko przez pewien czas.

- Tak czy inaczej, zasłużyłeś na to, by objąć urząd na zamku.

Schlebiało mu, że Merrick ma o nim tak wysokie mniemanie, niemniej całą swą istotą burzył się przeciw temu, by przyjąć darowaną funkcję. Dary mają to do siebie, że mogą zostać odebrane, a Ranulf niczego nie lękał się tak bardzo, jak poczucia straty. Nie zniósłby, gdyby spotkało go kolejne niepowodzenie, a jego słabość wyszła na jaw. Skłonił uprzejmie głowę i rzekł:

- Jeszcze raz z serca ci dziękuję, obawiam się wszakże, iż Penterwell leży nazbyt blisko morza. Wilgoć mogłaby okazać się zgubna dla moich nie najmłodszych kości. Już teraz łupie mnie w krzyżu, gdy zbiera się na deszcz.

Lord Tregellas obrzucił go przenikliwym spojrzeniem, którego nie powstydzilby się sam mistrz de Brissy.

- Masz mnie za głupca? Miałbym dać wiarę temu, żeś zbyt zgrzybiały, by przejąć pieczę nad jedną z moich ziem? Toż to czcze wykręty, nic więcej!

- Bogu dzięki, potrafię jeszcze władać mieczem - odparował Ranulf. - Jeśli mam być szczery, nie przemawia do mnie perspektywa dokonania żywota na zbieraniu danin.

- Zapewniam, że chodzi o znacznie więcej. Właśnie dlatego wybrałem ciebie. Potrzebny mi ktoś, na kim mogę całkowicie polegać. Doszły do mnie pewne niepokojące wieści...

Wtem przeszył powietrze rozdzierający krzyk. Przerażony Merrick pobladł jak płótno i poderwawszy się na równe nogi, dopadł do pulchnej służącej, która pojawiła się właśnie na schodach.

- Co to było? - gorączkował się Tregellas.

- Nic złego, panie - uspokoiła go Demelza, wygładzając fałdy spódnicy. - Idzie ku końcowi. Za pozwoleniem, wasza lordowska mość, posłano mnie po gorącą wodę.

- Nie zatrzymuj jej - interweniował de Beauvieux, spostrzegłszy, że przyjaciel zamierza otworzyć usta, aby zadać kolejne pytanie. Położył mu rękę na ramieniu i odciągnął na środek izby.

Merrick zamrugnął nieprzytomnie powiekami i półzwywy pozwolił odprowadzić się z powrotem do krzesła. Najwyraźniej obawiał się najgorszego. Ranulf szczerze mu współczuł. Wiedział, co znaczy stracić ukochaną osobę.

- Opowiedz mi, co się dzieje w Penterwell - zachęcił.

Doszedł do wniosku, że powinien jednak rozważyć propozycję.

Merrick był mu jak brat. Wraz z innym towarzyszem broni, Henrym, przyrzekli sobie wzajem lojalność aż po grób. Czy to wypada odmówić druhowi w potrzebie? Nijak nie wypada, tym bardziej że miałby z tego korzyść i dla siebie. Gdyby objął kasztelanię i wyjechał, znalazłby się z dala od urokliwej Beatrice. Nie musiałby co dzień na nowo opierać się pokusie...

- Skoro mam przejąć zamek, muszę wiedzieć wszystko.

- Zgadzasz się?

- Przemyślałem kwestię i zmieniłem zdanie. Uzmysłowiłem sobie, że będę miał dozór nad kuchnią. Każę sobie podawać mięsiwo, tak jak lubię, i będę jadał tyle chleba, ile tylko dusza zapragnie. To nie lada przywilej, bracie. Musiałbym być niespełna rozumu, by z niego zrezygnować.

Tregellas uśmiechnął się półgębkiem.

- Czyżbyśmy cię źle karmili?

- Skądże znowu. Rzecz w tym, że nęci mnie poczucie władzy.

- Jakiegolwiek są twoje powody, rad jestem, żeś przystał na moją prośbę.

- Zdradź mi zatem, co cię trapi w związku z Penterwell.

Merrick spoważniał.

- Ponoć między mieszkańcami wioski rodzą się niesnaski - zaczął ponurym tonem.

- Frioc nie zdołał się wywiedzieć, o co dokładnie poszło. Przypuszczał, że chodzi o pozyskanie względów niewiasty albo o szalbierstwo. Koniec końców uznał, że to błahostka, i

nie zabiegał o moją wizytę w majątku... Coś mi się widzi, że jednak powinienem był pofatygować się na miejsce i osobiście zbadać, co jest na rzeczy.

- Miałeś podówczas inne zmartwienia.

Gospodarz podniósł wzrok na przyjaciela.

- Marna to wymówka... Jeżeli Frioc zginął przez moją opieszałość...

- Pleciesz androny - uciał Ranulf. - Małoż to razy słyszeliśmy o swarach między wieśniakami? Powodów jest bez liku i zazwyczaj nie watro ich dociekać. Co do niespodziewanego zgonu świętej pamięci kasztelana, cóż, nie zdziwiłbym się, gdyby rzeczywiście nastąpił wskutek niefortunnego upadku. O ile mnie pamięć nie zawodzi, z sir Frioca jeździec był raczej marny.

Obydwaj skoczyli na równe nogi, gdy przerwał im odgłos kroków na schodach.

- To chłopiec! - zawołała radośnie lady Beatrice. Z rozsypanymi na ramionach złotymi włosami wyglądała niczym anioł zwiastujący dobrą nowinę. - Masz syna! Ślicznego rumianego chłopczyka!

Merrick podbiegł do niej, niemal potykając się o własne nogi. Zazwyczaj dystygowany i nadmiernie poważny tym razem dał się ponieść emocjom. Porwawszy roześmianą kuzynkę żony w objęcia, zakręcił nią w powietrzu, a potem serdecznie ją uściaskał. De Beauvieux tkwił w miejscu nieruchomo jak głaz. Zżerała go zazdrość, gorzka i bolesna, jakby ktoś przekłuł mu serce ostrzem sztyletu. Tymczasem lord Tregellas postawił powinowatą z powrotem na ziemi.

Zmarszczył czoło.

- A Constance? - dopytywał się gorliwie. - Co z nią?

- Wszystko w jak najlepszym porządku - zapewniła Bea. - Była bardzo dzielna. Aeda powiada, że nigdy nie spotkała tak mężnej białogłowy, a pomagała przy wielu narodzinach. Możesz być dumny z żony. Prawie wcale nie krzyczała. Tylko troszeczkę, a i to dopiero na końcu. Robiła bez sprzeciwu, co jej kazała akuszerka. Och, Merrick, musisz jak najprędzej zobaczyć synka. Ma ciemne włosy jak ty. Jest cudny i silny. Od razu zaczął głośno kwilić i wierzgać nóżkami. Nie będę cię dłużej zatrzymywać. Constance nie może się ciebie doczekać.

Uszczęśliwiony ojciec i mąż pognał do alkierza, pokonując po trzy stopnie naraz. Ranulf uznał, że jego obecność stała się zbędna i odwrócił się, aby odejść. Nie uszedł nawet kroku, gdy wtem znalazł się w ciasnym uścisku Beatrice.

- Jaki szczęśliwy dzień nam nastał, czyż nie? - wykrzyknęła rozanielona, wtulając się w niego całym ciałem. Jej oddech muskał mu szyję.

De Beauvieux zamarł. Stał przed nią jak słup soli z opuszczonymi rękoma, choć wiele go kosztowało, by jej nie objąć. Pasowała do niego wprost idealnie. Z trudem nakazał sobie spokój i pozostał niewzruszony. Niemal udało mu się zignorować uczucia, które wzbudzała w nim bliskość Beatrice. Zmusił się, by nie myśleć o jej ustach, wypukłościach przyciśniętych do jego torsu ani o uroczej buzi i pięknych oczach. W przeciwieństwie do niego Bea jest urzekająca, niewinna i czysta... Powinien zawsze o tym pamiętać i unikać jej jak ognia.

- Owszem, wielce radosna to chwila - odparł gładko i delikatnie, acz stanowczo uwolnił się od opasujących go ramion. W swej naiwności zapewne nie zdawała sobie sprawy z tego, jak silne wrażenie może wyrzeć na mężczyźnie jej nierozważne zachowanie. - Niestety, obowiązki wzywają. Wybacz, pani, ale muszę spieszyć do swoich ludzi. Potrzebują hasła i odzewu na dzisiejszą wartę. Myślę, że „syn” i „dziedzic” będą stosowne do okazji.

- O tak, pasują w sam raz! - podchwyciła z entuzjazmem. Wydawała się zupełnie niezrażona tym, że nie odwzajemnił jej czułości. - Masz słuszność, panie. Nie możemy pozwolić, by wszystko stanęło w miejscu. - Zwróciła się ku zgromadzonej w westybulu służbie, która przybiegła zwabiona wieścią o narodzinach sukcesora. - Wracajcie do pracy! - poleciła wesoło, po czym ujęła w dłonie rękę Ranulfa i posłała mu promienny uśmiech. - Malec jest piękny jak z obrazka! Ma cudne niebieskie oczęta i tak zabawnie marszczy buzię, kiedy płacze. To doprawdy urocze!

- Zapewniam, że za kilka tygodni jego płacz nie będzie już brzmiał tak uroczo jak dziś - zauważył cierpko.

- Jest silny i zdrowy, ot co - odparła z przyganą. - Kiedy się urodził, z miejsca narobił takiego wrzasku, że uszy nam spuchły. - Przechyliła się nieznacznie i otarła biustem o jego ramię. - Akuszerka natychmiast obwieściła, że chłopak ma płuca, jak się patrzy.

W ten sposób dowiedziałyśmy się, że to chłopiec. Szkoda, żeś nie widział miny Constance. - W zapamiętaniu ścisnęła go jeszcze mocniej.

Boże miłosierny, pomyślał, co ta pannica wyprawia? Jak długo zamierza mnie dręczyć?

- Najpierw uderzyła w płacz, a potem się roześmiała i zdradziła nam, że od początku co dzień modliła się o syna. Cóż, stwórca musiał wysłuchać usilnych prośb przyszłej matki. Choćby tylko po to, by wynagrodzić jej zgryzoty, których doznała niegdyś od niewdzięcznego teścia. Byłoby wielką niesprawiedliwością, gdyby jej życzenie się nie ziściło. Nie zaprzeczysz, prawda?

- Hm... niezbadane są wyroki boskie - powiedział Ranulf, odsunawszy się na bezpieczną odległość.

Sięgnął po czarkę z winem i podał ją rozszczebiotanej Beatrice. Uznał, że to jedyny sposób, by utrzymać ją z dala od siebie. Postarał się, żeby ich dłonie się nie zetknęły, gdy z wdzięcznością odbierała naczynie. Umilkła na moment i zajęła się pić. Zauważył, że jest chorobliwie blada i ma sińce pod oczyma.

- Powinnaś, pani, odpocząć - rzekł, nie kryjąc niezadowolenia.

- Och, wcale nie jestem zmęczona! Nic a nic, choć wyznam, że trochę się bałam... Ale wtedy Constance poprosiła mnie, żebym umiliła jej czas plotkami i opowieściami o królu Arturze. Powiada, że moja paplanina bardzo jej pomogła - dodała z dumą. - Aeda uciszyła mnie tylko raz.

Akuszerka musi być wzorem cierpliwości, uznał Ranulf, a kuzynka zwyczajnie nie chciała sprawiać jej przykrości. Po chwili jednak wyobraził sobie, jak by to było, gdyby Bea opiekowała się nim w chorobie, i raptem zrobiło mu się ciepło na sercu. Krzątałyby się wokół łóżka, ocierała mu czoło, podawała stawę i szeptała do ucha słowa pociechy. Poirytowany odpędził tę przemiłą wizję. Chyba sam jest wyczerpany, skoro imaginacja podsuwa mu tak nedorzeczne rojenia.

- Wybacz, pani, ale muszę cię opuścić - oznajmił stanowczo. - Zmarnowałem już dość czasu, a dzień rychło się kończy.

- Towarzyszyłeś przyjacielowi w potrzebie, panie. Nie nazwałabym tego stratą czasu. Merrick jest ci bardzo wdzięczny.

- Tak czy owak, pora wracać do obowiązków. Do zobaczenia podczas wieczery. Tuszę, że do tego czasu zdążysz, pani, wypocząć. Drzemka dobrze ci zrobi...

Podparła się pod boki i posłała mu urażone spojrzenie. Ranulf nie mógł oderwać wzroku od jej ponętnych krągłości.

- Nie jestem niemowlęciem, mój panie! - wykrzyknęła rozeźlona. - Nie mam zwyczaju sypiać za dnia. Zdajesz się zapominać, sir Ranulfie, że dawno już dorosłam do tego, żeby wyjść za mąż i wydać na świat potomstwo.

- Bądź spokojna, pani, jestem aż nadto świadom twego wieku - oświadczył de Beauvieux, po czym skłonił się sztywno i wymaszerował z komnaty.

- Czego chciał od ciebie ten czarci pomiot, kruszyno? - usłyszał za plecami, gdy zbliżał się do drzwi.

TLR

Rozdział drugi

Bea popatrzyła za Ranulfem, westchnęła ciężko i obróciwszy się na pięcie, napotkała świdrujące spojrzenie dawnej piastunki. Jako że matka odumarła ją we wczesnym dzieciństwie, niania stała dla niej kimś niezmiernie ważnym. Niemniej opiekuńcze zapędy swarliwej Maloren bywały czasem nad wyraz uciążliwe.

Nie wiedzieć czemu krewka służąca nienawidziła mężczyzn, wszystkich bez wyjątku, w szczególności zaś nie cierpiała tych, których natura obdarowała rudymi włosami. Zapewne właśnie dlatego krzywiła się teraz, jakby nakarmiono ją dziegiem. Jej nasrożona mina zwiastowała burzę. Ech, nie obędzie się bez kolejnego kazania, pomyślała niechętnie Beatrice.

- Nic takiego - odpowiedziała ostrożnie na pytanie. - Twierdził, że wyglądam na zmęczoną, i radził mi udać się na spoczynek.

- Wiedziałam! Od samego początku przeczuwałam, że ten łajdak zamyśla cię zblamucić! Czy nie ostrzegałam cię, serce ty moje, byś się go strzegła? Powiadam ci, trzymaj się z dala od tego czorta z ognistą czupryną, bo przyniesie ci zgubę.

W skrytości ducha Beatrice marzyła o tym, by zbliżyć się do Ranulfa. Od dawna usilnie zabiegała o jego względy, choć nie do końca wierzyła, że uda jej się osiągnąć upragniony cel. Gdyby nie była córką zdrajcy, sprawy miałyby się zupełnie inaczej. Mogłaby się przynajmniej łudzić, że zostanie kiedyś jego prawowitą małżonką. Niestety, niecny występki ojca pozbawił ją widoków na zamążpójście. Tregellasowie zadbali wprawdzie o to, aby zachowała tytuł, a nawet ufundowali dla niej posag, miała jednak dość oleju w głowie, żeby nie karmić się pobożnymi życzeniami. Wiedziała, że nikt przy zdrowych zmysłach nie zechce jej za żonę. Ranulf de Beauvieux zasługiwał na godniejszą siebie połowicę. Mogła zatem żywić nadzieję wyłącznie na to, że zostanie jego nałożnicą. Wstyd się przyznać, lecz pragnęła tego z całej duszy. Maloren padłaby trupem, gdyby poznała nieprzystojne myśli swojej „umiłowanej gołąbeczki”.

Cóż, Bea nie potrafiła temu zaradzić. Jakże bowiem wyleczyć się z kochania? To zupełnie niepodobna... W jej oczach Ranulf jawił się jako najwspanialszy i najpiękniejszy mężczyzna, jakiego nosiła ziemia. Poruszał się z niewymuszonym wdziękiem, miał

potężne ciało wojownika, a do tego mądre oczy, szlachetne, odrobinę kanciaste rysy twarzy oraz dworne maniery. Na dodatek był wiernym druhem Merricka i człowiekiem honoru. W tym cały kłopot. Ponieważ honor jest dla niego kwestią najwyższej wagi, jej wybranek nigdy po nią nie sięgnie. Przez myśl by mu nie przeszło, by zdeprawować niewinną pannę, a zarazem powinowatą przyjaciela. Nawet gdyby sama próbowała przywieść go do grzechu, najpewniej niewiele by zdziałała.

- Widziałam, jak ten piekielnik na ciebie patrzy! - zagrzmiała piastunka, marszcząc brwi. - Już ja wiem, co mu się roi w tej jego rudej głowie.

Na dźwięk tych słów serce Beatrice podskoczyło z radości. Może jednak nie wszystko stracone, a jej marzenie rychło się spełni. Choć ukochany traktował ją zazwyczaj z pełną rezerwy uprzejmością, bywały chwile, w których zdawało jej się, że spogląda na nią z taką samą tęsknotą, z jaką ona spoziera na niego. Pewnego razu w święto Bożego Narodzenia, po wspólnym tańcu, za sprawą milczącego porozumienia, oddalili się od współbiesiadników i przystanęli w odległym, zacienionym kącie komnaty, z dala od wzroku pozostałych gości. Zwróciła ku niemu twarz, by coś powiedzieć, i wtedy spostrzegła, że on wpatruje się w nią tak, że aż zaparło jej dech w piersiach i na moment odjęło mowę. Nigdy wcześniej w całym swoim życiu nie była tak przejęta. Usta bezwiednie rozchyliły się do pocałunku, lecz raptem Ranulf się opamiętał i zapytał jak gdyby nigdy nic, czy zechce napić się wina.

Po namyśle doszła do wniosku, że wyczytała z jego zachowania zbyt wiele. Zwyczajnie jej się przywidziało, że Ranulf wpatruje się w nią pożądliwym wzrokiem. Jak mogła pomyśleć, że ktoś tak wspaniały jak on uzna ją za wartą grzechu? Przemawia przez nią próżność, ot co. Pewnie znosi ją tylko dlatego, że jest kuzynką Constance.

Wkrótce przekonała się, że Ranulf nie zwraca na nią uwagi. Zamiast stroić się dla niego godzinami, równie dobrze mogła włożyć zgrzebny worek. Był tak pochłonięty zjadaniem specjałów przygotowanych na tę szczególną okazję przez kucharza, że ani na nią spojrzął. Był z natury małomówny, ale dziś przeszedł samego siebie. Świętowali narodziny dziedzica, a on milczał jak zaklęty. Koniec końców uznała, że to jej paplanina wprawia go w rozdrażnienie i nabrała wody w usta.

Niedługo potem zjawili się Merrick i jego dziadek Peder, po którym nowo narodzony miał odziedziczyć imię. Beatrice zostawiła mężczyzn, aby mogli swobodnie wznosić toasty za małego dziedzica, i udała się na spoczynek. Gospodarz i starszy Tregellas pożegnali ją z serdeczną wylewnością, za to Ranulf zerknął na nią od niechcienia i wrócił do sączenia wina.

Markotna długo nie mogła zasnąć, mimo że była wyczerpana po długim i pełnym wrażeń dniu. Gdy z siennika w kącie izby rozległo się miarowe pochrapywanie, wstała i upewniwszy się, że Maloren zapadła w głęboki sen, wsunęła stopy w wyściełane futrem bambosze, po czym zakryła skąpy nocny strój płócienną koszulą z długim rękawem.

A gdyby tak udała się po kryjomu do alkierza swego wybranka? Czy powitałby ją z otwartymi ramionami? A może zdjęty zgrozą przepędziłby ją precz, a rankiem doniósł Merrickowi, że jego podopieczna to zepsuta dziewczyna, którą należałoby odesłać do klasztoru? Gorączkowe rozważania przerwał jej potężny łomot oraz zduszone przekleństwa dobiegające z korytarza. Zerknęła na śpiącą piastunkę - nawet się nie poruszyła. Chwała Bogu, że jest przygłucha, pomyślała Bea, wychodząc na zewnątrz. Rozpoznała głos de Beauvieux. Zrzedliwe jęki utwierdziły ją w przekonaniu, że przytrafiło mu się coś złego.

Ujrzała go w wątlym świetle księżyca, które wpadało do środka przez wąskie łukowate okna. Siedział oparty o ścianę z nogami rozrzuconymi przed sobą. Minę miał przy tym nietęgą, słowem, wyglądało na to, że biedaczysko nie bardzo wie, co się z nim dzieje. Podczas wieczerzy miał na sobie czarną tunikę, teraz był w nogawicach i koszuli, w dodatku rozchełstanej.

- Pomożesz mi wstać, mój aniele? - zapytał z szerokim, pijackim uśmiechem.

Beatrice nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie. Nie miał zwyczaju pić na umór, co więcej, nie sądziła, że pofolgował sobie wyłącznie z okazji narodzin Pedera. To do niego niepodobne. Musiało zatem chodzić o coś więcej. Tak czy inaczej, jeśli nie znajdzie się rychło we własnej komnacie, zbudzi Maloren, a ta wpadnie w furię i narobi takiego rabanu, że zamek zadrży w posadach. Podbiegła do Ranulfa i ujęła go pod ramię. Niestety, był ciężki, a nie zanosilo się na to, żeby zechciał się ruszyć. Zamiast tego pokręcił głową i rzekł, wpatrując się w nią nieprzytomnym wzrokiem:

- Niedobrze... Powinnaś być teraz w łóżku...

- Nie zostawię cię przecie na podłodze i mów nieco ciszej, jeśli łaska, bo jeszcze Maloren cię usłyszy i dopiero będzie ambaras.

- Ta stara wiedźma? Brr! - Wzdrygnął się bezwiednie. - Nic tylko się boczy i ciągle nazywa mnie czarcim pomiotem. A czy moja to wina, że mój ojciec to łajdak? - Dźwignął się i wsparł ciężko na jej boku. - Ale... masz słuszość, nie chcemy budzić licha, moja cudna Beo.

Nazwał mnie aniołem i swoją cudną Beą, ucieszyła się Beatrice. Nawet Constance nie używała tego zdrobnienia. Czyżby jednak odrobinę ją lubił? Czy to możliwe?

Ruszyli z wolna ku jego izbie.

- Sądzisz, że ta jędza zna mego ojca? Albo moich braci? Ci nikczemnicy tłukli mnie ongiś na potęgę. Uczynili sobie z tego turniej, pojmujesz. Lali na zmianę, żeby sprawdzić, który szybciej doprowadzi mnie do płaczu.

Była to dla niej nowość. Beatrice nie знаła bowiem żadnych szczegółów z przeszłości Ranulfa. Wiedziała jedynie, że terminował u mistrza de Brissy'ego wraz z Merrickiem i Henrym. Potem na prośbę przyjaciela znalazł się w Tregellas, by objąć dowództwo nad tutejszą chorągwią.

- Tylko się nade mną nie użalaj, lady Beo - ostrzegł, grożąc jej palcem. - Nie potrzebuję niczyjej litości. Dzięki temu, że za młodu zbierałem cięgi, teraz jestem silniejszy. - Nagle przystanął i spróbował ją od siebie odepchnąć. - To nie uchodzi. Wracaj do łóżka.

- Wyśpię się później.

Zachwiał się i oparł o ścianę.

- Wyśpisz się... zupełnie sama...

- Dalej, Ranulfie, chodź ze mną. Odprowadzę cię do twojej komnaty.

Wyciągnęła dłoń, ale jej nie przyjął.

- Zaprowadzisz mnie do łóżka? Jest puste jak zwykle. Nie mam kochanki, tylko czasem zgodzę sobie jakąś sprzedajną dziewczkę, bo trzeba ci wiedzieć, moja pani, że mężczyzna ma swoje potrzeby.

- Nie mam najmniejszej ochoty tkwić tu do świtu i rozprawiać o twoich nałożnicach. Idziesz ze mną czy nie? Decyduj, bo będę musiała zostawić cię samego.

Poderwał się raptownie i otoczył ją ramieniem.

- Skoro tak, prowadź, moja słodka. Nie chcę, byś mnie zostawiła. Nie chcę, by ktokolwiek znów mnie opuścił. Już nigdy więcej...

Kto i kiedy go opuścił? Pragnęła o to zapytać, ale jego słowa stawały się coraz bardziej bełkotliwe i trudno jej było cokolwiek z nich wyrozumieć. W końcu dotarli na miejsce. Gdy się zatrzymali, Ranulf zakołysał się gwałtownie i odchylił w tył. Niewiele myśląc, Beatrice chwyciła go w pól i powstrzymała przed upadkiem. Niebawem odzyskała równowagę i stanął pewniej na nogach, ona tymczasem uzmysłowiła sobie z przestraszeniem, że gdyby ktoś ich teraz zobaczył, uznaliby, że widzi namiętny uścisk kochanków.

De Beauvieux spojrział na nią z góry otumanionym wzrokiem.

- Proszę, proszę - wymamrotał leniwie. - Co my tu mamy? Śliczna Bea w moim alkierzu? Na dobitkę wygląda nad wyraz ponętnie... - Pochylił głowę, jakby zamierzał ją pocałować i posłał jej krzywy uśmiech. - Ech, moja ty cudna, gdybyś tylko wiedziała, jakie nachodzą mnie myśli, kiedy jesteś w pobliżu, zmykałabyś przede mną, gdzie pieprz rośnie. Żaden ze mnie czarci pomiot, ale święty z pewnością nie jestem.

Bez wątpienia próbował ją przed sobą ostrzec, ale Bea wcale się go nie bała. Przeciwnie, marzyła o tym, by znaleźć się blisko Ranulfa, kiedy będzie trzeźwy. Tyle że kolejna sposobność może się prędko nie nadarzyć. Teraz są sami, dookoła nie płacze się służba, nie ma też wszędobylskiej Maloren... Tak, najlepiej będzie jeśli już teraz okaże mu, co do niego czuje. Wspiąwszy się na palce, szepnęła mu wprost do ucha:

- Gdybyś wiedział, panie, jakiego widuję cię w snach... - Z tymi słowy musnęła wargami jego usta, tak jak to chciała zrobić wiele razy.

Zamarł, lecz trwało to krótką chwilę. Potem westchnął i porwał ją ramiona. Przyciskał ją mocno do piersi i całował żarliwie. Nareszcie, pomyślała Bea, poddając się fali błogości, która ogarnęła jej ciało. Było dokładnie tak, jak to sobie wiele razy wyobrażała. Rozchyliła usta i pozwoliła, by pogłębił pocałunek. Jeszcze nigdy nie była tak szczęśliwa i roznamiętniona. Jęknęła i wtedy Ranulf raptem od niej odskoczył, jakby wylała mu na głowę kubek zimnej wody.

- Dość tego dobrego! - wykrzyknął, usiadłszy ciężko na brzegu łóżka. - Zostaw mnie w spokoju!

Czemu znienacka tak się rozeźlił? Przecież dopiero co trzymał ją w namiętym uścisku. Czyżby nagle przypomniał sobie, że jest kuzynką Constance i podopieczną Merricka? A może odtrącił ją z zupełnie innego powodu? Może zwyczajnie nie chce córki zdrajcy?

- Ranulfie, co ci? Proszę, powiedz...

Zwiesił głowę i przyłożył dłonie do skroni.

- Wyjdź, mówię!

Beatrice poczuła w oczach łzy, okręciła się na pięcie i wybiegła z komnaty.

- Mówiłam, że będzie z tego nieszczęście - utyskiwała od progu Maloren, gdy następnego ranka wparowała do alkierza wychowanki. - Słyszał kto, żeby tak pić bez opamiętania? Powiadam ci, drogie dziecko, zaraza z tymi chłopami, nic więcej. Żadnego umiaru nie znają pierony sakramenckie!

- Nieszczęście? - przerwała jej zatrwożona Beatrice.

Od razu pomyślała, że jej wczorajsza rozmowa z Ranulfem jakimś sposobem wyszła na jaw. Na samą myśl o haniebnym finale owego spotkania zaczerwieniła się ze wstydu. Po tym jak ją przepędził, pobiegła do siebie, rzuciła się na posłanie i szlochała gorzkimi łzami dopóty, dopóki nie zmorzył jej sen. Marzenia o szczęśliwej przyszłości u boku ukochanego obróciły się wniwecz, a wspomnienie rozkosznego pocałunku przybliżyło zbrukane dojmującym poczuciem upokorzenia. Po namyśle doszła do wniosku, że stara służąca raczej o niczym nie wie. Gdyby wiedziała, zrugalaby ją na samym wstępie.

- Lord Merrick wywrócił się, kiedy odprowadzał dziadka do domu. Ponoć obydwaj całą drogę pokrzykiwali i śpiewali na całe gardło. Imaginujesz sobie? Lady Constance posłała po medyka, żeby obejrzał jego lordowską mość.

Bea w jednej chwili zapomniała o własnych zgryzotach i wyskoczyła z łóżka.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Niby tak, niemniej kość jest złamana. Medyk orzekł, że rychło się zrośnie, o ile pan zechce oszczędzać nogę.

- Constance pewno się martwi. Powinnam jak najszybciej do niej pójść i sprawdzić, czy jej czego nie trzeba.

- Ani chybi ucieszy się na twój widok. Będzie musiała się nietęgo napocić, żeby utrzymać jaśnie pana w jednym miejscu. Rękę dam sobie odjąć, że lord Merrick jęczy i złorzeczy od bladego świtu, odkąd tylko otworzył oczy. Wieczne utrapienie z tymi mężczyznami. W chorobie są bardziej kapryśni niż dzieci. Gdyby przyszło im rodić, jak niewiastom, pewnikiem pomarliby ze strachu, nim przyszłoby co do czego. Posil się najpierw, kruszyno, nim zaczniesz ganiać po zamku. Gaston podgrzewa dla ciebie owsiankę.

- Jakie to szczęście, że mamy pod bokiem sir Ranulfa - zauważyła niby od niechcienia Beatrice, wyjmując z kufra zieloną suknię. - Póki taki zręczny dowódca sprawuje pieczę nad tutejszą chorągwią, żaden śmiałek nie odważy się napaść na zamek, nawet gdy rozniesie się wieść o niedyspozycji Merricka.

- Ladaco spakował manatki i odjechał z samego rana - odparła niania i dodała: - Czort z nim, nikt tu po nim płakał nie będzie.

Beatrice była wstrząśnięta. Może jednak ktoś ją wczoraj widział i doniósł o jej nieprzystojnych wyczynach Tregellasom? Jeśli odesłali Ranulfa z tego powodu, musi im wyjaśnić, że jest niewinny. Nie miał złych zamiarów. To wszystko jej sprawka. Wyzna im prawdę jak na spowiedzi. Zniesie każdą zniewagę, byle pozwolili mu wrócić.

- Czemu opuścił Tregellas? - zapytała ostrożnie.

- O niczym nie wiesz, kruszyno? - zdziwiła się służąca, pomagając jej włożyć suknię. - Jaśnie pan uczynił go kasztelanem Penterwell.

Bea poczuła tak wielką ulgę, że niemal ugięły się pod nią kolana. Zatem to nie kara, lecz nagroda. Dlaczego nie powiedział jej o tym podczas wieczerzy? Być może sądził, że Merrick już ją powiadomił. Zamiast powinszować mu zasłużonego awansu, cały czas paplała o Constance i dziecku. Ani słowem nie wspomniała o jego rychłym wyjeździe. Pewno uznał, że zupełnie jej to nie obchodzi.

- Nie pojmuję, czemu powierzył tę zaszczytną funkcję właśnie jemu - ciągnęła zrzędlive służąca, sznurując stanik Bei. - Pewnikiem upadek zmacił mu rozum. Każdy ci

powie, że nie można ufać ludziom z rudymi włosami. Tylko patrzeć, jak Ranulf ograbi naszego pana z ziemi. Wspomnisz moje słowa...

Bea odwróciła się gwałtownie i z gniewną miną spojrzała na Maloren.

- Dobrze wiesz, że sir Ranulfowi nawet przez myśl by nie przeszło, żeby zrobić coś takiego. Od dawna jest oddanym druhem Merricka. Przysięgali sobie wierność aż po grób. Po co wygadywać takie niestworzone bajdy?

Piastunka zawstydzila się i spuściła wzrok. Beatrice nieczęsto przemawiała do niej w ten sposób.

- Ja tylko... lękam się o sprawy jego lordowskiej mości.

- Lord Tregellas doskonale sobie radzi bez twojej pomocy. Wie, jak zarządzać majątkiem. Skoro uznał, że Ranulf nadaje się na kasztelana, powinno ci to wystarczyć. Sama powiedz, czy godzi się podawać w wątpliwość jego wolę?

- Nie zżymaj się na mnie, kruszyno - rzekła, ściskając dłonie Bei. - Nie możesz tego wiedzieć, ale on jest wypisz wymaluj jak twój ojciec za młodu. Cudny niczym z obrazka, bystry i gładki. Tamten rozkochał w sobie twoją świętej pamięci matkę. Nie minęły dwie niedziele, a stanęli przed ołtarzem. Potem było już tylko gorzej. Do grobu ją wpędził swoimi niecnymi występkami. Zabił w niej radość i ducha. Nawet miłość do dziecka nie zdołała jej wyratować. Poddawała się chorobie i odeszła z tego świata. Jakem Maloren, nie pozwolę, by jakiś utrapieniec pokrzywdził moją umiłowaną owieczkę!

Beatrice domyślała się, że matka nie miała lekkiego życia, choć piastunka nigdy wcześniej o tym nie wspominała. Ojciec nie dbał o nikogo z wyjątkiem samego siebie. Zależało mu jedynie na władzy i bogactwie. Nie ukrywał, z jakich powodów cieszy go uroda córki. Gdyby była szpetna, trudniej by mu było nią frymarczyć. Wolą nie myśleć o tym, jak smutny byłby jej los, gdyby nie miała u boku wiernej służącej. W przypływie wdzięczności przytuliła staruszkę i pogłaskała ją po ramieniu.

- Wybacz, że wpadłam w gniew. Jesteś mi droga jak matka. Nigdy nie wolno ci w to wątpić.

- Bóg zapłać za dobre słowo, gołąbeczko. I ja miłuję cię jak córkę.

Uścisnęły się serdecznie. W pamięci Bei odżyły wspomnienia. Ileż to razy przybiegała do Maloren, gdy nieczuły rodzic odpychał ją niczym mebel, który stoi mu na za-

wadzie? Zawsze znajdowała w jej ramionach pociechę. Ojciec przyniósł jej wyłącznie boleść i sromotę. Jakież szlachetny rycerz zechce ją teraz na żonę? Nie dziwota, że Ranulf odjechał bez pożegnania.

Rozdział trzeci

Kara boska za grzech opilstwa, pomyślał de Beauvieux, jadąc stępą wzdłuż skalistego wybrzeża Kornwalii. Potworny ból rozsadzał mu czaszkę od białego rana. Powinien był posłuchać głosu rozsądku i udać się na spoczynek o wiele wcześniej. Niechybnie tak by uczynił, gdyby nie nadzwyczaj radosny i figlarny nastrój przyjaciela. Znany z ponurej natury Merrick nader rzadko bywał aż tak wesół. Żal było go opuszczać. Na dobitkę uszczęśliwiony Peder uparł się, by wnieśli toast za wszystkich znajomków, których imiona zdołają wymienić. Kiedy się w końcu rozchodzili, mieli już mocno w czubie. Tregellas odprowadził dziadka do domu, Ranulf zaś powlókł się na chwiejnych nogach do swojej izby.

Do tej pory nie mógł sobie przypomnieć, jak dotarł do łóżka. W każdym razie, gdy już zasnął, śniły mu się same cudowności, a wszystkie z Beą w roli głównej. W niektórych majakach razem ucztowali, w innym widział ją w swoim łóżu, w jeszcze innym, niebywale realnym śnie, całowała go ubrana w tę samą śliczną błękitną suknię, którą włożyła do wieczerzy. Nie pozostawał jej dłużny i oddawał pieszczoty z całą skrywaną dotąd namiętnością.

Nie wolno mu myśleć o niej w ten sposób ani o tym, co mógłby jej powiedzieć, gdyby poszedł się z nią pożegnać. Musi na wieki pozostać dla niego piękną i nieosiągalną powinowatą suzerena, a zarazem najmilszego druha. Czy nie przemawiałaby przez niego zwykła próżność, gdyby wyobrażał sobie, że taka cudowna panna obdarzyła afektem właśnie jego, prostego rycerza bez ziemi i majątku? Wszystko, co miał, zawdzięczał własnemu męstwu i szczodrobliwości przyjaciół. Nie mógł jej niczego zaoferować. Zasługiwała na kogoś znamienitszego i bogatszego.

Powiódł wzrokiem po rozciągających się wokół wrzosowiskach, lecz po chwili bezwiednie wrócił myślami do Tregellas. Miał nadzieję, że kontuzja Merricka okaże się

niegroźna. Sam poszkodowany zapewniał go, że to najzwyczajniejsze skrzywienie, a Constance, jak to białogłowa, wyolbrzymiła sprawę i zupełnie niepotrzebnie wezwała medyka. Wyobraził sobie Beę rozprawiającą z konsyliarzem o niefortunnym upadku gospodarza. Biedny człowiek pewnie nie opędzi się od pytań dociekliwej panny przez pół dnia.

Zatrzymawszy konia, obrócił się w siodle i przywołał gestem Myghala. Może rozmowa o sytuacji w Penterwell pozwoli mu się skupić na czekającym go zadaniu.

- Opowiedz mi o wypadku sir Frioca, jeśli łaska - rzekł, gdy znów ruszyli z miejsca.

- Co tu opowiadać, panie? - odparł niechętnie przyboczny szeryfa. - Powiedziałem już wszystko jego lordowskiej mości. Wybrał się na łowy i...

- Z kim?

- Byliśmy jeszcze ja, Hedyn i jego ludzie: Yestin i Terithien. Często zapuszczaliśmy się razem w bór dla zabicia nudy. Ot, dzień jak co dzień, z tą różnicą, że zakończył się nieszczęściem. - W głosie młodego człowieka pobrzmiwały niepokój i smutek.

- Niełatwo pogodzić się ze śmiercią kogoś, kogo darzyliśmy estymą. Na pociechę zostają piękne wspomnienia. Sir Frioc musiał mieć do ciebie sentyment. Ufał ci, skoro wybrał cię do drużyny łowieckiej.

- O, tak, nie inaczej. Po śmierci mojego ojca traktował mnie jak... Cóż, może nie całkiem jak syna, w każdym razie okazywał mi szczególne względy.

- Żałuję, że nie poznałem go lepiej. - Ranulf pomyślał o własnej młodości i o mistrzu de Brissym, który zastępował mu ojca.

- A zginął za sprawą nędznego zająca! - dodał grobowym tonem Myghal.

- W istocie, raczej lichy to zwierz i zdaje się niewart tak zaciekłego pościgu.

- Los nam owego dnia nie sprzyjał. Niczego nie upolowaliśmy. Dopiero w drodze powrotnej psy zerwały się do biegu. Sir Frioc wypatrzył zwierzynę i uparł się ruszyć w pogoń. „Niech mnie kule biją, powiada, jeśli nie dostanę szaraka. Miałbym znów jeść rybę na wieczerzę? Za nic”. Pognał w knieję i tyleśmy go widzieli. Podążyliśmy w ślad za nim i znaleźliśmy go leżącego bez życia na ziemi. Wypadłszy z siodła, stoczył się z pagórka. Oczy miał szeroko otwarte...

De Beauvieux zlitował się nad rozmówcą i zmienił temat.

- Dawno nie gościłem w Penterwell, ale chyba niewiele się zmieniło od czasu mojej ostatniej wizyty?

Na twarz przybocznego niespodziewanie wystąpił rumieniec.

- Owszem, co nieco się zmieniło.

- Co takiego?

- Gwenbritha powróciła do domu matki.

Ranulf nie miał pojęcia, o kim mowa.

- Kochanka nieboszczyka kasztelana, panie. Okrutnie się posprzecjali.

De Beauvieux nie przepadał za plotkami, uznał jednak, że tym razem warto posłuchać. Wiedział aż nadto dobrze, że wzgardzona miłość bywa przyczyną zguby najznamienitszych rycerzy. Niejeden mąż z powodu urażonej dumy wyrzekł się rozumu i honoru.

- O co poszło? - zapytał z powagą.

- Ponoć chciała, żeby wziął ją za żonę, a on odmówił. Nie dał się uprosić i wyjechała. Zapowiedziała, że nie wróci, choćby błagał ją na kolanach.

- Widziano ją potem w okolicy?

- Nie, panie. Twarda sztuka, dotrzymała słowa. Sir Frioc ubolewał, choć próbował udawać, że nic a nic go to nie obeszło. Jeździł na polowania albo przesiadywał w zamku i... kontemplował.

- Kontemplował czy zalewał robaka? - zainteresował się Ranulf.

- Hm... po prawdzie, to pił na umór, panie - przyznał Myghal.

- A owego feralnego dnia, kiedy oddał ducha, był trzeźwy?

- Wypił odrobinę piwa do śniadania, nie przeczę, a potem jakeśmy zapuścili się w knieję, pociągnął kilka łyków gorzałki, ale nic ponadto. Nie znać było, że ma w czubie. A głowę to on miał mocną, nieraz widziałem jak... sami wiecie, panie.

Co nie znaczy, że nie był wówczas podpity, stwierdził w duchu Ranulf, lecz nie rzekł na ten temat ani słowa więcej. Postanowił wypytać potem szeryfa. Jechali w milczeniu, aż dotarli do miejsca, w którym ze wzgórza rozpościerał się widok na zamek Penterwell. Szare kamienne ściany wznosiły się na stromym urwisku nad brzegiem morza. Z drugiej strony leżała otoczona murami wioska. Nawet z tak daleka z dołu słyhać

było uderzające o skały wzburzone fale. Że też ze wszystkich miejsc na ziemi musiał znaleźć się właśnie tutaj! Zrządzenie losu albo niewybredny żart Wszechmogącego. A może to kara boska? Bliskość wody nieodmiennie przyprawiała Ranulfa o nieprzyjemny dreszcz. Spostrzegłszy, że Myghal ukradkiem mu się przygląda, uśmiechnął się życzliwie.

- Przemarzęm. Potrzebuję odpoczynku i pożywnej strawy.

Przez oblicze młodego człowieka przemknął cień niepokoju.

- Lękasz się, że nie zostanę ciepło przyjęty? - zapytał de Beauvieux. - A może sądzisz, że ktoś spróbuje zapobiec mojemu przyjazdowi?

- Dalibóg, nie, panie! Nie w tym rzecz! Idzie o to, że odkąd odeszła Gwenbritha, nie jest już tak jak dawniej. Obawiam się, że brakuje pewnych... wygod.

- Jakoś to przeboleję - odparł nawykły do trudnych warunków Ranulf. Gdy wypowiedział te słowa, jego uwagę przykuło poruszenie u podnóża klifu. - Co się tam wyprawia? - zwrócił się do kompana.

Ten uniósł się w siodle i spojrzał w dół.

- Nie wiem, panie.

- Poznajesz tych ludzi?

- Nie. Nie znam ich, sir.

- W takim razie lepiej sprawdźmy, co to za jedni. - Z tymi słowy Ranulf pognął rumaka w stronę plaży.

Szeryf z daleka wypatrzył Ranulfa, Myghala oraz resztę kasztelańskiej świty. Bez trudu rozpoznał rudowłosego druha lorda Merricka. Rycerz był waleczny i słynący z nieustraszoneści. Okazał się także przednim przywódcą. Pod jego komendą chorągiew z Tregellas dorównała żołnierskim rzemiosłem regularnej armii. Teraz nawet najśmielszym junakom przez myśl by nie przeszło, aby przypuścić atak. Jednak w odpowiedzi na swoje pieczołowicie sporządzone pismo Hedyn spodziewał się zobaczyć feudała we własnej osobie, nie zaś jego wysłannika. Zbliżył się do de Beauvieux i jego kompanii z mieszaniną zawodu, szacunku oraz zaciekawienia.

- Czołem, mości panie Ranulfie - przywitał się z ukłonem. - Rad jestem cię widzieć, choć wolałbym, abyśmy odbyli tę rozmowę w zgoła innych okolicznościach.

- Jako żywo - odparł, zsiadając z konia de Beauvieux. - Niewesoła okazja doprowadziła do naszego spotkania.

- Bez urazy, ale spodziewałem się, że przybędzie nam z odsieczą sam lord Tregellas.

- Całkiem słusznie, zacny panie szeryfie, niestety, jego lordowska mość przedobrzył odrobinę z ucztowaniem po narodzinach pierworodnego. Upadł biedak tak niefortunnie, że poturbował sobie boleśnie nogę. Jako że postanowił mianować mnie nowym kasztelanem, przyjechałem do Penterwell w jego zastępstwie.

- Żal nogi, lecz z urodzenia syna radować się trzeba. Witamy w Penterwell, panie. Szkoda tylko, że obejmujesz urząd wtedy, gdy trawią nas, nazwijmy to, pewne niepokoje... A jak się miewa lady Constance?

- Znakomicie - zapewnił Ranulf. Tak w każdym razie twierdziła podczas wieczerzy Bea. O dziwo, ani słowem nie wspomniała wówczas o jego rychłym wyjeździe. Albo nie miała o nim pojęcia - co wydawało się mało prawdopodobne - albo nie dbała o niego aż tak bardzo, jak przypuszczał, a raczej miał nadzieję. - Co robicie tak blisko morza? - zapytał, zerkając w stronę grupki mężczyzn, którzy zasłaniaли coś leżącego nieopodal na ziemi.

- To Gawen, panie, rybak z wioski. Jeden z moich ludzi znalazł go rankiem na brzegu. Utonął, nieszczęśnik.

Ranulf zacisnął na moment powieki. Odsunął od siebie wspomnienie nieustępliwych dłoni, które trzymały go w żelaznym uścisku, gdy słona woda zalewała mu nos i gardło. Szarpał się wtedy owładnięty przerażeniem i niemocą, aż w końcu zebrał siły, by się wyrwać z rąk oprawcy...

- Wyruszył na połów dwa dni temu, jak zwykle - ciągnął Hedyn. - Kiedy nie wrócił o umówionej porze, nikt się tym szczególnie nie przejął. Tylko żona podniosła larum... A dziś jego ciało morze wyrzuciło na brzeg...

- Czemu nikt oprócz żony się nie zaniepokoił?

Szeryf zawahał się i powiódł wzrokiem od Myghala do garstki odzianych w proste rybackie stroje pomocników. Ranulf bez trudu odgadł, czemu rozmówca zwleka z odpowiedzią na pytanie. Topielec był prawdopodobnie nie tylko rybakiem, lecz także prze-

mytnikiem. Z wybrzeża Kornwalii od dawna wywożono nielegalnie cynę. Ujął szeryfa za ramię i odciągnął go na stronę.

- I ja, i lord Merrick dobrze wiemy, że większość rybaków para się szmuglem - oznajmił ściszym głosem. - Sir Frioc, jak mniemam, również domyślał się, co w trawie piszczy, jeśli zatem boisz się wyznać, że Gawen nie wypłynął, by zarzucić sieci, lecz po to, aby sprzedawać kontrabandę, mów śmiało, przyjacielu.

- W rzeczy samej, panie. Sądziliśmy, że tak właśnie było, dlatego się nie zmartwiliśmy. Uznaliśmy, że Gawenowa, jak to białogłowa w błogosławionym stanie, zwyczajnie popadła w histerię, ale kiedy minęła kolejna noc, a jego wciąż nie było, uznaliśmy, że coś poszło nie tak. Nie wziął ze sobą nikogo do pomocy. Najdziwniejsze, że znaleźliśmy zwłoki, ale po łodzi nie ma śladu. Nie wypłynęła nawet jedna deska.

- Podejrzewacie, że ktoś go zgładził?

Hedyn pogładził się po szpakowatej brodzie.

- Nie inaczej, sir. Wcześniej zaginęło dwóch innych. Nie przywiązywaliśmy do tego wagi, bo Rob i Sam nie byli tutejsi. Zatrzymywali się w okolicy tylko na zimę. - Posłał kasztelanowi wymowne spojrzenie. - Nie należeli do tych, co to lubią domowe pielesze. Raczej nigdzie dłużej nie zagrzali miejsca, w każdym razie żony nie miały z nich wielkiego pożytku, zwłaszcza ostatnimi czasy, bo co rusz szukali zwady. Mieli jakiś zażarcie z innymi rybakami z wioski, więc kiedy zniknęli, ludzie uznali, że ktoś ich zwyczajnie przepędził. I jeszcze dali im krzyżyk na drogę. Słowem, nikt ich tu nie żałował.

Zapewne dlatego Frioc nie uznał za stosowne poinformować o tym suzerena, stwierdził w duchu Ranulf.

- Gawen nie był taki jak tamci? - zapytał, unosząc brew.

- Boże uchowaj - zaprzeczył szeryf. - Żonę kochał ponad życie, a i ona go ubóstwiała. Prowadzali się za rękę od pacholęctwa. Zawsze razem, a teraz dziecko w drodze i Wenna, biedula, została sama. Może niebożę zaryzykował, bo chciał więcej zarobić, żeby wykarmić całą trójkę. Żal chłopaka, bo zacny był. Nie zdziwiłbym się, gdyby ukatrupili go francuscy piraci. Prawdziwa plaga z nimi. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy zabili, by skraść żeglarzowi ładunek.

- Powinniśmy chyba dziękować stwórcy, że wyrzuciło go na brzeg - powiedział Ranulf. - Gdyby nie to, pewno nigdy byśmy się nie dowiedzieli, co mu się przytrafiło.

- Sęk w tym, że to wielce osobliwe! - skwitował krewko szeryf. - Aż wierzyć się nie chce...

- Jakże to? - De Beauvieux przystanął zdumiony zapalczywymi słowami rozmówcy.

- A tak, że gdy człowiek tonie w morzu, ciało idzie na dno niczym kłoda. Trzeba co najmniej kilku dni, żeby wypłynęło znów na powierzchnię. A jeśli wyrzuci je na plażę, to zniesie parę mil dalej. Poza tym zwykle z nieszczęśnika niewiele zostaje, ryby i inne morskie stwory mają z takiego niezgorszą pożywkę, a na Gawenie nie znaleźliśmy nawet zadrapania. Wygląda na to, że ktoś najpierw go ukatrupił, a dopiero potem wrzucił do wody. Zresztą co tu gadać po próżnicy, podejźmy lepiej do trupa. Przekonasz się, panie, na własne oczy.

Ranulf nieraz oglądał w życiu nieboszczyków. Widywał ludzi z krwawiącymi ranami i rozplatanymi lub odciętymi kończynami. Przywykł do tego na tyle, że nie sprawiało mu to większego kłopotu, ale widok ofiary utonięcia niezmiennie przyprawiał go o dreszcz. Nie wolno mu było wszakże okazać słabości.

Tydzień później Beatrice przyglądała się z uwagą kucharzowi, gdy ten posypywał tymiankiem zanurzoną w sosie i siekanym porze pieczeń.

- Cały sekret - objaśnił Gaston, dorzucając szczyptę rozmarynu - leży w przyprawach. Trzeba jednak uważać, aby nie przedobrzyć. Dodasz, pani, za dużo, a zaprzepasz smak mięsa, dodasz za mało, a poczujesz na języku wyłącznie bażanta. Pojmujesz, o co mi idzie?

Uśmiechnęła się i skinęła głową. Gaston był szczupłym mężczyzną w słusznym wieku. Służył w Tregellas jeszcze za rządów poprzedniego pana. Zapewne z tej właśnie przyczyny jego przystojne oblicze usiane było tyłoma zmarszczkami. W owym czasie miał bowiem niezliczone powody do zgryzot, dopiero ostatnio znacznie wypogodniał, a to za sprawą Merricka i jego małżonki, którzy potrafili docenić jego kunszt, a co ważniejsze, ani razu nie oskarżyli go o to, że próbował ich otruć.

Obecność Bei w kuchni nikogo nie dziwiła. Panna lubiła przytulne ciepło, krzątaninę służby i unoszące się w powietrzu smakowite zapachy. Od chwili wyjazdu Ranulfa spędzała tu niemal całe dni. Poza tym dotrzymywała towarzystwa Constance, szyła ubranka dla dziecka albo umilała kuzynce życie opowieściami o królu Arturze. Uwielbiała owe historie, choć przywodziły jej na myśl nieobecnego ukochanego. Twierdził, że ich nie cierpi. Nazywał Lancelota pozbawionym sumienia, nielojalnym durniem, któremu bitewna sława uderzyła do głowy, o Arturze zaś mawiał, że zbyt pobłaża zdradzieckiemu synowi. Tak,

Ranulf nie miał żadnej litości dla zdrajców. Dla ich córek pewnie też nie...

W progu pojawiła się Demelza, służąca, która znała wszystkie najnowsze plotki i nowiny. W tej materii zawsze można było na nią liczyć. Spostrzegłszy Beatrice, uśmiechnęła się od ucha do ucha i podeszła do niej. Nim otworzyła usta, zerknęła ukradkiem na drzemiącą na przypiecku Maloren. Nawet najmniejsza wzmianka o de Beauvieux mogła wywołać kolejną tyradę piastunki. Jako że nikt nie miał ochoty wysłuchiwać obelg pod adresem całego rodzaju męskiego, Demelza postanowiła nie wywoływać wilka z lasu i ściszyła głos do szeptu.

- Przyjechał posłaniec z Penterwell, panienko. Przybiegłam natychmiast, tak jak panienka kazała.

- Bardzo ci dziękuję - odparła Bea, próbując zachować spokój. Wytarła umorusane mąką ręce i dodała: - Jego lordowska mość z trudem znosi bezczynność. Wieści od przyjaciela niewątpliwie go rozweselą. Constance też się ucieszy. Popilnuję małego Pedera, żeby mogli spędzić trochę czasu we dwoje. - Posłała służbie wymowne spojrzenie. - Jak mniemam pomysł przypadnie im do gustu.

- Jako żywo! - przytaknęła ze śmiechem Demelza.

Beatrice popędziła na górę, dziękując Bogu, że dane jej było zostawić nieodłączną bonę w kuchni. Wiadomości od Ranulfa istotnie ucieszą Tregellasów, ale nie aż tak jak bardzo ją. Odkąd widzieli się po raz ostatni, miała mnóstwo czasu na rozpamiętywanie tego, co się między nimi wydarzyło. O dziwo, jej nadzieje powoli odżyły. Całował ją przecież tak żarliwie... Pohamował się, bo wrócił mu rozsądek. Przypomniawszy sobie, że nie

godzi się obcować z niewiastą, z którą nie jest się po słowie. Pewnie dlatego, podobnie jak ona, poczuł się zawstydzony i upokorzony.

Gdyby mogła się z nim rozmówić, powiedziała by mu, że nie powinien czynić sobie wyrzutów. To ona postąpiła niegodnie i nierozważnie i to ona była wszystkiemu winna. Przeprosiłaby go za to, że sprawiła mu przykrość, ale nie za to, że go pocałowała. Jakże miałyby tego żałować, skoro wielbiła go całym sercem. Wyznałaby mu wreszcie, co do niego czuje. Niestety, Ranulfa nie było w pobliżu i nie wiedziała, kiedy znów go zobaczy. Na razie musi porzucić marzenia i zadowolić się wspomnieniami.

Kiedy dotarła do komnaty krewnych, Merrick siedział na krześle z nogą wspartą o taboret, jego małżonka zaś usadowiła się obok, kołysząc w ramionach synka. Constance sprawiała wrażenie zatroskanej. Merrick trzymał w dłoniach pismo i spoglądając na nie raz po raz, wykrzywił z niezadowoleniem wargi. Nie zaniepokoiło to Beatrice, jako że grymas nie schodził nieborakowi z twarzy od momentu, gdy unieruchomiono mu kończynę.

Przywołała na usta uśmiech. Nie zwierzyła się kuzynce z miłości do Ranulfa. Obawiała się, że Constance może nie pochwalać jej wyboru. Po pierwsze, de Beauvieux był od niej ponad dziesięć lat starszy, po drugie, nie miał ziemi ani majątku. Lady Tregellas darzyła ją siostrzanym afektem, mogła więc pragnąć dla niej znamienitszego i bogatszego męża.

Bea przywitała się od progu i zawołała z entuzjazmem:

- Piękny dziś mamy poranek! Idzie wiosna, powiadam wam, moi mili. Powietrze pachnie tak rześko... pod warunkiem, że się nie zawędruje nazbyt blisko chlewu. - Wyciągnęła dłonie do Pedera. - Mogę wziąć go na ręce?

Kuzynka podała jej dziecko.

- Witaj, mały człowieczku. - Bea przytuliła oseska i pogłaskała go po rumianym policzku.

- Dostaliśmy kolejny list od Ranulfa - oznajmiła Constance, zerkając w stronę męża, który wciąż się krzywił.

- Och, doprawdy? - powiedziała Beatrice, jakby to była dla niej wielka nowina. - Chyba nie dzieje się nic złego?

Merrick poruszył się gwałtownie i przesunął odrobinę nogę.

- Bądź spokojna, poradzi sobie ze wszystkim doskonale - oświadczył tonem, który zniechęcił pannę do zadawania dalszych pytań.

- Mam nadzieję, że noga zbytnio ci nie dokucza? - spytała uprzejmie.

- Ależ skąd, jestem wprost zachwycony tym, że nie mogę się ruszać - odrzekł z przekąsem.

- Nie ma powodu, żebyś boczył się na Beatrice - skarciła go żona. - Niebawem wydobrzejesz, mój drogi - dodała ze współczuciem. - Zanim to nastąpi, może powinieneś uznać tę chwilową niemoc za pokutę. Nie trzeba było tak suto raczyć się winem.

W odpowiedzi wymamrotał coś pod nosem i odłożył pismo na stół.

- Dajcie mi przynajmniej potrzymać syna - rzekł, gdy mały zaczął kwilić. - Będziecie mogły plotkować do woli - dorzucił ugodowo.

Bea ułożyła mu w ramionach niemowlę i odeszła z kuzynką na stronę.

- Pozwolisz Beatrice przeczytać list Ranulfa? - zapytała po chwili Constance, odwróciwszy się do męża. - Idzie jej coraz lepiej, ale nie zaszkodzi, jeśli poćwiczy czytanie.

Merrick wzruszył ramionami.

- Nie widzę przeszkód. To żaden sekret.

Nie kryjąc radości, Bea rozwinęła zwój. W duchu podziękowała kuzynce za to, że zgodziła się nauczyć ją czytać i pisać. Ojciec uważał to za stratę czasu. Jego zdaniem, w zupełności wystarczało, jeśli niewiasta potrafiła wykonywać proste rachunki, niezbędne do prowadzenia domu.

- Gdybyś napotkała słowo, które sprawia ci trudność, pytaj śmiało - zachęciła lady Tregellas, zajmując miejsce przy oknie. - Ja tymczasem wystawię twarz na słońce i nacieszę się bezczynnością.

„Pozdrowienia dla jego lordowskiej mości Merricka i jego wielmożnej małżonki” - rozpoczęła Beatrice, niemal słysząc niski, wyrazisty głos Ranulfa. Zupełnie jakby stał tuż obok niej i szeptał jej wprost do ucha. „Niewiele się zmieniło od czasu przyjazdu do Penterwell. W zasadzie nie mam więc do zakomunikowania niczego istotnego. Robię co w mojej mocy, by zaskarbić sobie zaufanie wieśniaków, lecz nie przychodzi mi to łatwo.

Hedyn pomaga mi, jak może, niestety, pomimo usilnych starań nas obu, mieszkańcy majątku niechętnie mówią o czymkolwiek, co wykracza poza bieżące sprawy związane ze zmianą na urządzie kasztelana. Tak czy inaczej nie zamierzam ustawać w wysiłkach. Prędzej czy później rozwiążę zagadkę śmierci Gawena i nie spocznę dopóty, dopóki nie ustalę, czy była ona wynikiem nieszczęśliwego wypadku, czy też zwykłym zabójstwem. Jeżeli się okaże, że młodzieniec padł ofiarą mordu, znajdę i surowo ukarzę winnego".

Zaintrygowana Beatrice podniosła wzrok na Constance.

- Dlaczego Ranulf podejrzewa, że ów człowiek... ów Gawen, został zgładzony?

- Gawen był rybakiem. Znaleziono go nieżywego na brzegu morza w dniu, w którym Ranulf objął kasztelanię. Wygląda na to, że utonął, ale szeryf ma pewne wątpliwości, jako że nic nie zostało z jego łodzi.

- Nie ma pewności, że go zabito - wtrącił Merrick - ale Ranulf dociecze prawdy.

- Na pewno - zgodziła się Bea i wróciła do czytania listu.

Ogarnął ją niepokój. Okazało się, że Penterwell nie jest tak bezpieczne, jak jej się wydawało. Pocieszała się myślą, że zamek jest obwarowany i strzegą go zaprawieni w wojennym rzemiośle zbrojni. A zatem jej ukochanemu nie grozi nic złego...

„Zmuszony jestem prosić Cię, Drogi Przyjacielu, o dodatkowe fundusze. Za sprawą pewnych osobistych niepowodzeń świętej pamięci sir Frioc pozwolił, aby niektóre części murów obronnych twierdzy popadły w kompletną ruinę. Trzeba jak najprędzej naprawić szkody, w przeciwnym razie to i owo może się zawalić. Ośmielam się prosić, byś zechciał zjechać do Penterwell osobiście, ażeby się ze mną naradzić i ustalić, za co i w jakiej kolejności powinniśmy się zabrać. Nie zaszkodzi, jeśli weźmiesz ze sobą kilku kamieniarzy.

Byłbym Ci nieopisanie wdzięczny, gdybyś w swej łaskawości przywiózł ze sobą także nieco zapasów. Mam na myśli kilka bochnów chleba, odrobinę wędzonego mięsiva oraz sera i koniecznie ze dwa antałki piwa. Jadło jest tu bowiem więcej niż podłe, o czym donoszę z niezmierną przykrością. Kucharz karmi nas wyłącznie rybami, na których widok zaczyna mnie mdlić. Ale, co robić, trudna rada, dopóki rozliczne obowiązki będą mnie powstrzymywać przed częstszymi wypadami na łowy, przyjdzie mi znosić

owe rybie paskudztwa. Jeszcze jedno, radziłbym Ci przywieźć ze sobą własne posłanie, bo nie znajdziesz tu takich wygód, do jakich przywykłeś w Tregellas".

Bea ujrzała oczami wyobraźni Ranulfa w rozpadającym się zamku, śpiącego pod zjedzoną przez mole derką po wodnistej potrawce uwarzonej z nadpsutych rybich łbów. Skoczyła na równe nogi, upuszczając pergamin na ziemię.

- Pozwalasz mu żyć w nędzy?! - krzyknęła zapalczywie, wprawiając Merricka w niemałe osłupienie.

Peder wystraszył się jej wybuchu i zaczął głośno płakać.

- W nędzy? - zaprotestował Tregellas. - Dalibóg, ręczę, że nie jest aż tak źle...

- Minęło sporo czasu, odkąd sir Frioca opuściła jego pani. Nie dziwota, że gospodarstwo zeszło na psy.

- Skąd wiesz o odejściu kochanki kasztelana? - zdumiała się Constance, odbierając synka od męża.

- Od Demelzy. Szwagier jej siostry pochodzi z Penterwell. Powiada, że się poróżnili, bo Frioc nie chciał się żenić. To dlatego Ranulfa karmią ohydną strawą i każą mu spać na wygryzionym przez myszy sienniku. W domu brakuje gospodyni, ot co! Tak się nie godzi! Och, Constance, proszę, pozwól mi tam pojechać! - złożyła błagalnie dłonie i zajrzała w oczy kuzynki. - Zadbam o wszystko jak należy, zawiozę mu jedzenie, dopilnuję służby i poinstruuje kucharza, żeby bardziej się starał.

- Moja droga Beatrice - odparła lady Tregellas - wiesz, że nieba bym ci przychyliła, ale...

- Sama mówiłaś, że radzę sobie wyśmienicie i jaki to masz ze mnie pożytek. - Bea chwyciła kuzynkę za rękę. Wybijała wyobraźnia podsuwała jej najczarniejsze scenariusze. Była przekonana, że jeśli nie ruszy na ratunek, niebawem dotrą do niej wieści o przedwczesnym zgonie Ranulfa. - Wiesz, że potrafię sprawić, by służba była mi posłuszna. - Splotła palce jak do modlitwy. Gotowa była skamleć i zaklinać krewnych tak długo, jak będzie trzeba. - Proszę, poślijcie mnie tam!

- Wykluczone - rzekł zwięźle Merrick.

- Jako żywo - odparła wzburzona Beatrice - pięknie odpłacasz druhowi za oddaną służbę! Pozwalasz mu cierpieć głód i niewygody, mimo że masz na podorędziu kogoś, kto mógłby położyć kres jego niedoli.

Merrick nie zamierzał ustąpić. Nie wzruszyły go ani jej prośby, ani święte oburzenie.

- Nie możesz jechać do Penterwell. Nie jesteś zameżna ani nawet po słowie. To nie uchodzi. Jako twój opiekun...

- W rzeczy samej, jako mój opiekun masz prawo mną rozporządzać. Nikt nie śmie pisać złego słowa, jeżeli znajdę się tam z twojego rozkazu.

- Owszem, może nie wezmą cię na języki, niemniej odstręczy to potencjalnych konkurentów, to pewne jak amen pacierzu!

- Nie poszłabym za kogoś, kto odtrąciłby mnie z tak błahej przyczyny. Ktoś taki nie byłby mnie godzien. Poza tym wiadomo wszem wobec, że Ranulf to znamienity rycerz i człowiek honoru. Gdyby nie mógł poszczycić się prawym charakterem, nie nazywałbyś go swoim przyjacielem ani nie uczyniłbyś kasztelanem. Nie przypuszczasz chyba, że raptem straci rozum, zapomni o przysiędze lojalności, którą sobie składaliście, i rzuci się na mnie niczym wygłodniały wilk?

- Beatrice - wtrąciła łagodnie Constance - tu idzie o twoją reputację.

- Reputację? Ojciec postarał się o to, bym nie musiała o nią dbać. Splamił honor rodziny na wieki. Ranulf nigdy nie zawiódłby zaufania suzerena i przyjaciela. Zaręczy o tym każdy, kto zna go choć trochę.

- To nie jest kwestia zaufania. Ufamy zarówno jemu, jak i tobie.

- Czemu zatem nie pozwolicie mi jechać?

Lady Tregellas spojrzała na męża i rzekła wyważonym tonem:

- Ranulf musi być w desperacji, inaczej nie wspomniałby o trudach, z którymi przyszło mu się zmagać. Ja nie mogę opuścić domu i dziecka, ty też nie jesteś w stanie odbyć podróży. Moglibyśmy posłać Demelzę, ale służąca nie zyska należytego posłuchu. Tylko dama zdoła przywołać rozleniwioną służbę do porządku. Co do ewentualnego skandalu, sądzę, że zdołamy go uniknąć. Nikt zdrowy na umyśle nie posądzi Ranulfa o to, że poważyłby się dybać na cnotę twojej podopiecznej. Poza tym nie mamy chyba wy-

boru. Wyekspedujemy Beatrice z Maloren w charakterze przyzwoitki i będzie po kłopotach.

Merrick poprawił się na krześle i w milczeniu zmarszczył brwi.

Bea już miała otworzyć usta, żeby coś powiedzieć, gdy uciszył ją gestem dłoni.

- Dobrze więc, niech i tak będzie - oznajmił rad nierad. - Możesz jechać, ale na trzy dni, ani chwili dłużej. Zabierzesz ze sobą piastunkę.

- Och, niech ci Bóg wynagrodzi! Biegnę powiedzieć Maloren. Biedaczka nie znosi podróży. Pewno będzie utyskiwać całą drogę, ale nic to, trzeba przecie ratować Ranulfa!

TLR

Rozdział czwarty

- Czy aby na pewno nie widywano w pobliżu żadnych obcych łodzi? - zapytał z niedowierzaniem Ranulf.

Posuwali się wzdłuż zbocza, spoglądając na rozciągające się w dole wybrzeże. Trzymali się wystarczająco blisko krawędzi urwiska, by widzieć morze, a zarazem na tyle daleko, by de Beauvieux nie odczuwał paraliżującego strachu.

- Nie, panie - odparł z powagą Myghal. - Już od dawna nie przepływały tędy żadne nieznanne statki.

- I nadal nikt nie puścił pary z gęby w sprawie Gawena? - Kasztelan powtarzał to pytanie co najmniej raz dziennie, lecz odpowiedź wciąż pozostawała taka sama.

- Ano nie.

Jakim sposobem miał odkryć, kto zgładził rybaka, skoro ludzie nabrali wody w usta? Ktoś musi coś wiedzieć. Jedyne pogrążona w rozpacz wdowa chciała z nim rozmawiać. Niestety, ciężko było ją zrozumieć, bo niemal nieustannie zalewała się łzami. Tak czy owak, twierdziła z całą stanowczością, że jej mąż padł ofiarą mordu.

- Pływał niemal od kołyski, panie - wydukała między jednym napadem spazmów a drugim. - Tylko sztorm mógł go zatopić, a sztormu podówczas nie było.

Ranulf zapytał ostrożnie, czy Gawen miał się z kimś spotkać. Zapewnił także, że nawet jeśli wyjdzie na jaw, iż postąpił wbrew prawu, winni jego śmierci zostaną surowo ukarani.

- Tak, panie, wspominał o pewnym francuskim kupcu, z którym nieraz wcześniej dobijał targu. Nie ufał mu, ale chciał jak najlepiej dla naszego dzieciątka, a ów Francuz ponoć płacił znacznie więcej niż inni. Moje biedne maleństwo... - chlpała, wycierając łzy fartuchem. - Jeszcze się nie narodziło, a już osierocił je ojciec. Co ja teraz pocznę? - Rozpląkała się na dobre.

De Beauvieux poprosił Myghala, by sprowadził jej na pociechę sąsiadkę. Zanim wyszedł, sięgnął do sakiewki i zostawił na stole kilka monet. Przez lata sądził, że miłość to złuda, bujda wymyślona przez niewiasty na ich własny użytek. Jakże miał bowiem wierzyć we wzniosłe uczucia, skoro nikt go nigdy nie kochał? Tak było do czasu, aż sam

pokochał gwałtownie i namiętnie. Przekonał się jednak, że miłość i owszem istnieje, lecz przynosi wyłącznie boleść i rozgoryczenie. Współczuł Wennie, ale patrząc na jej udrękę, przypomniał sobie o własnych katuszach sprzed lat.

Raptem usłyszał coś za plecami i odwróciwszy konia, obejrzał się w stronę wrzosowiska. Po chwili uniósł dłoń, by zatrzymać swoją świtę.

- Stało się coś? - zaniepokoił się Myghal.

- Tam! - odparł kasztelan, wskazując wierzchowca, który pędził w ich stronę na złamanie karku. - Spójrz!

Uniósł się lekko w siodle, by przyjrzeć się lepiej jeźdźcowi, i nagle spostrzegł powiewające na wietrze spódnice. Koń wyglądał znajomo... To klacz Beatrice! Gna, jakby diabeł deptał jej po piętach. Dobywszy miecza, Ranulf wydał przenikliwy okrzyk, którym zwykle zagrzewał podkomendnych do boju. Biada temu, kto śmiał podnieść rękę na jego małą lady Beę, pomyślał, ruszając galopem.

Niespodziewanie powietrze przeszył przeraźliwy wrzask. Bea zatrwożyła się i odruchowo ściągnęła wodzie, by zatrzymać Holly. Rozpędzona klacz stanęła dęba, a Bea sturlała się z siodła i wylądowała plecami na grząskiej, trawiastej ziemi. Przez moment leżała nieruchomo, nie mogąc złapać tchu, potem ujrzała tuż obok sięgające ramienia rudobrzowe włosy, znajomy zielony płaszcz oraz Tytana, siwego rumaka należącego do Ranulfa.

Nim zdążyła się podźwignąć, kasztelan znalazł się przy niej. W prawej dłoni trzymał miecz, a na jego twarzy malował się wyraz szczerzej troski. Zdumiona i skonfundowana Beatrice nie wiedziała, co począć, więc jak zwykle w takich razach zaczęła mówić:

- Swego czasu nie wspomniałam ani słowem o twoim nowym urzędzie, panie. Mam nadzieję, że nie wzięłeś mi tego za złe. To nie dlatego, że nic mnie to nie obeszło. Przeciwnie, bardzo jestem rada, iż doceniono twe niewątpliwe zasługi, tyle że dowiedziałam się o wszystkim dopiero rankiem, już po twoim wyjeździe. Wieczorem nie miałam jeszcze pojęcia o decyzji Merricka... Nikt mi nie powiedział...

De Beauvieux przysiadł obok niej na klęczkach. Minę miał przy tym nietęgą, zupełnie jakby to on spadł z konia. Bea wpatrywała się w niego z mieszaniną radości i lęku.

Uznała, że skoro już zaczęła, równie dobrze może brnąć dalej i dowiedzieć się wreszcie, na czym stoi.

- Nie pożegnałeś się ze mną, panie i... pomyślałam, że w czymś ci uchybiłam.

- Sądziłem, że będę miał sposobność pożegnać się rano, pani - odparł spokojnie, podniósłszy się na nogi. W jego głosie nie było ani śladu zażenowania. - Niestety, kiedy zbierałem się do odjazdu, jeszcze spałaś. Gdybym wiedział, że już się nie zobaczymy, rozmówiłbym się z tobą i dopełnił ceremonii podczas wieczerzy.

Dopiero teraz uzmysłowiła sobie z rozżaleniem, że on niczego nie pamięta. Jego zmacony trunkami umysł nie odnotował czułego uścisku ani pocałunku, ani tym bardziej wypowiedzianych wówczas słów. Powinna być wdzięczna opatrności za to że oszczędzono jej upokorzenia, ale nie była. Poczula się zawiedziona.

Ranulf obrzucił ją uważnym spojrzeniem od stóp do głów.

- Coś ci dolega, pani?

- Zapewne nabiłam sobie parę siniaków i raczej nie dopiorę sukni, ale poza tym mam się dobrze. - Włożyła wiele wysiłku w to, aby nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest przygnębiona, i nawet jej się to udało.

Podał jej dłoń i pomógł podnieść się na nogi.

- To twój orszak, panie? - zapytała, zerkając na nadciągającą grupę zbrojnych.

- Owszem, oraz przyboczny szeryfa.

- Chyba nie powinieneś tak bardzo się od nich oddalać... Słyszałam, że w Penterwell giną ludzie.

Rzucił jej rozdrażnione spojrzenie spod ściągniętych brwi.

- Szkoda, że nie pomyślałaś, pani, o własnym bezpieczeństwie, kiedy postanowiłaś zapuścić się samopas w nieznane okolice.

- Nie jestem sama. Mam eskortę.

- Jeśli mnie wzrok nie myli, nie ma tu nikogo prócz nas. A może twoja eskorta rozpłynęła się w powietrzu?

Rozejrzała się wokół, spodziewając się zobaczyć dwóch konnych, którzy towarzyszyli jej z Tregellas.

- Cóż, zdaje się, że zostawiłam ich w tyle - przyznała zawstydzona. - Nie sądziłam, że Holly jest taka szybka...

Tymczasem nadjechali Myghal i kasztelańska świta.

Beatrice zarumieniła się i spuściła wzrok. Uświadomiła sobie, że musi wyglądać jak nieokrzesa trzpiotka. Odzienie przedstawiało oplakany widok, a tak bardzo pragnęła zachować się godnie, jak przystało na dobrze urodzoną damę. Chciała zajechać do Penterwell z należytych dostojnością i zrobić na Ranulfie dobre wrażenie. Zamiast tego niemile go zaskoczyła i rozgniewała. Nie miała wątpliwości, że jest zły. Znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, co oznaczają zaciśnięte wargi i mars na czole.

- Myliłem się, lady Beatrice nie groziło żadne niebezpieczeństwo - oznajmił swoim ludziom, po czym zwrócił się do Bei: - Pani, to żołnierze z chorągwi Penterwell. Zdaje się, że Myghala poznałaś wcześniej.

Dobry obyczaj, a także własna duma nakazywały jej zachować się statecznie, tak jak by to zrobiła kuzynka, którą stawiała sobie za wzór. Opanowała się więc i przywołała na twarz pogodny uśmiech.

- Istotnie. Witaj, Myghal - przywitała uprzejmie odrobinę nazbyt pulchnego młodzieńca, który nie mógł liczyć wiele więcej niż dwadzieścia wiosen.

Przyboczny szeryfa skłonił przed nią głowę.

- Lady Beatrice, jak miemam, przyjechała z wizytą wraz z lordem Merrickiem - wyjaśnił Ranulf.

Bea przestąpiła z nogi na nogę, zastanawiając się, czy powinna od razu wyprowadzić go z błędu. Lękała się, że rozzłościłby się jeszcze bardziej. Na szczęście, wybawił ją z kłopotu, nie pozwalając jej dojść do słowa.

- Kontynuujcie objazd. Trzeba dokładnie sprawdzić zatokę.

Myghal skinął posłusznie głową, nie spuszczać wzroku z Beatrice. Pozostali mężczyźni również wpatrywali się w nią z zaciekawieniem.

Wiedziała, co oznaczają owe taksujące spojrzenia, mimo że nie była ani tak urodziwa, ani tak powabna jak Constance. Uraczyła ich potoczystą przemową, aby ukryć zakłopotanie.

- Z żalem przyjąłm wieść o śmierci sir Frioca. Wprawdzie nie miałam szczęścia go spotkać, niemniej słyszałam o nim wiele dobrego, dość powiedzieć, że cieszył się poważaniem lorda Tregellasa. Wybaczcie panowie, jeśli napędziłam wam stracha. Nie było to moim zamiarem. Oddaliłam się od kawalkady, bo nie byłam w stanie wysłuchiwać dłużej jęków i utyskiwań pokojówki. Niewdzięcznica nie zamknęła ust ani na moment, choć zapewniłam jej wszelkie wygody, przytulne miejsce na wodzie na stercie poduszek i pledów, ale Maloren to nie wystarcza, co to, to nie. Musi dać wyraz swemu niezadowoleniu, a trzeba wam panowie wiedzieć, że to niewiasta, która nie zna umiaru. Wreszcie nie wytrzymałam i rzekłam do dowódcy staży, że pojedę przodem. Gdybyście panowie znali Maloren, nie dziwilibyście się mojej nierozważnej decyzji. Jest mi bardzo droga, ale bywa czasem okrutnie nieznośna.

Ranulfa nie zachwyciły te szczere tłumaczenia. Sprawiał wrażenie człowieka, który panuje nad sobą ostatkiem sił.

- Wdzięczni ci jesteśmy, pani - zaczął tonem pełnym szyderstwa - za te wyczerpujące wyjaśnienia, zważ jednak na to, iż nie przybyliśmy tu dla zabawy. Pozwól zatem, że moi ludzie wrócą do swych obowiązków.

- Naturalnie - odparła z ognistym rumieńcem. - Wybaczcie, panowie, że was niepotrzebnie zatrzymałam.

Myghal skłonił się na pożegnanie i odjechał wraz z resztą oddziału.

Ranulf popatrzył za nimi, z trudem powstrzymując się przed wybuchem złości. Co ta smarkuła sobie myśli? A Merrick? Czyżby i on do reszty stracił rozum? Nie dość, że przywiózł ją ze sobą, to jeszcze pozwala jej na takie wybryki? Zostawiła w tyle przydzieloną sobie eskortę, nie zapytawszy nikogo o zgodę. Co za krnąbrna, zuchwała dziewczyna! Może Tregellasa znużyła jej paplanina i posłał ją przodem? Tylko po co w ogóle wziął ją ze sobą? Niewykluczone, że Bea zanadto uprzykrzyła żywot lady Constance. Biedaczka na pewno jest jeszcze słaba po położu. A nuż mąż postanowił się ulitować i uwolnić ją na jakiś czas od gadatliwej, wszędobylskiej kuzynki? Tak, to wielce prawdopodobne...

- Wierz mi, panie - wyrwała go raptem z zamyślenia - nie chciałam sprawić ci kłopotu. Znasz Maloren. Wiesz, jaka potrafi być przykra. Zwyczajnie nie zdzierżyłam dłużej

tego zrzęczenia. - Uśmiechnęła się ze skruchą i posłała mu niewinne spojrzenie, tymczasem on, stary grzesznik, usiłował nie zważać na to, że żółta suknia opina jej ponętne krągłości niczym druga skóra.

Przypomniał sobie pierwsze słowa, które wypowiedziała, gdy przyklęknął obok niej na ziemi, i poczuł się jak łajdak bez serca. Zabolęło ją to, że wyjechał z Tregellas bez pożegnania, a przecie nie chciał przysporzyć jej cierpień. Czemu nie starczyło mu wówczas odwagi, by stanąć z nią twarzą w twarz? Za to teraz nie mógł nacieszyć oczu jej widokiem. Zaczął mieć poważne obawy, że jeszcze moment i wymkną mu się jakiś gest albo słowo, które zdradzą jego prawdziwe, głęboko skrywane uczucia, tę niedorzeczną, nieodpartą tęsknotę, która pchała go ku niej niczym pszczołę do miodu.

- Przyszedłeś mi na ratunek zupełnie jak sir Lancelot - zauważyła z zadowoleniem Bea i obdarowała go kolejnym promiennym uśmiechem.

Czemuż ona tak na mnie patrzy? Dlaczego nie potrafię złościć się na nią dłużej niż chwilę? Gdyby udało mu się wykrzesać z siebie choć odrobinę złości, może zdołałby raz na zawsze poskromić zdradliwą namiętność.

- Spostrzegłem pędzącą konno białogłową - wyjaśnił. Robił, co w jego mocy, by nie okazać wezbranych emocji, które targały jego duszą. - Zdawało mi się, że jej życie jest w niebezpieczeństwie. Postąpiłem więc tak, jak postąpiłby każdy na moim miejscu. - Podszedł do klaczy i ujął zwisające u uzdy wodze.

- Naturalnie - zgodziła się ochoczo Bea i podreptała za nim jak wierne szczenię. - Jesteś, panie, najszlachetniejszym z rycerzy.

- Tak czy owak, nie powinnaś była zapuszczać się w pojedynek tak daleko, zwłaszcza że, jak słyszałaś, w tych stronach nie jest bezpiecznie. Dziwne, że Merrick ci na to pozwolił.

- Ależ nie pozwolił - odparła pospiesznie.

- Nie? - zapytał, zbity z pantafyku. - Jakże to? Jako dowódca wyprawy i twój opiekun...

- Tyle że on... wcale nie stoi na czele wyprawy.

- Merrick nie stoi na czele wyprawy? - powtórzył zdumiony Ranulf.

Miał wrażenie, że rozmawiają w dwóch różnych językach.

- No... idzie o to, że jego w ogóle z nami nie ma... Nie może opuszczać Tregellas, siadać w siodle ani nawet chodzić, a to na skutek niefortunnego upadku, który przytrafił mu się owego dnia, gdy narodził się Peder.

Ranulf popatrzył na nią jak na osobę, która właśnie postradała rozum.

- Co ty pleciesz, niewiasto? Przecież tylko skręcił nogę, nic więcej.

- Tak ci powiedział, panie, bo tak sądził, dopóki nie obejrzał go medyk. Okazało się, że kość jest pęknięta. Całe szczęście, że Constance uparła się posłać po kogoś uczonego, kto lepiej zna się na rzeczy. Ponoć kończyzna zrasta się gładko i nie będzie nawet śladu po złamaniu, ma się rozumieć, jeśli Merrick zastosuje się do zaleceń konsyliarza, a trzeba ci wiedzieć, panie, że nie przychodzi mu to łatwo. Bezczynność wyraźnie mu nie służy.

- Kto w takim razie przewodzi kawalkadzie?

- Cóż, wychodzi na to, że ja - oznajmiła Bea. - Chociaż eskorta pozostaje oczywiście pod komendą dowódcy straży, to jest, Aedena.

- Dalibóg, wierzyć się nie chce... - wymamrotał z niesmakiem.

Aż przykro było patrzeć, jak rzędzie jej mina.

- Nie zełgałabym w takiej sprawie - rzekła urażonym tonem. - Zresztą nie mam zwyczaju kłamać w żadnej kwestii, chyba że chodzi o błahostkę. Wyznam, iż uważam twe słowa za obraźliwe, panie. Czy to się godzi oskarżać mnie o zmyślenie takiej historii?

W istocie rzeczy nie wątpił w prawdziwość jej słów. Wierzył we wszystko, co powiedziała, tyle że coś takiego zwyczajnie nie mieściło mu się w głowie.

Czyżby Merrick podczas owego upadku rozstał się z rozumem? Może oprócz nogi poturbował sobie także i czerep? Puścił lady Beatrice w drogę samą, bez odpowiedniej przyzwoitki i należytej eskorty. Żołnierze, którzy jej towarzyszą, są stanowczo zbyt niskiej rangą. I po cóż, do stu tysięcy diabłów, w ogóle ją tu przysłał?! Chyba tylko po to, żeby mąciła jego spokój i odciągała uwagę od naglających obowiązków, nieustannie go kusiła i przypominała mu o grzesznych ciągach.

- Nadal nie pojmuję, czemu cię tu przysłano, pani - odezwał się opryskliwie, zły na nią, na siebie i na lorda Tregellasa.

- Merrick i Constance zmartwili się, kiedy przeczytali twój list, panie. Przybyłam do Pertenwell, by zadbać o stosowne wygody w twoim domu. Przywiozłam ze sobą kamieniarzy, którzy naprawią mury. Mam też mnóstwo jadła i napitków. Jak rozumiem, przyda ci się także pomoc przy opieszalej służbie. Domyślam się, panie, że wieść o niedyspozycji przyjaciela jest ci wielce niemiła - ciągnęła Beatrice. - Sądziłam wszakże, że mój widok choć trochę ci uraduje.

- Twój przyjazd, pani, jest nierozważny i ze wszech miar niestosowny - rzekł nieprzejednanym tonem. - Trudno dać wiarę temu, że opiekunowie przystali na to, byś podróżowała wyłącznie w asyście służby.

W błękitnych źrenicach Bei pojawiło się coś na kształt przekory.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, panie, że mam powody się ciebie obawiać? Że potrzebuję kogoś, kto by mnie przed tobą strzegł? Mam uwierzyć, że z mego powodu gotów jesteś sprzeniewierzyć się przysiędze wierności, którą składałaś suzerenowi? Że zechcesz nastawać na moją cnotę? - Przechyliła głowę i zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem. - A może lękasz się, że to ja nie zdołam oprzeć się twoim wdziękom, i nie czekając na zachętę, padnę ci w ramiona?

Wyobraźnia natychmiast podsunęła mu tę scenę. Ranulf niemal poczuł, jak Bea obejmuje go ciasno ramionami i, przycisnąwszy do jego piersi swe nęcąco mięciutkie krągłości, podaje mu usta do pocałunku.

- Też mi coś - warknął rozeźlony. - Oczywiście, że nie o to mi idzie.

- Czemu zatem twierdzisz z uporem, że nie powinno mnie tu być? Potrzebujesz pomocy, i to takiej, którą może ci zapewnić tylko niewiasta.

Święci pańscy, czy ona nie zdaje sobie sprawy z tego, jak to zabrzmiało? Nie pomyślała o tym, co mu przyjdzie do głowy, gdy usłyszy takie słowa? Nawet gdyby nie była w jego oczach najcudniejszą i najbardziej wartą grzechu kobietą, jaką dane mu było oglądać, pewno i tak naszłyby go nieprzystojne myśli.

- Ano dlatego - odpowiedział na pytanie - że ludzie wezmą cię na języki, pani. Zaczną snuć fałszywe domysły i rozsiewać kłamliwe plotki, które narażą na szwank twoje dobre imię.

Wyprostowała się jak struna zapewne po to, by dodać sobie rezonu, mimo to czubkiem głowy sięgała mu zaledwie do nosa.

- Wdzięczna ci jestem za troskę, sir Ranulfie - rzekła rezolutnie - ale jeśliś zapomniał, pragnę ci uzmysłwić, iż straciłam dobre imię, gdy mój niegodny wzmianki rodzic dopuścił się zdrady. - Z jej postawy była nieugięta determinacja, czego nigdy wcześniej u niej nie widywał. Zaskoczyło go to, bo miał ją dotąd za łagodną istotę o miękkim sercu. Cóż, widać jedno nie wyklucza drugiego.

- Myśląc i postępując tak niebacznie, nie znajdziesz pani męża...

- A na cóż mi mąż, który daję wiarę potwarzom? Nie poszłabym za głupca, który uważa mnie za rozpustnicę. Poza tym skoro Constance ani Merrick nie sprzeciwiają się memu pobytowi w Penterwell i ty, panie, nie powinienes mieć nic przeciwko temu. To oni są moimi opiekunami, nie ty.

- Otóż to. Tym bardziej uważam, że zblądzili, pozwalając ci na tę wyprawę.

Zmroziła go lodowatym spojrzeniem i rzekła równie oziębłym tonem:

- Dajmy już pokój tej bezowocnej dyspucie, sir Ranulfie. Skoro wątpisz w słuszność decyzji moich protektorów i odmawiasz przyjęcia ofiarowanej ci pomocy, z radością wrócę natychmiast do Tregellas.

Wmówił sobie, że mu ulżyło. W każdym razie spróbował to sobie wmówić. Popatrzył na Beę i nagle zobaczył na jej nosie i czole pierwsze krople deszczu. Zerknęła w niebo, a potem na niego.

- Jak widzisz, zaraz rozpada się na dobre - obwieściła z triumfem. - Rad nie rad musisz nas ugościć przynajmniej na tę noc. Jeśli każesz mi wracać w taką pogodę, mogę się zaziębić i umrzeć, a wtedy Merrick i Constance znienawidzą cię, zaś Maloren ani chybi spróbuje cię zamordować.

- Rzeczywiście nie mam wyboru. - Włożył wiele wysiłku w to, by jego głos zabrzmiał należycie władczo. - Pozwolę ci zostać, pani, ale dalszą drogę do Penterwell odbędziesz w wozie razem ze swoją służącą. Nie chcę ryzykować kolejnego upadku. Teraz jesteś pod moją opieką i dopóki tak pozostanie, będziesz słuchać mnie we wszystkim.

Bea opatuliła się szczelniej peleryną.

- Maloren nie będzie zadowolona - powiedziała z markotną miną. - Nie lubi dzielić się wygodami.

- To nie była prośba, pani. Zrobisz, jak mówię. Jestem twoim gospodarzem i mam obowiązek dbać o twoje bezpieczeństwo.

Uświadomił sobie ze zgrozą, że Beatrice będzie jego pierwszym, szlachetnie urodzonym gościem. Najbardziej martwiło go to, że nie był pewien, czy znajdzie się odpowiednie lokum. Sam spędzał większość dnia poza domem, patrolując okolicę w asyście szeryfa. Wraz z Hadynem prowadzili niełatwe rozmowy z nieufnymi wieśniakami i próbowali dociec, co spotkało Gawena i dwóch pozostałych zaginionych. Gdy wracał wieczorami na kwaterę, posilał się tym, co mu podał kucharz - a była to nieodmiennie jakaś ryba - po czym padał jak kłoda na niechlujne łóżko i w jednej chwili zasypiał.

Gdyby odwiedził go Merrick, nie byłoby kłopotu. W każdym razie nie musiałby zaprzętać sobie głowy takimi błahostkami. Jako zaprawiony wojownik lord Tregellas, podobnie jak Ranulf, przywykł do spartańskich warunków. Zamiast o wygodach, myślałby raczej o potencjalnych wrogach i o tym, jak bronić się przed ewentualnymi zagrożeniami.

Tyle że to nie Merrick potrzebuje gościny, lecz kuzynka jego żony... Na domiar nieszczęścia w oddali pojawił się wóz, którym podróżowała Maloren. Swarliwa staruszka na wpół stała, na wpół siedziała, szarpiąc raz po raz ramię woźnicy. Pokrzykiwała mu przy tym wprost do ucha. Nieborak wymachiwał rozpaczliwie batem, ale na wzburzonej pasażerke jego wysiłki nie robiły najmniejszego wrażenia. Wciąż próbowała go pona-glać.

- Moja owieczka, umiłowana! - lamentowała wniebogłosy. - Przepadła na wieki! Nigdy jej nie odnajdę! Boże litościwy, nie pozwól, by stała jej się krzywda! Jesteś narzeczcie, dziecino! - zawołała, spostrzegłszy podopieczną. - Gdzieś ty się podziewała? Co tu robi ten szubrawiec? I dlaczego masz utyłaną pelerynę? Cała w błocie, słowo daję! Czy ten szatański pomiot próbował cię napastować? A widzisz? Mówiłam, żebyś nie odjeżdżała samopas. A ci dwaj trutnie, co to mieli cię pilnować, a wrócili sami? Tfu! Dar-mozjady jedne! Niech dziękują stwórcy, że jestem słaba niewiasta, gdyby nie to, klęnę się na Boga, nie uszliby z życiem.

De Beauvieux ubolewał w duchu i zadał sobie pytanie, czym zasłużył na taką pokutę: Bea, a na dobitkę stara sekutnica Maloren. Beatrice posłała mu karcące spojrzenie, zupełnie jakby odgadła jego myśli.

- Ciesz się, panie, że nie będziesz musiał jej słuchać przez resztę drogi do Penterwell. Mnie jak nic uszy spuchną od tego gderania.

Kusiło go, żeby się nad nią zlitować i odwołać rozkaz, ale tylko przez chwilę. Gdyby to zrobił, Bea jechałaby konno u jego boku, a tego wolał uniknąć. Po co kusić los?

Stanąwszy w wielkiej sali, Maloren skrzywiła się z obrzydzeniem.

- Święta Panienko! Toż w takim chlewie nawet świń nie godzi się trzymać, a co dopiero uczciwych chrześcijan! Tfu! W imię Ojca i Syna...

Tym razem Beatrice zgodziła się ze służącą. Było o wiele gorzej, niż się spodziewała, a nie miała zbyt wielkich oczekiwań. Do tej pory nie widziała domostwa w tak opłakanym stanie. Ponaddzierane i poczerniałe od dymu gobeliny zwisały smętnie ze ścian, a na poobijanych i odrapanych stołach wały się zaschnięte resztki jedła. Większość sprzętów wyglądała tak, jakby nigdy nie była czyszczona. Pozbawione obicia drewniane krzesło przeznaczone dla gospodarza przywodziło na myśl przemyślne narzędzie tortur.

Wzdrygnęła się na myśl o tym, co zastanie w kuchni i komnatach. Myszy harcujące w spiżarni i robactwo w pościeli... brr... Nie dziwota, że Ranulf poskarżył się w liście do Merricka i że gdy tylko zajęchali do zamku, wymówił się obowiązkami i czym prędzej czmychnął. Cóż, nie miał czego się wstydzić. Trudno wymagać od mężczyzny, by znał się na prowadzeniu domu. Pojęła także, czemu prosił o kamieniarzy. Mur obronny był podziurawiony i z jednej strony zaczynał się walić. Wprawdzie wyrwy pozatykano ogromnymi belkami, ale podczas nieprzyjacielskiego ataku drewno mogło łatwo się zająć ogniem.

Zamek nie imponował rozmiarami. Składał się z wielkiej sali, komnat na piętrze przeznaczonych dla kasztelana i służby, kuchni oraz lochu. Było także kilka drewnianych budynków gospodarczych, między innymi stajnia. Spory brukowany dziedziniec wyglądał w miarę schludnie.

- Spójrz tylko na te śmiecie, kruszyno - powiedziała Maloren. - Leżą tu od miesiący i cuchną jak, nie przymierzając, padlina. Toż to jest padlina! Bodaj mnie piorun strzelił, jeśli to nie szcurze ścierwo! Nie możemy tu zostać. Niepodobna żyć w takim brudzie i smrodzie. Robactwo jak nic pożre nas żywcem. Wracajmy w te pędy do Tregellas. Deszcz nam niestraszny.

Beatrice zmówiła w duchu modlitwę, prosząc o łaskę wytrwałości. Nie pierwszy raz tego dnia jej cierpliwość została bowiem wystawiona na ciężką próbę. Zaledwie chwilę przed tym, w drodze z wozu do wrót kasztelu, piastunka uskarżała się płaczliwie, że przemokła do suchej nitki.

- Aura nie sprzyja, a i pora zbyt późna, by ruszać w tak daleką podróż. Nie chcesz chyba stanąć na nocleg na wrzosowisku?

Staruszka prychnęła z niezadowoleniem i wzniosła dłoń, wskazując wymownym gestem przeciekający sufit.

- Tutaj wcale nie będzie nam lepiej niż pod gołym niebem. Utoniemy w łózkach, jeśli nie będziemy zbyt zajęte opędzaniem się od najrozmaitszych szkodników.

Bea zbyła tę uwagę milczeniem. Była zbyt zajęta rozglądaniem się dookoła. W korytarzu, który jak jej się zdawało wiódł do kuchni, zauważyła kilka skromnie odzianych niewiast, najpewniej służących. Na szczęście nie prezentowały się aż tak żałośnie, jak można by przypuszczać, sądząc po reszcie gospodarstwa. Może zatem problem nie leżał w skłonności do próżniactwa, lecz w braku odpowiedniego zwierzchnictwa. Uznała, że skoro ma zostać choćby tylko na jedną noc, może przynajmniej spróbować się podjąć powierzonego jej przez opiekunów zadania. Nic to, że Ranulf spogląda na jej misję nieprzychylnym okiem. Nie będzie się tym przejmować. Dopóki kasztelan nie odeśle jej do domu, dopóty będzie robić, co w jej mocy, by dotrzymać słowa danego Tregellasom.

Podeszła zdecydowanym krokiem do grupki służących. Wypadałoby, aby przedstawił ją gospodarz, ale skoro nie ma go w pobliżu, poradzi sobie sama. Uśmiechnęła się przyjaźnie i powiedziała:

- Witajcie. Jestem lady Beatrice, kuzynka lady Constance, pani na zamku Tregellas. Przybyłam do sir Ranulfa z wizytą, a także po to, by zaprowadzić w jego domu ład i

przywrócić mu dawną świetność. Jak wiecie, wasz pan nie ma żony ani żadnej innej krewnej, dlatego też zadanie to przypadło w udziale mnie.

Służki wymieniły między sobą spojrzenia. Żadna nie ośmieliła się wyrzec słowa ani nawet odwzajemnić uśmiechu.

Bea skinęła na najmłodszą i najmniej wystraszoną ze stadka.

- Jak ci na imię?

- Tecca, jaśnie pani.

- Która z was jest najwyższa rangą?

- Esled, jaśnie pani, ale jej tu z nami nie ma.

- Gdzie zatem jest?

- Nie wiemy...

Beatrice była przekonana, że dziewczyna nie mówi prawdy. Pozostałe służące także wyraźnie unikały jej wzroku. Uznała wszakże, iż nie warto tego roztrząsać, w każdym razie nie w tej chwili. Teraz zajmowała ją inna kwestia. Pragnęła za wszelką cenę wypełnić należycie swoją powinność.

- W takim razie przyślijcie ją do mnie, jak tylko się odnajdzie. Lady Constance zobowiązała mnie, bym zadbała o wszelkie wygody sir Ranulfa. Mam mu zapewnić warunki przynależne jego pozycji. Dopilnuję, by tak się stało. Na początek życzyłabym sobie, by jedna z was zabrała moją pokojową do kuchni. Będzie sprawowała pieczę nad dzisiejszym posiłkiem.

- Też mi coś - utyskiwała za jej plecami Maloren. - Jak niby mam sprawić, żeby podano coś zjadliwego? Tutejszą polewkę jak nic okrasza się muszymi larwami!

- Larwami? - zagrział niespodziewanie oburzony baryton. - Kto śmie twierdzić, że w moich potrawach pływają róbale? Pokaż się śmiałku, jeśli ci życie nie miłe!

W przejściu pojawił się zwałisty mężczyzna. Opasły brzuch opinał zabrudzony tłuszczem fartuch, a spod podwiniętych do łokci rękawów koszuli wystawały grube przedramiona. Pulchne palce pokrywały liczne drobne blizny, a imponujących rozmiarów czaszka świeciła kompletną łysiną.

Beatrice wybaczyła mu wołający o pomstę do nieba brak manier i obdarowała go uprzejmym uśmiechem.

- Jak mniemam, jesteś kucharzem? - zapytała dla pewności.

- Nie inaczej - odparł zadziornie. - W dodatku najlepszym w całej Kornwalii - dorzucił, puszczając przy tym jak paw. - Sir Ranulf nie ma najmniejszego powodu do narzekania.

Pozwoliła sobie wątpić w prawdziwość tych ostatnich słów, lecz na razie puściła owe czcze przechwałki mimo uszu. Postanowiła omówić z nim tę ważką kwestię nieco później. Na osobności. Tymczasem spytała:

- Kiedy podasz wieczerzę?

- Jak będzie gotowa.

Miarka się przebrała. Nic dziwnego, że to miejsce zeszło na psy. Bea poprzysięgła sobie, że od tej pory służba nie będzie odnosić się w tak niegodny sposób do państwa. Już ona pokaże temu gburowi, gdzie raki zimują. Jak pomyślała, tak uczyniła. Wyprostowawszy dumnie ramiona, odezwała się z przygną, na jaką zasługiwało jego uwłaczające zuchwalstwo.

- Służysz u sir Ranulfa jako kucharz, zdaje się, żeś o tym zapomniał, pozwól więc, że ci przypomnę. Masz przed sobą kuzynkę lady Tregellas, której małżonek jest suzerenem twojego pana. Kiedy zadaję ci pytanie, oczekuję konkretnej i uprzejmej odpowiedzi. Jeśli nie zastosujesz się do moich poleceń, niebawem pożegnasz się z posadą. Czy wyrażam się dość jasno?

Skonfundowany kucharz rozejrzał się niepewnie na prawo i lewo, jakby spodziewał się ratunku od którejś ze służących, te jednak wpatrywały się uparcie w podłogę. Zaczzerwienił się jak burak, po czym otarł ręce o umorusany fartuch.

- Pan każe mi czekać z posiłkiem, aż wszystkie patrole wrócą do zamku.

Beatrice kiwnęła głową.

- Pojmuję. Skoro tak, zaczekamy. Jak cię zwać?

- Much, jaśnie pani.

- Możesz odejść. Zabierzesz ze sobą Maloren. Powiesz jej, jakie podasz dziś potrawy i pomożesz nadzorować wyładunek zapasów, które przywiozłyśmy z Tregellas.

- Jak pani rozkaże.

Bea przeniosła wzrok na Teccę.

- Ty pójdziesz ze mną. Wskażesz mi drogę do alkierza pana.

Rozdział piąty

Komnata kasztelana przedstawiała równie nędzny widok, jak reszta zamku. Ogromne łoże z baldachimem wyglądało tak, jakby nigdy nie zaścielano go na dzień. Na pociemniałych od brudu zasłonach zebrało się mnóstwo kurzu. Kolczuga i przyłbica Ranulfa wisiały na stojaku w kącie izby. Kasztelan nie miał giermka, musiał więc dbać o zbroję osobiście. Resztę przyodziewku przechowywał najpewniej w wysłużonym drewnianym kufrze, który ustawiono pod wąskim oknem. Na niedużym zdewastowanym stole spoczywały drewniana miednica służąca do mycia, gliniana czarka do polewania oraz niezbyt czyste lniane płótno do wycierania.

Bea postąpiła ostrożnie naprzód i weszła do środka. Zawahała się, gdy spostrzegła na podłodze coś, co przypominało zad wielkiego kudłatego psa.

- To niedźwiedzia skóra - oznajmił od progu de Beauvieux, który nagle się pojawił.

Obróciła się na pięcie i ujrzała, że opiera się o framugę.

- Zawsze leży na podłodze czy spadła z łóżka?

- Jeszcze wczoraj leżała na łóżku - odparł Ranulf, przyglądając jej się nieprzeniknionym wzrokiem. - W nocy zrobiło mi się gorąco, więc zrzuciłem ją na ziemię.

Zdradliwa wyobraźnia natychmiast podsunęła Bei obraz niekompletnie odzianego Ranulfa leżącego w pościeli.

- Wypada mi żałować, że nie podniosłem jej wcześniej - stwierdził, przemierzając pewnym krokiem izbę.

Sprawiał wrażenie odprężonego, ale wyczuwała w nim napięcie. Widywała go wcześniej w takim stanie. Jego swoboda zniknęła, gdy pojawiała się niebezpieczeństwo. Zastępowały ją czujność i gotowość do tego, by chronić siebie lub przyjaciół. Zastanawiała się czasem, czy ująłby się za nią, gdyby coś jej groziło albo gdyby ktoś ją obraził. Czy broniłby jej czci, a raczej tego, co z niej zostało, po tym jak zhańbił ją ojciec?

- Zrobiłbym to zawczasu - kontynuował cierpko - gdybym wiedział, że będę gościł w swej komnacie białogłową. Wyznam, że się tego nie spodziewałem. Pragnę zauważyć,

że nie godzi się, aby niezamężna panna przebywała w alkierzu mężczyzny. Co innego, gdy są sobie poślubieni... Jako że nie zamierzam wziąć cię za żonę, pani, nalegam, byś omijała tę izbę z daleka. Twoja obecność tutaj jest nie tylko niestosowna, lecz także niepożądana. Bądź łaskawa skierować wysiłki na pozostałe części zamku.

Pomyślała ze smutkiem, że on naprawdę nie pamięta, co się między nimi wydarzyło owego wieczoru w Tregellas.

- Skoro już znalazłam się w Penterwell, mogę choć w części spełnić prośbę Constance. Uznałam, że w pierwszej kolejności należy zadbać o twoje wygody, panie. Koniec końców pełnisz funkcję kasztelana i należą ci się pewne przywileje. Poza tym wcale nie jesteśmy sami. Przyszła ze mną Tecca... - Urwała, gdy odwróciła głowę i zorientowała się, że młoda służąca zniknęła.

- Jak mniemam, masz pani na myśli służkę, która pałętała się przy wejściu? Odprawiłem ją. Doszedłem do wniosku, że nie wypada, by słuchała, jak się kłócimy.

- Kłócimy? - powtórzyła niepewnie. - A o cóż mielibyśmy się kłócić? Pragnę jedynie zaprowadzić w zamku porządek i zapewnić ci świeże posłanie, czystą komnatę i godziwe jadlo. Nie ma powodu kruszyć kopii o takie błaahostki.

- Owszem, jest, i to bardzo ważki powód. Otóż nie jesteś pani moją żoną ani narzeczoną. Nie możesz więc przejmować obowiązków gospodyni mego domu.

Bea podeszła do okna i stanęła plecami do Ranulfa. Ostatnie promienie słońca ozłociły jej włosy.

- Co do wygód i przywilejów - dodał, zmusiwszy się, by oderwać od niej wzrok - zapewniam cię, pani, że przywykłem do spartańskiego życia. Jestem rycerzem, a nie udzielnym księciem. Możesz być spokojna, wystarczy mi to, co mam.

Odwróciła się z wolna. O dziwo, nie spoglądała na niego ze złością czy oburzeniem. W jej błękitnych oczach malował się bezbrzeżny smutek, na widok którego ścisnęło mu się serce.

- Constance nie mogła przybyć do Penterwell osobiście z powodu dziecka i niedyspozycji Merricka. Zawdzięczam jej tak wiele, że z ochotą zgodziłam się ją zastąpić, a teraz ty każesz mi panie wrócić z kwitkiem i powiedzieć kuzynce, że nie zdołałam sprostać tak łatwemu zadaniu, że nie potrafiłam pomóc drogiemu przyjacielowi jej męża...

Poczuł się jak największy okrutnik w całym chrześcijańskim świecie, wiedział jednak, że postępuje słusznie, przymuszając Beatrice do wyjazdu.

- Opuść moją komnatę. - I to jak najprędzej, dodał w myślach. Zanim zrobię coś, czego będę żałował.

Podeszła do niego niespiesznie.

- A może Maloren ma rację, kiedy nazywa cię łajdakiem i bezecnikiem? Czy to dlatego tak cię rozgniewał mój przyjazd? Obawiasz się, że nie będę przy tobie bezpieczna, Ranulfie?

Raptem nabrał ochoty, by głośno zakląć. Dalibóg, czy ona nie wie, jak działają na niego jej wdzięki? Nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo jest piękna i ponętna? Zapewne nie ma pojęcia, że igra z ogniem. Owszem, jest przy nim bezpieczna, lecz wyłącznie dlatego, że siłą woli przekonał samego siebie, by trzymać emocje na wodzy. Być może, pomyślał w desperacji, nadeszła pora, by dać jej nauczkę na przyszłość.

Niech wreszcie zrozumie, że przy mężczyznach musi mieć się na baczności, także przy tych, od których nie spodziewa się doznać żadnej krzywdy. Trzeba jej uzmysłwić, że nawet ci najszlachetniejsi czasem ulegają pokusie, zwłaszcza kiedy się ich prowokuje. Żaden inny na jego miejscu nic by sobie nie robił z tego, że ma do czynienia z cnotliwą i naiwną młodką. Każdy widziałby tylko jej urodziwą twarz i dorodne ciało, a nie zacne usposobienie i dobre serce. Odczytaliby jej słowa jak wyzwanie, swoisty sprawdzian męskości, ją samą zaś potraktowaliby jak trofeum, łatwą zdobycz, która pomoże im uleczyć urażoną dumę.

Sam postąpił ongiś w tak nikczemny sposób z kilkoma niewinnymi pannami. Pokaże jej, do jakiej podłości zdolni są przedstawiciele męskiego rodu. Nadaje się do tego zadania znakomicie. Któż lepiej niż on wie, co znaczy pohańbić niewiastę?

- Może jestem dzielnym rycerzem i człowiekiem honoru - rzekł, zbliżając się do niej z pożądliwym uśmiechem - ale żaden ze mnie święty, a ty, moja pani, urodziwa.

Utkwiła w nim zadziwione spojrzenie, gdy przyparł ją do ściany i rozpostarłszy ramiona odciął jej drogę ucieczki.

- Lepiej odejdz, moja słodka - powiedział - z tej izby i z tego domu. Wyjedź z Pen-terwell, nim przekonasz się na własnej skórze, że niezłomność ludzi honoru także ma

swoje granice. Mówię poważnie, Beatrice. Wyjdź stąd natychmiast, bo jeśli zostaniesz choćby chwilę dłużej, to jako żywo, porwę cię do łóża.

Ku swemu zdumieniu, odkrył, że jego szorstkie słowa nie przyniosły spodziewanego skutku. Nie dostrzegł w jej oczach lęku, zobaczył za to namysł, a zaraz po nim niekłamana radość.

- Inni mężczyźni wychwalali wielokroć moją urodę, ale ty, Ranulfie, nie rzekłeś o tym ani słowa. - Kąciki jej ust uniosły się lekko, jakby daremnie próbowała powstrzymać uśmiech.

De Beauvieux w skrytości ducha posłał wszystkich innych mężczyzn do czarta.

- Nie lękam się być z tobą sama - oznajmiła, wyciągnawszy rękę, by pogłaskać go po policzku. - Nie boję się ani ciebie, ani tego, co mógłbyś zrobić.

Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, Beatrice posłała mu promienny uśmiech, od którego zaparło mu dech w piersiach. Gdy na nią teraz spoglądał, miał wrażenie, że od dawna marzy o tym, by spełnił swoją groźbę, zaniósł ją do łóża i kochał... W jednej chwili zapomniał o tym, że zamierzał nauczyć ją czegoś o życiu. Zobaczył w jej źrenicach odbicie własnych pragnień i nie zdołał nad sobą zapanować.

- Bea - wypowiedział jej imię jak zaklęcie i żarliwie pocałował w usta.

- Ranulf - szepnęła i z zapalem oddała pocałunek.

Obejmowała go tak mocno, że czuł na sobie jej piersi. Nagle rozchyliła wargi, dotknęła jego języka i ochoczo pogłębiła pocałunek. Ranulf pozwolił, by tłumione dotąd emocje wybuchy ze zdwojoną mocą. Zapomniał o prawości, honorze i lojalności wobec Merricka. Kiedy trzymał Beę w ramionach, wszystko inne przestawało się liczyć. Widział tylko jej wyjątkową urodę i niepospolite wewnętrzne piękno. Wielbił ją za jej szlachetną duszę i za miękkie serce, za żywiołowość i odwagę, za to, że wносиła radość w jego samotne i puste życie. Tulił ją jak najcenniejszy skarb, a jej entuzjastyczna reakcja na jego pieszczoty podsycala w dwójnasób jego zapal.

- Bardzo jestem rada, że nie urodziłeś się świętym - powiedziała, gdy zamierzał wziąć ją na ręce i zanieść do łóża. - Wolałabym wszakże, byś pozbył się tej okropnej brody. Okrutnie drapie.

Te słowa podziały na Ranulfa jak kubek zimnej wody. Odzyskał poczucie rzeczywistości, a wraz z nim wrócił mu rozsądek. Przypomniawszy sobie, że zapuścił brodę właśnie przez wzgląd na Beę. Chciał ją w ten sposób przekonać, że jest dla niej za stary. Przebywała pod jego dachem jako gość, a on posunął się za daleko. Bądź co bądź, stała przed nim powinowata jego suzerena. Nie miał niczego, co mógłby jej ofiarować; był ubogim rycerzem bez tytułu, majątku i koneksji. Na domiar złego dręczyły go duchy grzesznej przeszłości. Skalał swoją duszę na wieki, a Beatrice to uosobienie czystości i niewinności.

Nie mógł sobie darować, że okazał się słaby i posłuchał podszeptów zdradliwego ciała. Nie powinien był jej całować, dopuścić do tego, że zostali tylko we dwoje. Trzeba było wzbraniać się przed tym za wszelką cenę, aby zawczasu zapobiec komplikacjom. Cóż, zyskał przynajmniej pewność, że w pobliżu Beatrice nie może sobie ufać. Będzie trzymał się od niej jak najdalej i traktował ją z dystansem.

Popęłnił niewybaczalny błąd i musi go czym prędzej naprawić. Tak, zdusi kiełkujące między nimi uczucie, póki jeszcze starcza mu na to sił i ochoty, zanim będzie za późno.

- Żadna dotąd się nie uskarżała - oznajmił z udawaną swobodą, odsuwając się na bezpieczną odległość. - Dowiodłaś swoim zachowaniem, że ktoś cię już kiedyś całował. Czy jako przyjacielowi rodziny, żywo zainteresowanemu twoim losem, wolno mi spytać, kto dostąpił tej łaski? Zdradzisz mi, pani, kogo uczyniłaś obiektem swoich westchnień? Czy to aby nie ów gładysz Kiernan?

- Nie ma potrzeby mieszać w to syna sir Jowana. To przyjaciel, nikt więcej.

Ranulf zignorował nagłe uczucie ulgi i skupił się na tym, że nie zaprzeczyła temu, iż młodzian ją całował.

- Może nie jesteś wcale aż tak cnotliwa, za jaką cię miałem...

- Nie było przed tobą nikogo innego. Chciałam, żebyś to był ty. Masz słuszość, nie był to pierwszy raz. Całowałaś mnie wcześniej.

Gdy spojrzawszy na nią oniemiała ze zdumienia, ujęła się pod boki i przyjrzała mu się podejrzliwym wzrokiem.

- Naprawdę nie pamiętasz, co między nami zaszło owej nocy przed twym wyjazdem z Tregellas?

De Beauvieux przypomniał sobie rozkoszny sen sprzed kilku tygodni. Czyżby to jednak nie był sen? Czy to zdarzyło się na jawie? A jeżeli tak, pomyślał zdjęty nagłą zgrozą, czy zapomniał o czymś jeszcze? Czy upojony do nieprzytomności winem, wykorzystał niegodnie podopieczną przyjaciela?

- Och, nie patrz na mnie z takim przestraczem, Ranulfie. Nie ma powodu do obaw. Pocałowaliśmy się, tak jak teraz, i wszystko. Potem przegnałeś mnie precz i wpędziłeś w czarną rozpacz. Poczułam się jak największa jawnogrzesznica w całym chrześcijańskim świecie, bo to ja pierwsza pocałowałam ciebie, nie na odwrót. Sam się zatem domyśl, kto jest obiektem moich westchnień. Z pewnością nie Kiernan.

- Ty pocałowałaś mnie? - zapytał zaskoczony.

Prawdę mówiąc, zrobiło mu się odrobinę lżej na duszy, bo mógł zrzucić część winy na Beę.

- Owszem, wówczas tak, ale dziś ty zrobiłeś pierwszy krok, mimo że nie pamiętałeś poprzedniego razu.

Roześmiał się z przymusem.

- Dalibóg, lady Beatrice, tylko młódka jak ty robi tyle hałasu z powodu zwykłego pocałunku. Wracaj lepiej do Tregellas i zabierz ze sobą te dziecinne rojenia. Miłość to nie ballada wyśpiewywana przez wędrownych bardów.

Zamiast czmychnąć, jak oczekiwał, zmarszczyła brwi i spojrzała na niego z błyskiem w oku.

- Sądysz, że nie potrafię odróżnić ckliwych pieśni od prawdziwego życia? Jeśli tak, to bardzo się mylisz. Wzniosłe uczucia opiewane w strofach poetów zazwyczaj wiodą do nieuchronnego nieszczęścia. W rzeczywistym świecie zakochani nie zawsze kończą tragicznie. Chcesz przykładu? Merrick i Constance. Czy według ciebie ich miłość to również tylko ułuda?

- Tego nie powiedziałem. Nie twierdzę, że miłość nie istnieje. Mówię tylko, że to rzadki dar. Tak czy owak twego niestosownego uwielbienia dla mojej osoby z pewnością

nie nazwałbym prawdziwym kochaniem. To jedynie mrzonki niedoświadczonej dzierlatki, nic więcej.

- Przykro mi słyszeć, że tak mało mnie znasz - odparła spokojnie, zbliżając się do niego niespiesznie. - Skoro sądzisz, że moje uczucia są żalosne i niegodne uwagi, to czemu mnie całowałeś?

Cofnął się o krok.

- Próbowałem cię oświecić. Uzmysłowić ci, co może się przytrafić młodej nieroztropnej pannie, gdy zapomni o dobrym obyczaju i pozwoli sobie zostać sam na sam z mężczyzną.

Przyjrzała mu się z jawnym powątpiewaniem.

- Zaiste ciekawy obrałeś sposób prawienia mi morałów. Nie przyszło ci czasem na myśl, mój panie rycerzu, że twoje nauki mogą przynieść zupełnie odwrotny skutek? Że kiedy raz zasmakuję twych pieszczot, zapragnę czegoś więcej?

Na psa urok, wpadłem we własne sidła, pomyślał Ranulf, zżymając się na samego siebie.

- Na szczęście wiem o tobie całkiem sporo i mam pewność - kontynuowała z niezmaconym spokojem - że nie muszę się ciebie lękać. Każdy, kto zna cię choć trochę, ma cię za człowieka prawego i godnego zaufania. Żaden z ciebie nikczemnik. Poza tym jesteś oddanym druhem mojego opiekuna. Nigdy nie wyrządziłbyś mi krzywdy.

Co to wszystko ma znaczyć? Przecież chciał ją wystraszyć i odstręczyć, a ona zamiast pierzchnąć, gdzie pieprz rośnie, wyśpiewuje hymny pochwalne na jego cześć.

- Owego wieczoru w Tregellas nie pierwszy raz dowiodłeś, że spoglądasz na mnie pożądliwie. Już wcześniej pojęłam, że czujesz do mnie coś więcej niż przyjacielski sentyment. Pamiętasz tańce podczas wigilijnej wieczerzy? Niewiele brakowało, byśmy pocałowali się już wtedy. A może powiesz mi, że wcale mnie wówczas nie pragnąłeś?

A niech mnie, pomyślał, przeklinając w duchu własną słabość. Splótł ramiona i przybrał niedbałą pozę.

- Uznajmy to za chwilowe pomieszanie zmysłów. Zapewne otumanilo mnie wino.

- Och, byłeś w pełni świadom tego, co robisz. Prawie w ogóle nie piłeś.

Do diaska! Zebrał się w sobie, by odeprzeć atak, lecz kłamstwa z trudem przechodziły mu przez gardło.

- Przyznaję, zastanawiałem się, czy cię nie pocałować. Ciekaw byłem, co poczujesz. Od tamtej pory zdążyłem utwierdzić się w przekonaniu, że jednak się co do ciebie nie myliłem. Dowiodłaś swoim brakiem roztropności, jaka jesteś bezmyślna i łatwowierna. Nie można ci ufać, w każdym razie nie na tyle, by pozawalać ci przebywać bez przyzwoitki w pobliżu mężczyzn. Gotowa jesteś zdać się na ich łaskę, niepomna na konsekwencje. Co do twego nieszczęsnego afektu dla mojej osoby, radzę ci porzucić wszelkie nadzieje na wzajemność. Nie gustuję w bezrozumnych pannach, które wodzą za mną cielecym wzrokiem i same proszą się o nieszczęście.

Beatrice wpatrywała się w Ranulfa z namysłem, jakby zamierzała przeniknąć w głąb jego duszy i odkryć skrywane w niej sekrety.

- Czemu nie jesteś ze mną szczery? Dlaczego boisz się przyznać, że mnie pragniesz? Czy dlatego, że inna niewiasta złamała ci serce?

Ranulf na chwilę zapomniał języka w gębie.

- Nigdy nie wspominałem o żadnej niewieście - rzekł z niejakim wysiłkiem.

- Co nie znaczy, że takowej nie było - odparła rezolutnie. - To przez wzgląd na nią nie pozwalasz mi się do siebie zbliżyć. Nie chcesz, by znów cię zraniono. Wolisz odrzucić moją miłość i szansę na szczęście...

Gdybyż tylko wiedziała, jak wielki zadaje mu ból. Jej słowa przywołały dawno zapomniane uczucia i wspomnienia. Odezwał się oschle:

- Ogłuchłaś? A może naumyślnie udajesz głupszą, niż jesteś? Ileż to razy i na ile różnych sposobów mam ci powtarzać, że nie zamierzam pobłażać twoim umizgom? Nic mi po nich.

Przyjrzała mu się przenikliwie, po czym stwierdziła:

- Nie chcesz mnie dlatego, że jestem córką zdrajcy.

- Nie ponosisz winy za grzechy ojca.

- Klnę się na Boga, Ranulfie, że choć płynie we mnie krew człowieka, który zdradził króla, ja cię nie zdradzę.

Wierzył jej, co tylko pogarszało sprawę. Nie zasługiwał na lojalność. Gdyby Bea wiedziała, ile krzywd wyrządził innym białogłowom, ani chybi nie chciałaby na niego więcej spojrzeć. Potrząsnął ją lekko za ramiona i utkwiał w niej wzrok.

- Posłuchaj, Beatrice. Nie jesteś dla mnie nikim więcej niż bujającą w obłokach, nieopierzoną dzierlatką. Nie przeczę, że jesteś urodziwa i że twój pocałunek był przyjemny, ale świat pełen jest ślicznych dziewcząt, które dobrze całują. Jeśli zechcę wziąć sobie żonę, będzie to dojrzała i obyta niewiasta, a nie zielona młódka. Nie chcę cię i nigdy cię nie zechcę, pojmujesz?

O tak, pojęła wreszcie prawdę, a raczej wierutne kłamstwo, które usiłował jej wmówić. Jej oczy straciły cały blask, a w miejsce ufności i nadziei pojawiły się w nich ból i smutek. Jego bezlitosne łgarstwo złamało jej serce. Czy wyglądał tak samo jak ona teraz, gdy Celeste wyznała mu, że poślubi lorda Fontenbleu? I czy Celeste czuła wówczas wstyd i skruchę? Czy przeklinała w duchu samą siebie za to, co mu uczyniła, i życzyła sobie śmierci?

Przygotował się na szloch i łzy, lecz nie nadeszły. Beatrice wyprostowała się dumnie i obrzuciła go wyniosłym spojrzeniem, jakby w mgnieniu oka z dziewczęcia przemieniła się w silną i dostojną niewiastę.

- Zadbam o twe wygodę, panie - oznajmiła - zgodnie z tym, co nakazali mi lady Constance i lord Merrick. Zostanę, czy ci to w smak, czy nie w smak i będę pełnić swoją powinność dopóty, dopóki nie przymusisz mnie do wyjazdu. - Z tymi słowy obróciła się na pięcie i wyszła z komnaty.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Ranulf oparł się ciężko o najbliższą ścianę i zwiesił głowę. Czuł się podle. Nie chciał jej zranić, ale czy miał inne wyjście? Bea zasługiwała na lepszego męża. Był przekonany, że nadejdzie dzień, w którym sama to zrozumie. Kto wie, może nawet będzie mu wdzięczna za to, że ją odrzucił i wybaczy mu to, co dziś zrobił i powiedział. Westchnął głęboko i otrząsnął się z przygnębienia. Nie dla niego uroki życia w małżeńskim stadle. Nigdy nie zazna miłości ukochanej małżonki i nie będzie miał gromadki dzieci. Pozostanie sam i dokona żywota w pojedynkę.

W czasie gdy owe smutne myśli zaprzętały Ranulfa, Beatrice wbiegła do pierwszej napotkanej komnaty. Zamknawszy na skobel drzwi, opadła na kolana i przytknęła czoło

do twardej drewnianej podłogi. Jak mogła tak bardzo się mylić? I pomyśleć, że miała go za wzór wszelkich cnót... tego parszywego podleca, łajdaka i rozpustnika! Maloren ma słuszość, nazywając go czarcim pomiotem. Na dobitkę okazał się niewdzięcznikiem! Drwi sobie w najlepsze z jej poczucia obowiązku i nie dba o to, że przybyła tu w dobrej wierze. Z całego serca pragnęła mu pomóc, a on potraktował ją tak, jakby chciała wpuścić do jego domu zabójczą zarazę. Skoro nie jest mu potrzebna, niechaj zgnije w brudzie i smrodzie, które niebawem całkowicie owładną tym pozał się Boże zamkiem. Niech je spleśniały chleb i zepsute mięsiwa, niech śpi w nieświeżej pościeli w izbie pełnej kurzu i niech zemrze w samotności, przez nikogo nie kochany.

Musiała chyba postradać zmysły, kiedy wmówiła sobie, że go kocha. Wcale go nie kocha i nigdy nie będzie go kochać. Nic jej po nim i po jego kłamliwych pocałunkach. Zaczepnęła głęboko tchu i potrząsnęła głową. To nieprawda, niczego nie udawał, kiedy ją całował. Może łągać do woli i zaprzeczać temu, że jej pragnie, może się usprawiedliwiać i podawać tysiące wykrętów, a ona i tak wie swoje. Jego usta i dłonie nie kłamały, kiedy jej dotykał.

Kłamał wtedy, gdy upierał się, że jej nie chce. Tylko dlaczego tak postąpił? Czemu odrzucił jej miłość? Tego jednego nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Z całą pewnością nie chodzi o różnicę wieku. Młode panny wielokroć poślubiają znacznie starszych od siebie mężczyzn i nikt się temu nie dziwi. Zresztą mężczyźni zabiegają zwykle o jak najmłodsze żony. Owszem, brakowało jej doświadczenia, ale to także w oczach wielu uczyniłoby ją bardziej pożądaną. To chyba lepiej, że sam nauczyłby ją wszystkiego, co powinna wiedzieć o małżeńskich powinnościach.

Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak wspaniale byłoby dzielić z nim łóżko, lecz znów się zachmurzyła. Przypomniała sobie bowiem o rozlicznych przeszkodach, które Ranulf uparł się wynajdywać. Nie miała pojęcia, co nim powodowało, ale szybko doszła do wniosku, że może porzucić nadzieje na spędzenie upojnych chwil w ramionach ukochanego do czasu, gdy się dowie, czemu jej wybranek tak zawzięcie wypiera się uczucia, które niewątpliwie do niej żywi.

Intuicja podpowiadała jej, że chodzi o inną kobietę. Kiedy go o to zapytała, miał takie dziwne spojrzenie... Jakaś płocha dziewczka wzgardziła ongiś jego uczuciem i spr-

wiła, że od tamtej pory uważał się za niegodnego miłości. Jak ma go przekonać, że jest wart kochania? Jak przywrócić mu wiarę w siebie? Co zrobić, by zapomniał o tamtej? Już ona znajdzie sposób, aby dotrzeć do jego serca, musi tylko zadbać o to, by rankiem nie odesłał jej do Tregellas...

Wyjrzała z nadzieją przez okno. Wciąż padało. Jeśli do jutra ulewa nie ustanie, nie będą mogły wyruszyć w podróż powrotną. Oby tak się stało. Gdy odmawiała modlitwę o deszcz, raptem zaczęła kichać. Podobnie jak w większości pozostałych pomieszczeń zamku, w tej izbie również unosiły się tumany kurzu, a ze ścian zwisały ogromne pajęczyny. W dodatku nie było żadnych sprzętów z wyjątkiem opartego o ścianę łóżka.

Rozejrzawszy się dookoła, Bea uznała, że komnata nada się w sam raz na alkierz dla niej i dla Maloren. Wystarczy posprzątać i wstawić dodatkowe meble. Na szczęście, przywiozły ze sobą przenośny stolik, dwa stołki oraz własną, czystą pościel. Beatrice zabrała także podręczny kuferek z medykamentami. Wśród rozmaitych mikstur i proszków znajdował się specyfik na sen, który medyk aplikował Merrickowi po złamaniu nogi.

Niespodziewanie wpadł jej do głowy pewien niezawodny pomysł. Wystarczy, że doda do wina odrobinę eliksiru z ziarenek maku i zyska pewność, że nie opuści jutro zamku. Roześmiała się w głos zadowolona z własnej zmyślności. Dumny i nieprzystępny sir Ranulf niebawem przekona się na własnej skórze, że trafił na godną siebie przeciwniczkę. Może nareszcie pojmie, że lady Bea nie poddaje się bez walki.

Rozdział szósty

Ranulf jęknął przeciągle, gdy zbudził się następnego ranka. Co mi jest? Głowę i ramiona miał jak z ołowiu. Zupełnie jakby poprzedniego dnia pofolgował sobie zanadto z trunkami, a przecież nie tknął wina podczas wieczery, którą spożył w towarzystwie milczącej Bei. Ileż to razy wcześniej pragnął, by uciszyła się choć na chwilę? Kiedy raptem ucichła i przez cały posiłek nie wyrzekła ani słowa, odczuł to dotkliwie.

Choć zasmucało go to, że Beatrice się na niego złości, wiedział, że nie wolno mu ustąpić w kwestii wyjazdu. Panna musi wrócić do Tregellas i zabrać ze sobą miłosne deklaracje. Nie zniósłby, gdyby dowiedziała się prawdy o jego haniebnej przeszłości. Z dwojga złego wolał, aby odeszła w gniewie.

Słusznie odgadła, że dawno temu zaznał gorczy miłosnego zawodu, ale to nie pamięć o postępku Celeste kazała mu odwrócić się od Bei. Czuł się niegodzien jej miłości i szczerego oddania. Nie zasługiwał na nią z powodu okropieństw, których dopuścił się po rozstaniu z dawną ukochaną, a także z powodu zbrodni, którą popełnił wiele lat wcześniej, gdy był jeszcze wyrostkiem.

Tak będzie dla niej lepiej, tłumaczył sobie po raz setny. Nie może pozwolić, aby nadal żywiła nadzieję na ich wspólną przyszłość, a nade wszystko nie może dopuścić do tego, aby przebywali blisko siebie. Nie ufał sobie na tyle, by mieć pewność, że nie ulegnie pokusie. Przynajmniej ta jędza Maloren choć raz wyglądała na ukontentowaną, pocieszał się w duchu, odrzucając okrycie. Usiłował podnieść się z łóżka, ale ociężałe członki odmawiały mu posłuszeństwa, jakby próbował pływać w bagnistym jeziorze. Leżał chwilę nieruchomo, wdychając ulotny zapach lawendy. Kiedy wczoraj wieczorem wrócił do komnaty, by udać się na spoczynek, niemal nie rozpoznał wysprzątaney, schludnie wyglądającej izby. Na łóżku znalazł połatany siennik oraz świeże posłanie. Ściany ozdobiono kolorowymi gobelinami, na stoliku paliła świeca, a obok niej stał puchar wypełniony aromatycznym winem z przyprawami.

Beatrice dotrzymała słowa mimo tego, co między nimi zaszło. Nie mógł zaprzeczyć, że po raz pierwszy od wielu tygodni porządnie się wyspał. Tylko nie wiedzieć czemu rozsadzało mu od tego czaszkę. Podniósłszy się z wysiłkiem na nogi, sięgnął po

opróżniony kielich. Powąchał osad na dnie i zaklął pod nosem. Ktoś dosypał mu do trunku czegoś na sen. Chwycił pozostawione na krześle odzienie i zaczął się pośpiesznie ubierać. A może próbowano go zamordować? A jeśli przeżył tylko dzięki zrządzeniu opatrznosci, bo dawka okazała się zbyt mała?

Która może być godzina? - zastanawiał się, podchodząc do okna. Na zewnątrz lało jak z cebra, niczym w czasach biblijnego potopu. Do diabła, jeszcze i to...

Nagle otworzyły się drzwi i w progu stanęła Maloren z wiadrem wody i lnianymi ręcznikami w rękach.

- Jaśnie pan raczył nareszcie wstać - stwierdziła zrzędliwie, obrzucając go wzgardliwym spojrzeniem. - Niektórym to się zdaje, że jak tylko przypadnie im w udziale szanowany urząd, to zaraz mogą sobie przesypiać całe dnie. A zamknijże te okiennice, bo deszcz się leje do środka. Kto potem wytrze podłogę? Nuże!

- Wiesz może, kto zostawił mi wczoraj przy łóżku puchar z winem? - zapytał Ranulf, zignorowawszy zaczepkę.

Jeszcze zanim skończył zdanie, przemknęło mu przez myśl, że to być może jej sprawka. Kto wie, co takiej strzeli do głowy? Niewykluczone, że próbowała go ukatrupić, żeby uchronić przed nim „swoją gołąbeczkę”. Przypisywała mu wszelkie możliwe wszeteczeństwa.

- Moja śliczna i zacna panienska, a któż inny? - odparła, przyglądając mu się, jakby postradał rozum. - Nieboga ma tak miękkie serduszko, że pomaga nawet takim, co na pomoc nie zasługują.

Bea? To niemożliwe. Ktoś musiał mieć dostęp do kielicha wcześniej, zanim go tu przyniosła.

- A skąd się wino wzięło?

- Jak to skąd? - Służąca uraczyła go kwaśną miną. - Przywiozłyśmy je ze sobą z Tregellas, ma się rozumieć. Panienska doprawiała je własnymi rączynami, choć doskwierało jej zmęczenie po długiej podróży.

- Wierzyć się nie chce...

Staruszka prychnęła z oburzeniem i wlepiła w niego wzrok pełen przygany.

- Wiem chyba, co widziałam, choć sama się dziwię, że jej się chciało. Widzę, że zawracała sobie głowę nadaremno. Dla takiego niewdzięcznika nie warto palcem kiwnąć.

W tym miejscu de Beauvieux stracił cierpliwość. Nie miał najmniejszej ochoty wysłuchiwać dłużej impertynencji.

- Jako że wciąż nie przestaje padać - zaczął przez zaciśnięte zęby - ty i twoja pani zostaniecie pod moim dachem jeszcze przez jakiś czas. Radzę ci tedy, niewiasto, abys powściągnęła swój niewyparzony język. W przeciwnym razie każę cię wtrącić do lochu, żebyś mogła zastanowić się nad swoim zuchwalstwem.

Usta służącej rozchyliły się ze zdziwienia, a w jej oczach pojawił się lęk.

- Nie ośmielisz się...

- Tak ci się zdaje? - wszedł jej w słowo Ranulf.

Naturalnie nigdy nie zamknąłby w ciemnej celi białogłowy, zwłaszcza leciwej, ale ta wiedźma nie musi o tym wiedzieć. Niech wreszcie poczuje respekt.

- Moja panienka ci na to nie pozwoli! Nie da mnie skrzywdzić, ty... ty... - wydukała Maloren, cofając się o kilka kroków.

- Twoja pani nie ma tutaj żadnej władzy, zważ zatem na to, co i jak do mnie mówisz. Nie wiem i nie dbam o to, czemu powzięłaś do mnie tak wielką niechęć, ale weź sobie moje słowa do serca. Znużyły mnie twoje bezpodstawne oskarżenia i nieustanne zgryźliwości. Nie będę ich dłużej cierpliwie znosił. Wiedz także, że nie zamierzam czynić zakusów na cnotę lady Beatrice. Jako powinowata mego przyjaciela i suzerena, jest dla mnie owocem zakazanym.

- I nie tkniesz jej, panie?

Gdybyż tylko mógł z ręką na sercu złożyć taką obietnicę, byłby wówczas o wiele spokojniejszy.

- Klnę się na honor, że nie będę próbował jej zbałamucić - odparł wykrętnie, acz całkiem szczerze.

- Bogu niech będą dzięki! - uradowała się Maloren.

Na jej pulchnym obliczu odmalował się wyraz niewysłowionej ulgi.

- Skoro masz moje słowo, spodziewam się, że odtąd będziesz odnosić się do mnie z szacunkiem przynależnym jeśli nie mnie samemu, to przynajmniej urzędowi.

- Tak jest, panie.

- Możesz odejść.

- Za chwilę, panie. - Podeszła do stojącego pod ścianą kufra i uniosła z łoskotem pokrywę.

- Co robisz?

- Pani kazała mi zabrać całe twoje odzienie do prania i cerowania, panie.

Ranulf spojrział odruchowo na nogawice, które miał na sobie, i koszulę, którą wciąż trzymał w dłoni.

- Tym, conosisz dzisiaj, zajmiemy się jutro - uspokoiła go służąca i skierowała się do wyjścia z naręczem ubrań.

Nie zatrzymywał jej. Miał pilniejsze sprawy na głowie niż z kolejną sprzeczka z Maloren. Zresztą miło będzie chodzić w czystych rzeczach. Tymczasem czeka go kolejna rozmowa z Beatrice. Umył się pospiesznie i narzuciwszy koszulę, wyszedł z komnaty. W wielkiej sali panowało istne pandemonium. Liczni służący uwijali się jak w ukropie. Niektórzy zamiatali podłogi ze starych śmieci, inni szorowali pszczelim woskiem meble, jeszcze inni stali na drabinach i zbierali pajęczyny. Do tego dookoła biegało mnóstwo okolicznych dzieci, a uwiązane w kącie psy zajadały w najlepsze kości z wczorajszego obiadu. W kominku wesoło trzaskał ogień. Zniszczone gobeliny zniknęły ze ścian, a zastąpiły je pochodnie, które rozświetliły całe wnętrze.

- Sir Ranulfie! - usłyszał nagle gdzieś z góry.

Zadarł głowę i ku swemu zdumieniu i przerażeniu ujrzał Beę na szczycie jednej z drabin. Natychmiast wyobraził ją sobie leżącą ze złamanym karkiem na podłodze.

- Co robisz, pani, życie ci niemiłe?! - wrzasnął rozeźlony, zmierzając ku niej szybkim krokiem. - Złaż w tej chwili!

Na szczęście, nie opierała się. Zeszła na ziemię nad wyraz zwinnie, co nie znaczy, że wolno jej było pozwalać sobie na takie wariactwa. Od razu zauważył, że jest ubrana nie lepiej niż wieśniaczka. Miała na sobie prostą jasnobrązową suknię z samodziału, a na głowie lnianą chustę, mimo to nigdy nie wydawała mu się piękniejsza i bardziej godna pożądania. Nawet z podłużną smugą kurzu na nosie i policzku. Oddałby wszystko, byle tylko została panią na jego zamku. Co dzień przyglądałby się z uśmiechem, jak niczym

mały generał komenderuje potulną służbą. Wyrzekłby się doczesnych dóbr, gdyby dzięki temu została jego żoną. Szkopuł w tym, że nie miał żadnych dóbr.

- Mogłaś spaść i skrócić kark, pani - odezwał się z wyrzutem. - Jak wytłumaczyłbym się przed Constance i Merrickiem?

- Powiedziałbyś, że postąpiłam nierozważnie i że nie było w tym twojej winy - odparła z rozbijającym uśmiechem.

Już się na niego nie boczy?

- Zachowaj powagę, pani. Nie przystoi, by dobrze urodzone panny włąziły na drabiny i pracowały razem ze służbą.

- Kiedy ja to lubię - oświadczyła radośnie. - Wciąż powtarzasz panie, że dobry dowódca to ktoś, kto nie stroni od ciężkiej pracy, którą wykonują jego podkomendni. Poza tym miło żyć w czystości i porządku, prawda? - dodała przymilnym tonem.

- Tak czy owak nie powinnaś, pani, wdrapywać się na drabinę. To zbyt niebezpieczne. Mogłaś zrobić sobie krzywdę.

- Mówisz, panie, jakbyś sam nigdy nie narażał się na niebezpieczeństwa.

- Ja to co innego. Jestem rycerzem. Ryzyko to moja powinność.

- Ja zaś mam zadanie przywrócić w tym domu porządek. Złożyłam obietnicę opiekunom.

- Miałaś, pani, wyjechać.

- Nie możemy jechać w deszczu. Nie zauważyłaś, panie, że wciąż pada?

- I owszem, zauważyłem - oznajmił cierpko, przypomniawszy sobie, że ma jeszcze jeden powód, aby zmyć jej głowę. - Gdybym nie zauważył, to dlatego, że ktoś dosypał mi wczoraj czegoś do wina. Zdaje się, że owej osobie bardzo zależało na tym, bym się „porządnie” wyspał.

- I co? Wyspałeś się, panie?

- A jakże, i dobrze o tym wiesz, bo ty mnie uśpiłaś.

- Nie przeczę - odparła bez cienia skruchy. - Wydawałeś się taki wyczerpany, że postanowiłam użyć mikstury, którą medyk aplikował Merrickowi. - Uśmiechnęła się, jakby wygrała ważną potyczkę. - Wyglądasz dziś o wiele lepiej, choć nie da się ukryć, że

jesteś wyjątkowo zręczliwy. W kuchni czeka na ciebie suty posiłek. Może poprawi ci nastrój. - Przyjrzała mu się uważnie. - Za dużo pracujesz, panie, i za mało jesz. Wychudłeś.

- Moja pani... - zaczął surowym tonem, powtarzając sobie w duchu, że nie dba o to, jak wygląda w jej oczach.

- Mój panie - przerwała mu z błyskiem w oku, złożwszy ręce w błagalnym geście. - Proszę, nie sprzeciwiaj się. Pragnę jedynie zarządzać twym zamkiem, dopóki nie ustaną deszcze. Potem poddam się twojej woli i wrócę do Tregellas. - Raptem na jej twarzy za gościł smutek. - Nie zapomniałam, coś mi wczoraj powiedział, Ranulfie. Pewno nigdy tego nie zapomnę, ale chyba możemy żyć w przyjaźni?

Zawahał się. Jakże miałby się przyjaźnić z niewiastą, która wzbudza w nim tak żarliwe uczucia? Już miał otworzyć usta, by odpowiedzieć, gdy wtem spostrzegł, że wokół zrobiło się cicho jak makiem zasiał, a wszyscy obecni wlepiają w nich zaciekawione spojrzenia. Cała służba wraz z Maloren przysłuchiwała się rozmowie państwa. Wystarczyło jedno karcące spojrzenie Bei, by wścibscy służący wrócili do pracy.

- A zatem, jak będzie, Ranulfie? - zapytała szeptem, tak by tylko on ją usłyszał. - Przystaniesz na moją prośbę czy pozwolisz służbie nadal się próżniaczyć w zamian za schronienie i strawę, które od ciebie dostają?

Cóż było robić? Boże, daj siłę, bym jakoś to przetrwał, pomyślał zrezygnowany, po czym oznajmił gromkim głosem:

- Podczas pobytu lady Beatrice w Penterwell macie jej słuchać tak, jakbyście słuchali mnie.

Bea posłała mu pełen wdzięczności uśmiech, który chwycił go za serce.

- Dziękuję, Ranulfie.

Sam nie wiedział, czy bardziej ma ochotę nią potrząsnąć, czy może wolałby ją przytulić. Chciał też rzucić na koniec jakąś uszczypliwą uwagę, ale nic rozsądnego nie przychodziło mu do głowy. Okręcił się więc na pięcie i odszedł.

- *Sacre bleu!* - zaklął Francuz, wspinając się po stromym zboczu ku wejściu do jaskini. - I pomyśleć, że przetrwał setki bitew na morzu po to, żeby teraz zginąć marnie na jakichś piekielnych skałach. Ślisko jak piorun! - Zerknął na młodego Kornwalijczyka,

który stał nieco wyżej z pochodnią w ręku. - Pewno wolałbyś, żebym jednak pozostał przy życiu, co?

Myghal zmarszczył brwi i zerknął niechętnie na towarzysza. Pierre szmuglował cynę od dwudziestu lat i miał wygląd marynarza; usianą zmarszczkami ogorzałą skórę, posiwiałe włosy i stwardniałe dłonie. Odziany był w skórzaną tunikę, spodnie oraz lnianą koszulę. Jego biodra opinał szeroki, ozdobiony srebrną klamrą pas na miecz. Oprócz niego nosił także co najmniej trzy sztylety, dwa u pasa, jeden w bucie. Pusty oczodół pod krzaczastą brwią przydawał mu upiornego wyglądu.

Gdy weszli do skalnego przedsionka, znaleźli na jednej ze ścian kolejną pochodnię. Dym uchodził na zewnątrz przez liczne szczeliny i unosił się w powietrzu w postaci zwiewnej mgiełki. To właśnie dzięki temu niewielka grota od pokoleń służyła rodzinie Myghala za potajemną kryjówkę. Trudno byłoby odkryć to miejsce komuś, kto go nie znał.

Przyboczny szeryfa zniknął na moment w głębi pieczary, by pojawić się z powrotem z dwudziestoma funtami cyny. Odkupił ją od kilku okolicznych blacharzy, którzy prowadzili wykopki na wrzosowiskach. Francuz obejrzał metal pod światło.

- Rzecz jasna, nie podejrzewam cię o oszustwo - rzekł sceptycznie - nie po tym, co dla ciebie zrobiłem. Coś mi się jednak zdaje, że jesteś mi winien więcej.

- To wszystko, co mam. Zresztą, na tyle się umawialiśmy.

- Za zgładzenie Gawena, *oui*, ale po śmierci sir Frioca sprawy nieco się skomplikowały.

- To też twoja sprawka? - zapytał z niepokojem Myghal.

- *Mon Dieu! Mais non!* Skądże znowu! - obruszył się Pierre jakby sama myśl o dokonaniu mordu napawała go odrazą. - Za nic nie zabiłbym tak pożytecznego jegomościa - dodał, przysiadając na kamieniu. - Przymykał oko na przemytniczy proceder, innymi słowy pozwalał nam zarabiać na chleb. Za to ów Ranulf... Cóż, nie pożyje długo. Niech no tylko wejdzie mi w drogę, a poślę go na spotkanie z szatanem o wiele wcześniej, niż by sobie psubrat życzył. A że będzie się smażył w piekle, to pewne jak amen w pacierzu. Nawet jeśli tylko połowa z tego, co o nim powiadają, to prawda.

- A co takiego powiadają? - zainteresował się Myghal, siadając naprzeciwno.

Francuz wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiešku.

- Nowy kasztelan nie jest aż tak łagodny i dobroduszny jak jego poprzednik. Jak to mówią, jaka mać, taka nać, choć zepsucie odziedziczył raczej po mieczu aniżeli po kądzieli. Ponoć utopił własnego brata.

- Nie może to być! - Oczy Myghala zrobiły się okrągłe jak spodki. - Kto rozpusza takie plotki?

- Odwiedź sobie któryś z londyńskich przybytków rozpusty, a każdy ci to powie. Ojciec przegnał go po tym z domu. Potem nasz „dzielny” sir Ranulf trafił do mistrza Leonarda. Jak przekonał de Brissy'ego, by ten przyjął go pod swoje skrzydła, nie wiem. Trudno odgadnąć. Tak czy owak uczył się u niego na rycerza i tym sposobem poznał lorda Tregellasa. Żałuj, żeś nie słyszał innych legend, które krążą o nim po zamtuzach. Niezgodniejszy z niego kochaś, jeśli dać wiarę temu, co ludzie gadają.

Kornwalijski wykrzywił sceptycznie usta. Opis marynarza nijak nie pasował do kasztelana.

- Nie dowierzasz mi, *mon ami*? A powinienes. Zawsze dbam o to, by się wywieźć wszystkiego o tych, którzy strzegą wybrzeża. Odkryłem na przykład, że sir Ranulf pragnie za wszelką cenę zdemaskować zabójcę Gawena, co, jak mniemam, nie jest ci na rękę.

- To nie ja go zabiłem, lecz ty. Owego dnia, kiedy wyzionął ducha, spędziłem cały wieczór w karczmie. Widziało mnie tam mnóstwo ludzi.

- Zważ na to, że jeśli zostanę pojmany przez kasztelana, ani chybi wyjawię mu, iż to ty zapłaciłeś mi za zgładzenie rywala. Radzę ci zatem postarać się o to, aby nigdy mnie nie schwytano.

Zastępca szeryfa poczuł się jak zwierz w potrzasku. Uczucie to wzbierało w nim od chwili, gdy zaprzedał duszę diabłu i zawarł ów przeklęty pakt z Pierre'em.

- Powinienes przez jakiś czas trzymać się z dala od Penterwell. To najlepsza rada, jaką mogę ci dać. Nie tylko ze względu na sir Ranulfa. Mieszkańcy wioski także mają swoje podejrzenia. Sądzą, że z twojej ręki zginęli również Sam i Rob.

- Co? Że niby ja ich ubiłem?

- Nie inaczej. Ty albo twoi ludzie.

- Cóż, my tego nie zrobiliśmy, ale skoro twoi ziomkowie mają w tym względzie inne zdanie... Może istotnie lepiej będzie na trochę zniknąć. Widzisz, młodzieńcze, jednak znalazło się coś, czym mogłeś spłacić pozostały dług.

Pełen złych przeczuć Myghal uzmysłowił sobie ze zgrozą, że przyjdzie mu za to płacić do końca życia.

- Nie mówmy o morderstwach - rzekł pojednawczo Pierre, wyjmując zza pazuchy bukłak. - Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym. Jak ci idą zaloty do wdowy?

- Nie chcę o niej mówić - odparł młodzian, wymawiając się od picia.

- A zatem sprawy nie mają się najlepiej. Poproś o radę kasztelana, skoro tak go podziwiasz. Założył się ongiś, że uwiedzie czternaście dziewczic w ciągu dwóch tygodni. Po jednej na każdą noc i, jak mówią, wygrał. Widzę, że mocno jesteś zadziwiony, a to urodziwy mężczyzna uczony w sztuce wojennej i miłosnej. Któraż oprze się takiej kombinacji? Nie dziwota, że ledwie zjechał na zamek, a już przybyła za nim owa śliczna młódka. *Magnifique!* Jako żywo cud nie dziewczucha! Zbiłbym na niej majątek na targu niewolników w Tangerze.

- Lady Beatrice to dobrze urodzona niewiasta, kuzynka pani na zamku w Tregellas.

- Cóż, widać sir Ranulf mierzy wysoko, i nie bez powodzenia.

- Panna nie jest jego nałożnicą. Powiadam ci, że to powinowata jego suzerena.

Francuz roześmiał się szyderczo.

- I cóż z tego? Ależ z ciebie romantyczny głupiec, słowo daję! Myślisz, że skoro sam nie masz odwagi uwieść upragnionej dziewczki, inni mają podobne skrupuły? Sir Ranulf się do takich nie zalicza, wierz mi. Te dziewczice, o które szedł zakład, pochodziły z szanowanych domów.

- Rękę dam sobie odjąć, że lady Beatrice nie łączy z nim zażyłość - upierał się Kornwalijszyk. - Zdaje się, że on jej nawet nie lubi. Tak czy inaczej, lepiej porzuć zamiśl uprowadzenia jej. Jeśli włos spadnie jej z głowy, sir Ranulf i lord Tregellas nie spoczną dopóty, dopóki nie odnajdą winnego, a kiedy już go schwytają, zadadzą mu długą i bolesną śmierć.

Pierre położył rękę na piersi, jakby poczuł się urażony.

- A kto powiada, że chciałbym ją porwać? Chociaż, skoro już o tym wspomniałeś... Tak, po namyśle dochodzę do wniosku, że gra warta świeczki. - Wykrzywił usta w złowrogim uśmiechu. - Można by na dziewczce nieźle zarobić, wystarczy ją tylko tego i owego przyuczyć.

Myghalowi zrobiło się niedobrze. Wolał nie myśleć o tym, jaki los spotyka niewiasty, które wpadają w szpony bezwzględnego Francuza.

- Podzielę się z tobą profitem, jeśli pomożesz mi ją pojmać. Kto wie, może nawet pozwolę ci trochę sobie na niej poużywać.

Kornwalijczyk potrząsnął głową wyraźnie zgorszony.

Francuz westchnął i wzruszył ramionami.

- Jak uważasz, ja w każdym razie nie zamierzam rezygnować. Na kupczeniu dziewczkami da się zbić majątek. - Jego oko zamigotało niezdrowo w świetle pochodni. - Twoja Wenna też jest całkiem urodziwa, nie powiem. Za jaki miesiąc czy dwa po rozwiązaniu możemy dostać za nią niezłą cenę.

- Za Wennę? - Myghal wlepił w niego przerażony wzrok.

- Tak, nie przesłyszałeś się, miałem na myśli twoją śliczną Wennę - odparł z pogardą Francuz. - Dobijmy zatem kolejnego targu, *mon ami*. Ty ułatwisz mi schwytanie nobliwej lady Beatrice, a ja w zamian za to zostawię twoją wybrankę w spokoju. Jeżeli odmówisz, spotka ją marny los, a cała wioska dowie się o tym, że kazałeś ukatrupić jej męża.

Rozdział siódmy

Trzy dni później nadal lało jak z cebra. Ranulf zmierzał z wolna w stronę położonego na obrzeżach wioski domu szeryfa. Woda wpadała mu za kołnierz i chlupała w butach, lecz niewiele sobie z tego robił. Choć on i Bea doszli do porozumienia i ogłosili rozejm, wolał ulewę i przemoczone do suchej nitki odzienie aniżeli przebywanie w jej obecności.

Przyglądanie się Beatrice podczas robienia porządków okazało się ponad jego siły. A trzeba powiedzieć, że wszędzie było jej pełno. Jako że jej uśmiechy i radosna paplania działały na niego niczym przemyślna tortura, starał się w ogóle na nią nie patrzeć i nie wyobrażać sobie, jakby to było gdyby mogła zostać w Penterwell jako jego żona.

Owe wysiłki naturalnie na niewiele się zdały. Nie opuszczała go nawet w snach. Dziś także zaspał, bo przyśniło mu się, że leżą razem w jego łóżu spleceni w namiętym uścisku. Wspomnienie owej wyśnionej upojnej nocy dręczyło go, odkąd rankiem otworzył oczy. Dotarłszy do celu, zapukał energicznie do drzwi. Na szczęście, Hedyn nie był żonaty. Dzięki temu będą mogli przedyskutować ważne kwestie, nie rozpraszani krzątaniną niewiast.

Otworzył mu ciemnowłosy służący i zaprosił kasztelana do środka.

- Święci pańscy! - zawołał zaskoczony gospodarz, podrywając się z krzesła. - Nie spodziewałem się, że zawitasz do nas w tę niepogodę, panie. Toż to utopić się można w owej ulewie. Proszę do środka, czym chata bogata, siądź, panie, przy ogniu i ogrzej się.

Gdy de Beauvieux usadowił się wygodnie we wskazanym miejscu ze stopami wysuniętymi w stronę płomieni, szeryf obrzucił go przenikliwym spojrzeniem.

- Wolno spytać, co cię sprowadza w moje skromne progi, panie?

Ranulf nie zamierzał się przyznać, że zwyczajnie uciekł z domu przed szalem sprzątania.

- Przychodzę z nadzieją, że dowiedziałeś się czegoś nowego o owych dwóch zaginionych.

- Niestety, przypadli jak kamień w wodę, co oznacza, że jak nic wyzionęli ducha. Gdyby żyli, do tej pory byśmy coś o nich usłyszeli. Ich łódź była za mała na dalekie wyprawy.

- Mamy aż trzy trupy oraz nieoczekiwany zgon sir Frioca, a wszystko to w ciągu minionego miesiąca. Niezbyt pomyslna wróżba na przyszłość.

- W rzeczy samej.

Kasztelanowi stanął przed oczami przerażający widok ciała Gawena.

- Zatem mieszkańcy wioski nadal milczą? Wierzyć się nie chce, że nikt nic nie wie, niczego nie widział ani nie słyszał... Muszą mieć choćby jakieś podejrzenia...

- Według mnie z wolna się do ciebie przekonują, panie, ale upłynie jeszcze trochę wody w rzece, nim całkowicie ci zawierzą. Wiadomo, Kornwalijczycy to lud podejrzliwy wobec obcych.

- Chyba tobie ufają. Jesteś tutejszy, ich krajan i sąsiad.

Na pomarszczonej twarzy starszego mężczyzny pojawił się krzywy uśmiech.

- Jestem Kornwalijczykiem z urodzenia, tyle że pochodzę z wioski położonej do-
brych kilka mil stąd, a to tak jakbym także był nietutejszy.

De Beauvieux rozparł się wygodnie na krześle, gotów do pogawędki.

- Oby jak najprędzej rozwiązały im się języki. Nie chcę tu więcej morderstw.

- Wierz mi, panie, oni również tego nie chcą. Co więcej, są żywo zainteresowani tym, kto dopuścił się owych haniebnych czynów. Pragną, aby winni zostali przykładnie ukarani. Jeszcze parę dni i zaczną mówić.

Parę dni, wątpliwa pociecha, pomyślał Ranulf. Oby w tym czasie żaden mieszkańiec Penterwell nie skończył jako topielec.

- A Gwenbritha?

- Nadal przebywa u matki, panie. Wieść o tym, że sir Frioc odszedł z tego świata, bardzo ją zasmuciła. Wiem, bo osobiście przekazałem jej tę niewesołą nowinę.

- Nie zapominaj, że niewiasty bywają podstępne i kłamliwe.

- Nie przeczę, ale Gwenbritha nie jest winna tej śmierci. Na mój rozum nikt tu nie zawinił, już najprędzej brak rozwagi świętej pamięci kasztelana. Nie znaleźliśmy przy nim żadnych śladów, trawa dokoła nie była zdeptana, igliwie nietknięte ludzką stopą,

słowem nic podejrzanego. Gotów jestem pójść o zakład, że był to nieszczęśliwy wypadek.

Kasztelan miał nadzieję, że szeryf się nie myli.

- Doszły mnie słuchy, panie, że na zamek zjechał znamienity gość - zagadnął Hedyn.

- A tak - odparł od niechcienia Ranulf. - Odwiedza mnie lady Beatrice, kuzynka lady Tregellas.

- Powiadają, że to urodziwa panna.

- I owszem.

- Ponoć tak dała się we znaki kucharzowi, że nie wiedział, gdzie oczy podziać.

Hm... o tym Ranulf nie słyszał, ale nie wypadało się z tym zdradzać.

- Przybyła, aby zaprowadzić w domu porządek - wyjaśnił z lekceważącym śmiechem. - Sam nie wyznaję się na takich rzeczach.

- Zuch panna. Nareszcie ktoś utarł nosa kucharzowi. Ani sir Frioc, ani Gwenbritha nie potrafili ukrócić jego hucpy.

Kasztelan uznał, że powinien położyć kres wszelkim niepożądanym supozycjom.

- Zamierzam odesłać ją do Tregellas, jak tylko się wypogodzi.

- Ach tak? Sądziłem, że zostanie na dłużej.

- Nie zostanie.

- Wielka szkoda. Żał się rozstawać z tak piękną i rezolutną niewiastą. Same dobre rzeczy o niej powiadają, a to przecież coś znaczy.

- Same dobre rzeczy? - powtórzył z powątpiewaniem Ranulf. - Wychwalają ją nawet ci, których pędzi do roboty?

Hedyn posłał mu pobłażliwy uśmiech.

- Znajdzie się paru wałkoni, którzy złorzeczą, kiedy im się każe wyleźć z łóżek. Ci utyskują od świtu do nocy, ale większość nie lubi bezczynności. Od nieróbstwa stają się drażliwi. Wystarczy odrobinę nimi pokierować, a lady Beatrice to sprawiedliwa i szczerą pani. Podarowała Tecce nowy szal za to, że tak dobrze się sprawiła, przygotowując dla niej komnatę.

- Inne służące nie miały jej tego za złe?

- Nawet jeśli były zazdrosne, to z pożytkiem dla ogółu. Zaczęły się bardziej starać, żeby przypodobać się lady Beatrice. Słyszałem, że obiecała każdej nową sukienkę, jeśli porządnie wysprzątają zamek. Okoliczne wyrostki patrzą w nią niczym w obrazek. Same przychodzą i upraszają się o zajęcie, a gdy uporają się z zadaniem, dostają mnóstwo łakoci. Powiadam ci, panie, będzie z niej kiedyś nie byle jaka żona. Jej małżonek będzie najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem.

- Zapewne - zgodził się Ranulf. - Jednak nie zamierzam wziąć jej za żonę - dodał na wszelki wypadek.

- Nie? Hm... widzi mi się, że jesteś w wieku w sam raz do żeniaczki.

- Może i tak. Kiedyś się ożenię, ale nie z lady Beatrice. - Ponieważ nie zostało już nic więcej do omówienia, kasztelan wstał i zaczął się zbierać do wyjścia. - Skoro nie masz dla mnie żadnych nowych wieści, szeryfie, wrócę na zamek i tam zaczekam na powrót patroli.

Gospodarz podniósł się z miejsca i położył gościowi rękę na ramieniu.

- Widzisz, panie, kochałem ongiś pewną pannę, a i ona mnie miłowała - rzekł ściszym głosem. - Rozdzielił nas jej ojciec, który nie wiedząc czemu powziął do mnie wielką niechęć. Ja zaś byłem zbyt dumny i uparty, by do niego pójść i skamlać, żeby oddał mi rękę córki. I tak przez własną hardość straciłem ją na wieki. Czekala na mnie na próżno i koniec końców wyszła za mąż za innego, a ja nigdy sobie tego nie darowałem. Nie było dnia, w którym bym nie żałował, że nie ubłagałem nieprzychylnego mi rodzica, by zmienił zdanie.

De Beauvieux zmierzył Kornwalijczyka nieprzeniknionym spojrzeniem.

- Przykro słuchać o twej niedoli, Hedynie, ale w moim przypadku chodzi o coś innego. Jeśli w przyszłości będę potrzebował rady w sprawach serca, sam o nią poproszę.

Jakiś czas później kasztelan wrócił do zamku. Wielka sala zmieniła się nie do poznania. Wnętrze lśniło czystością, a po pajęczynach nie zostało ani śladu. W powietrzu unosiła się przyjemna woń ziół, słomy oraz pszczelego wosku. Na ścianach zawisły ponownie wyprane i pocerowane gobeliny. Krzesło, na którym zazwyczaj siadywała Beatrice, świeciło pustkami.

Ranulf przywołał gestem stojącą nieopodal Maloren.

- Gdzie twoja pani? - zapytał, nie kryjąc zniecierpliwienia. - Wieczera gotowa.

Pora zasiadać do stołu.

- Poszła do wsi, panie.

- Do wsi? Po co?

- Odwiedzić Wenne. Wdowę po Gawenie?

- A czemuż to?

- Nadchodzi pora rozwiązania, panie - zabrała głos inna służąca, zerkając trwożliwie na Maloren. - Wenna przysłała do zamku po Eseld. W okolicy nie ma akuszerki, a Eseld była obecna przy wielu narodzinach.

- Lady Beatrice postanowiła jej towarzyszyć?

- Ta cała Eseld to najzwyczajniejsza w świecie moczymorda, panie - orzekła z pogardą Maloren. - Od śniadania śpi w stajni. Znalazłszy ją nieprzytomną od gorzałki, panienska rzekła, że pójdzie zamiast niej.

- Nie jest akuszerką - zauważył cierpko kasztelan. - Na nic się tam nie przyda.

- Lepsza moja gołąbeczka niż nikt - odparła piastunka. - Wiele się nauczyła od Aedy, poza tym często rozprawia o różnych rzeczach z medykiem. Wbrew temu, co niektórzy o niej sądzą, lady Beatrice to bardzo rozumna młoda panna. Sporo wie o uzdrawianiu.

Ranulf wielekroć widywał Beę z uzdrowicielem, lecz nie sądził, że dziewczyna poważnie interesuje się niesieniem pomocy chorym. Tak czy inaczej, nie powinna się wyprawiać do wioski w taką pogodę.

- Poszła w taki deszcz?

- Nie chciała odesłać posłańca z kwitkiem, niech Bóg ją błogosławi za dobre serce.

- Ilu wzięła ze sobą ludzi?

Zapadło pełne napięcia milczenie.

- Żadnych, panie... - odezwała się nieśmiało Tecca.

- Wybrała się tak daleko zupełnie sama?

- Ależ nie, nie sama - pospieszyła z wyjaśnieniem Maloren - Ja chciałam z nią pójść, ale kazała mi zostać i przypilnować, żeby kucharz przygotował na wieczerzę coś innego niż rybę. Wówczas Myghal zaproponował, że odprowadzi ją na miejsce.

W tym momencie otworzyły się drzwi.

- Brr! Cóż za okropna ulewa! - zawołała od progu Beatrice. - Bałam się, że nim do-
trzymamy do chaty Wenny, zmiecie nas do morza. - Zsunęła z głowy przemoczony kaptur. -
O, sir Ranulfie, wróciłeś! - wykrzyknęła, jakby to on opuścił zamek bez uprzedzenia i
bez należytej eskorty. - Zatem musiała nadejść pora posiłku. Wychodziłam w takim po-
śpiechu, że nie zdążyłam się posilić, a Wennie, niebodze, się nie przelewa, choć podzieli-
ła się ze mną, czym tylko mogła. Zaczyna niewiasta, żal patrzeć, że spadła na nią taka bie-
da.

De Beauvieux podszedł do niej zdecydowanym krokiem. Tuż za jego plecami
dreptała piastunka.

- Prędko, trzeba cię rozebrać z tych mokrych sukien, gołąbko, bo mi się przeziębisz
i nieszczęście gotowe - powiedziała Maloren.

- To nic - zaprotestowała Bea, podając służącej wierzchnie okrycie. - Sama zobacz,
przemókł mi tylko płaszcz.

Policzki miała zaróżowione od wysiłku, a włosy splecione w pojedynczy warkocz.
Jak zwykle za dnia nosiła prostą wełnianą suknię, tym razem zieloną. Mimo to wyglądała
jak księżniczka; blask jej urody zdawał się rozświecać całe wnętrze.

- Mam z tobą do pomówienia, panie - rzekła z niespodziewaną stanowczością. -
Wiedziałaś, że w okolicy brakuje akuszerki?

- Właśnie mnie o tym poinformowano. Proponuję, byś poszła za radą Maloren, pa-
ni, i pozbyła się mokrych ubrań.

- To może poczekać. Nic mi nie będzie. Najpierw wolałabym się z tobą rozmówić,
panie.

Zastanawiał się, co też takiego chce mu powiedzieć.

- Plotki to raczej nic pilnego...

Bea posłała mu niechętnie spojrzenie spod uniesionych brwi.

Ranulf umilkł i natychmiast zrezygnował z dalszych perswazji. Chyba nic się nie stanie, jeśli porozmawia chwilę z Beą na osobności?

- Zdaje mi się, że to, co masz mi do powiedzenia, pani, to sprawa niecierpiąca zwłoki. Skoro tak, możemy udać się do bawialni.

Była to niewielka przesiąknięta wilgocią izba, której od dawna nie używano, ale cóż, przynajmniej nie będą dysputowali w niczyjej sypialni. Jak się należało spodziewać, Maloren ów pomysł nie przypadł go gustu, lecz jej protesty na niewiele się zdały.

Dotarłszy na miejsce, Bea rozejrzała się dookoła, jakby nosiła się z zamiarem chwycenia za miotłę. Niewątpliwie doszła do wniosku, że przy pomocy kubła z wodą i kilku szmat zdoła zdziałać cuda.

- Co pragniesz mi powiedzieć, pani? - zagaił Ranulf.

- Odkąd zmarła tutejsza akuszerka, w sąsiedztwie nie ma nikogo, kto mógłby ją zastąpić, a od najbliższej wioski dzieli nas pół dnia jazdy. To dlatego Wenna posłała po Eseld. Na szczęście, nauczyłam się tego i owego od Aedy i medyka z Tregellas...

- Tak, przypominam sobie - przerwał jej zniecierpliwiony.

Zarumieniła się i dodała pośpiesznie:

- Postanowiłam więc odwiedzić biedną wdowę. Zbiegło się także całe mnóstwo sąsiadek, ale zamiast pomóc, opowiadały o własnych bolesnych doświadczeniach, a trzeba ci wiedzieć, że niektóre z owych opowieści brzmiały doprawdy przerażająco. Wenna wystraszyła się jeszcze bardziej. Koniec końców wyprosiłam niewiasty i zostałam z nią sama. Niebawem się uspokoiła i bóle ustały. Okazało się, że to jeszcze nie jej pora. Czasem tak bywa. Ona bardzo się boi i trudno ją za to winić. Jeśli coś pójdzie nie tak, nikt nie będzie umiał jej pomóc.

- Napiszę do Merricka zaraz po wieczery. Jestem pewien, że Constance znajdzie akuszerkę i przyśle ją do nas jak najrychlej.

- Przednia myśl - pochwaliła szczerze, lecz nadal wpatrywała się w niego zaszepiona. - Lękam się jednak, że taka wyprawa potrwa zbyt długo. Dla Wenny może być za późno. Poza tym przyrzekłam, że zostanę i zrobię co w mojej mocy, by jej ulżyć. Dałam jej słowo - dorzuciła na wszelki wypadek. - Nie mogę opuścić jej w potrzebie - ciągnęła zapalczywie, jakby się obawiała, że Ranulf każe jej wyjechać z Penterwell zaraz po tym,

jak skończą rozmowę. - To nie potrwa długo, góra dwie niedziele. Wiem, że powinnam była najpierw zapytać o zgodę ciebie, ale nie potrafiłam jej odmówić. Została na świecie sama i jest taka przygnębiona. Proszę, powiedz, panie, że pozwolisz mi zostać i dotrzymać obietnicy.

Cóż było począć? Nie godzi się odmówić wsparcia zrozpaczonej wdowie.

- Zgoda - przystał niechętnie - Możesz zostać do dnia, w którym przyjdzie na świat dziecko Wenny. Dam znać Merrickowi, że twój powrót się opóźni.

Twarz Beatrice rozjaśniła się, a w jej oczach rozbłysła nieskrywana radość. Ranulf obawiał się, że spróbuje go uściskać, więc zawczasu uniósł dłoń, by ją powstrzymać.

- Wyjedziesz zaraz po narodzinach - rzekł nieprzejednanym tonem.

- Jestem ci wdzięczna, Ranulfie! - wykrzyknęła Bea, jakby nie dosłyszała jego stanowczych słów. - Wiedziałam, że masz serce!

- Opuścisz Penterwell natychmiast po rozwiązaniu - podkreślił.

- Oczywiście, jak rozkażesz - odparła z promiennym uśmiechem. - Do tego czasu będę nadal ci pomagać, panie. Może nawet przydam się do czegoś więcej niż tylko do prowadzenia domu.

Wytrąciła mu z ręki oręż. Pozostało już tylko bronić się sarkazmem.

- Jak rozumiem, mogę się spodziewać, że rychło poinstruujesz kamieniarzy, jak łątać wyrwy w murach? Albo wyręczysz mnie w dowodzeniu i w razie potrzeby sama odeprzesz oblężenie?

Roześmiała się zupełnie niezrażona.

- Miałam na myśli coś znacznie mniej praktycznego. Przyszło mi do głowy, że mogłabym pośredniczyć pomiędzy tobą a mieszkańcami wioski. Coś mi mówi, że nadam się do tego w sam raz. W każdym razie, tutejsze niewiasty są mi bardzo przychylnie. Pragną się dowiedzieć, kto zabił Gawena. Niepokoją się o życie synów i mężów.

- Sądzą, że ta śmierć nie była przypadkowa?

- Och, zdaje się, że nie mają co do tego żadnych wątpliwości.

- Skoro tak, czemu nie podzielą się swymi podejrzeniami ze mną? - zapytał, nie kryjąc rozżalenia.

- Zapewne dlatego, że ja to ja, a ty to ty, jeśli rozumiesz, o co mi idzie.

- Wyznam, że nie bardzo - odparł cierpko.

- Tak to już jest, że niewiasty łatwiej zawierzają innym niewiastom. Ty zaś jesteś w ich oczach namiestnikiem suzerena, a nawet króla. Onieśmielasz ich, a mnie traktują niemal jak równą sobie.

- Ach tak? Ciekaw jestem, co na to kucharz.

- Zasłużył na burę. Dopuścił się haniebnego zuchwalstwa.

- Może powinienem poszukać kogoś na jego miejsce? - zaproponował Ranulf. Szczerze mówiąc, wyrzuciłby utrapieńca z przyjemnością, gdyby Bea nie miała nic przeciwko temu.

- Nie trzeba. Much dostał już nauczkę. Poza tym nie o nim chciałam mówić. Wenna zdradziła mi coś znacznie istotniejszego. Swego czasu wspominała ci, że jej mąż wybrał się owego dnia na spotkanie z pewnym francuskim przemytnikiem, nie powiedziała jednak, że... - Zawahała się, po czym wyjrzała na korytarz i zamknęła drzwi.

Nader nierozważne posunięcie, pomyślał Ranulf. Gdyby miał więcej rozsądku, od razu wziąłby nogi za pas. Niestety, Beatrice stała mu na drodze.

Rozdział ósmy

- Otóż wdowa nie wyznała ci, że mieszkańcy wioski wypatrują co dzień łodzi Francuza - oznajmiła z ożywieniem Bea. Wyglądało na to, że nie jest ani trochę stropiona bliskością Ranulfa. - Gdy on i jego ludzie staną na lądzie, padną ofiarą napaści. Może nawet zostaną zgładzeni. Tak czy inaczej, Kornwalijszczy planują ich zaatakować i zatopić statek z przemycanym załadunkiem.

Kasztelan zapomniał o amorach i skupił się na słowach Bei.

- Chcą to zrobić sami? Bez mojej wiedzy? - zapytał ze zdumieniem.

- Śmierć Gawena mocno ich rozsierdziła - odparła, jakby to wyjaśniało sprawę. - Dlatego bez ustanku obserwują zatoczkę, w której zazwyczaj cumuje zabójca. Są przekonani, że to jego sprawka.

- Gdzie jest owa zatoka?

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Kiedy Wenna napomknęła o zamiarach mężczyzn, sąsiadki natychmiast zaczęły ją uciszać. Widać uznały, że i tak usłyszałam za dużo. Skoro zostaję na dłużej, postaram się dowiedzieć czegoś więcej.

- Każda nowa informacja może się okazać na wagę złota - zgodził się de Beauvieux, choć wolałby nie wikłać Bei w kryminalną sprawę.

Wiedziona impulsem, zbliżyła się do niego o krok.

- Wenna będzie niezmiernie rada, kiedy jej powiem, że pozwoliłeś mi zostać. Jest jej teraz bardzo ciężko.

Wiedział, że powinien się odsunąć, ale zdawało mu się, że zapuścił korzenie.

- A byłoby jeszcze ciężiej, gdyby ktoś nie zostawił jej na stole kilku monet - dodała, spoglądając na niego wymownie.

Ku swemu niezadowoleniu, Ranulf się zaczerwienił.

- Jeśli to wszystko, pora, żebyśmy wrócili do wielkiej sali.

- Jest jeszcze coś... Ufasz Myghalowi, panie?

- A nie powinienem? - spytał z marszem na czole.

- Sama nie wiem... Kiedy szłam z nim do domu Wenny, czułam się jakoś... - Wzruszyła ramionami i spojrzała na Ranulfa, jakby oczekiwała, że dokończy za nią zdanie.

Cóż, nie miał pojęcia, co wtedy czuła, domyślał się za to, co chodziło po głowie jej towarzyszowi. Wprawdzie chłopak wydawał się zacny, ale młodość nierzadko chodzi w parze z głupotą.

- Gdy następnym razem zechcesz wybrać się do wioski, pani, zabierz ze sobą należytą eskortę. Ma cię strzec co najmniej dwóch ludzi. Nie chciałbym, żeby przytrafiło ci się coś złego. Zwłaszcza że pozostajesz pod moją opieką.

- W twojej wsi z pewnością nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.

W jego wsi... Niechcący sprawiła, że poczuł się jak człowiek, który coś w życiu osiągnął.

- Też chciałbym w to wierzyć, ale nie zamierzam igrać z losem - oznajmił. - Twoje bezpieczeństwo to kwestia najwyższej wagi. Gdyby choć włos spadł ci z głowy, Merrick nigdy by mi tego nie darował. Nie mam ochoty narażać się na jego gniew. Niemal zatłukł Henry'ego na śmierć, kiedy wydawało mu się, że ten naraził życie Constance - dorzucił na koniec.

- Naturalnie. Nie wolno mi robić niczego, co mogłoby zaszkodzić twojej pozycji w Penterwell, panie.

- Rad jestem, że rozumiesz moje obawy, pani - odrzekł z udawanym spokojem, podając jej ramię.

Beatrice wyciągnęła posłusznie dłoń i pozwoliła się wyprowadzić na korytarz.

Kilka dni później Bea wybrała się do wsi na targ. Starła się przy tym nie zwracać uwagi na dwóch strażników, którzy kroczyli w ślad za nią. Nie sprzeciwiła się woli Ranulfa, wdzięczna za to, że pozwolił jej zostać, niemniej w obecności nieodłącznej eskorty czuła się nieswojo. Na szczęście, przestało padać. Powietrze pachniało zielenią i świeżością. To wystarczyło, by poprawić jej nastrój. Ostatnio nawet Maloren wydawała się pogodniejsza. Nie utyskiwała tak często jak wcześniej i chętnie spędzała długie godziny w kuchni, pilnując kucharza.

- Witaj, pani. Wyglądasz dziś cudnie niczym stokrotka.

Wyrwana z zamyślenia Bea spojrzała w uśmiechniętą twarz Hedyna. Lubiła szeryfa za pogodne usposobienie.

- Miło cię widzieć, panie - odparła wesoło. - Piękny poranek, nieprawdaż?

- I owszem, prawie tak piękny jak ty, pani.

Roześmiała się w głos.

- Zawrócisz mi w głowie tymi pochlebstwami, panie.

- Zmierzasz na targowisko? - zapytał, wskazując na koszyk, który przewiesiła sobie przez ramię.

- Chcę kupić nici. Ponoć można dostać wyjątkowo ładny odcień zieleni. Postanowiłam zawieźć kilka szpulek do Tregellas.

- Smutny to będzie dzień, gdy nas opuścisz, pani.

- Mnie też przykro wyjeżdżać, ale to tam jest mój dom.

- Tak czy owak, szkoda.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc zamilkła stropiona. Ulżyło jej, kiedy szeryf niespodziewanie przystanął i oznajmił:

- Wybacz pani, ale pora mi się pożegnać. Muszę udać się na nabrzeże. Podobno wyrzuciło coś na brzeg. Sądzymy, że to część łodzi Gawena.

- Domyślacie się już, co go spotkało?

- Niestety, nie dowiedzieliśmy się niczego godnego uwagi, choć nie ustajemy w wysiłkach, by odkryć prawdę. Sir Ranulfowi bardzo na tym zależy. Nieraz dał temu wyraz.

- Istotnie - potwierdziła skwapliwie. - Traktuje swoją służbę z wielką powagą.

- Nie inaczej. Chwałą go tu wszyscy, a u miejscowych rybaków i kupców niełatwo się zasłużyć. Początkowo się obawiali, że będzie z niego pyszałkowaty łach... eee... chciałem powiedzieć, że będzie zadzierał nosa. Co tu gadać po próżnicy, opatrność nie mogła nam zesłać lepszego kasztelana. Mam nadzieję, że przekażesz pani moje słowa lordowi Merrickowi.

- Przekażę na pewno.

Szeryf skłonił się i odszedł w stronę konia, którego uwiązał przed wejściem do tawerny. Bea tymczasem ruszyła ku pobliskim straganom. Kupcy przywitali ją z entuzja-

zmem i pokazali najznakomitsze towary. W rezultacie zapragnęła kupić o wiele więcej, niż początkowo planowała. Szczególnie spodobał jej się wyjątkowej urody błękitny jedwab. Pasowałby idealnie do koloru oczu Constance. Kuzynka ucieszyłaby się z takiego podarunku.

- Przednia tkanina - zachwalał przekupień z zadartym nosem i przebiegłymi brązowymi oczyma. - Prosto ze Wschodu. Zechcesz, pani, dotknąć?

Zastanawiała się, jakim cudem tak znakomitej jakości materiał trafił do maleńkiej kornwalijskiej wioski, uznała jednak, że lepiej o to nie pytać.

- Rzeczywiście jest zachwycająca, ale obawiam się, że nie mam przy sobie dość pieniędzy...

- Ile za to chcesz, dobry człowieku? - rozległ się głos kasztelana.

Bea nie posiadała się ze zdziwienia. Sądziła, że Ranulf został na zamku, aby wysłuchać meldunków żołnierzy patrolujących okolicę.

- Pięć marek - odparł kramarz. - To połowa zwykłej ceny.

- Skoro tak twierdzisz - skwitował kasztelan, wyjmując zza pazuchy sakiewkę. - Zapakuj.

- Och, nie! Nie trzeba - zaprotestowała gwałtownie Beatrice. Wiedziała, że nie jest zamożny. - Dziękuję, sir Ranulfie, ale...

- Pragnę okazać ci swoją wdzięczność, pani - przerwał jej tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Dzięki tobie Penterwell zmieniło się nie do poznania.

Umilkła, przekonana, że niewiele wskóra.

- Będzie ci w nim bardzo do twarzy, pani - rzekł zadowolony sprzedawca.

- Nie zamierzałam zatrzymać go dla siebie - sprostowała pośpiesznie Bea.

- Nie? - zdumiał się de Beauvieux. - Komu zatem chciałaś go dać?

- Constance. Wprawdzie za wcześnie na podarek z okazji święta Trzech Króli, ale potem mogę nie znaleźć niczego tak pięknego... Jest bardzo drogi, jeśli wolałbyś...

- Mam jeszcze inny w podobnym kolorze - wtrącił gorączkowo kupiec i sięgnął do drewnianej skrzyni. Wyjął kolejną belę jedwabiu i podsunął ją Beatrice. - Oddam oba za siedem marek.

- To nie ten sam odcień - odnotował Ranulf.

- I nazbyt wysoka cena - dodała Bea.

- Jeden pasuje do twoich oczu, a drugi do oczu Constance. Wezmę oba - zdecydował Ranulf.

Zarumieniła się i odwróciła wzrok.

- Ale... ja nie potrzebuję jedwabiu...

- Tak czy owak dostaniesz go ode mnie z wyrazami wdzięczności.

Cóż było robić? Nie chciała się z nim sprzeczać, zwłaszcza że ściągnęli na siebie zainteresowanie ciekawskiej gawiedzi.

- Dziękuję, sir Ranulfie - rzekła zawstydzona. - Jesteś bardzo szczodry.

- To ledwie drobiazg w porównaniu z tym co dla mnie zrobiłaś, pani - odparł, wręczając przekupniowi zapłatę. - Skończyłaś już na dziś zakupy?

- Nie, wybieram się jeszcze po rybę. Kucharz narzeka, że nie pozwalamy mu jej przyrządzać, choć to jego specjalność.

Ranulf skrzywił się bezwiednie.

- Nie musisz jej jeść, panie. Będzie mnóstwo innych potraw.

- Nie wątpię. - Odwrócił się w stronę strażników. - Możecie wracać do zamku - oznajmił. - Sam odprowadzę lady Beatrice.

Podkomendni skinęli głowami i odeszli.

- Nie sprawiali wrażenia szczególnie uszczęśliwionych - zauważył uszczypliwie, gdy ruszyli wraz z Beą ku kramom z rybami.

Mówił z właściwym sobie sarkazmem, zupełnie jak niegdyś w Tregellas. Beatrice natychmiast przypomniała sobie dzień, w którym go poznała. Przyjechał do zamku u boku Merricka i Henry'ego i z miejsca wydał jej się najbardziej intrygujący z całej trójki. Nie był ani tak ponury i milkliwy jak lord Tregellas, ani tak wesół jak drugi z towarzyszy. Potem, w ów okropny czas, gdy Merrick i Constance się poróżnili, zwróciła się o pomoc właśnie do Ranulfa. Czuła, że okaże zrozumienie i współczucie, i nie pomyliła się. Dowiódł, że nie jest nawet w połowie tak bezduszny i cyniczny, za jakiego pragnie uchodzić.

- Nic dziwnego, że strażnicy wolą chodzić ze mną po wiosce - rzekła, obdarowując go promiennym uśmiechem. - Lepsze to niż trzymanie warty przy wrotach albo na murach.

- O tak - zgodził się z zapalem. - Pilnowanie urodziwej panny podczas załatwiania sprawunków to nie lada gratka. Nie to samo, co nudne dreptanie wokół zamku.

Pomyślała, że mówi z własnego doświadczenia.

- A ty, panie? Strzegłeś kiedyś niewiasty robiącej zakupy? - zapytała podejrzliwie.

- Nie.

Nie dała po sobie poznać, jak bardzo jej ulżyło, kiedy zaprzeczył.

- Kramarze ucieszyli się na twój widok - zauważył po chwili milczenia. - Zresztą, wszyscy tu za tobą przepadają, pani.

- Próbuję być miła, i tyle.

- Nie to co ja... - odpowiedział ni to pytaniem, ni to stwierdzeniem.

Co niby miała na to odrzec?

- Stało się coś? - zapytała zaniepokojona, gdy na jego twarzy pojawił się dziwny grymas.

- To ten fetor - odparł niechętnie. - Ryby może i są smaczne na talerzu, lecz zanim się je uwarzy, pachną niepięknie.

Nie skrzywił się z powodu niemiłego zapachu, uznała Bea. Szło o coś zupełnie innego. Może obawia się tego samego, co ona?

- Tobie też czasem się zdaje, że ktoś cię śledzi? - zapytała, zniżając głos do szeptu.

- Co takiego?! - Przyjrzał jej się zaniepokojony.

Raptem zrobiło jej się głupio. W końcu to niewielkie Penterwell, a nie gniazdo złoczyńców.

- Och, nic... nic... - odparła, ponieważ nie przemyślała słów.

Ruszyła przed siebie, lecz Ranulf zatrzymał ją w pół kroku.

- Sądzisz, że ktoś cię obserwuje?

- Zastanawiałam się nad tym raz czy dwa. Zdawało mi się, że czuję na sobie czyjś wzrok. - Roześmiała się nerwowo przekonana, że złoży jej obawy na karb wybujałej wy-

obrażni. - Ty nie wiesz, co to strach. Jesteś rycerzem. Może jedynie przed bitwą zdarza się, że włosy stają ci dęba i...

- Bea! - przerwał jej ostro, chwytając za ramiona. - Naprawdę myślisz, że ktoś za tobą chodzi? To ważne.

Spłoszona spojrzała na twarze zgromadzonych wokół wieśniaków. Wiedziała, że ten gest zostanie odczytany jako nazbyt poufały.

- Jeśli zaraz mnie nie puścisz - szepnęła - ludzie wezmą nas na języki.

Odsunął się natychmiast, jakby dotknął dłońmi płomieni.

- Jestem pewna, że to błahostka, panie. Coś mi się przywidziało, nic więcej. - Z tymi słowy obróciła się na pięcie i powędrowała ku kramom ustawionym bliżej plaży.

Ranulf nie odezwał się ani za nią nie poszedł. Czyżby wbrew własnym rozkazom zamierzał zostawić ją bez eskorty? Nawet jeśli istotnie tak postanowił, nie miało to większego znaczenia. Dopóki pozostanie we wsi, dopóty nie grodzi jej nic złego. Niemniej musiała przyznać - przynajmniej przed sobą - że czuje się o wiele bezpieczniejsza, kiedy ukochany jest w pobliżu. A może, przechadzając się u jego boku, jest zwyczajnie szczęśliwsza? Westchnęła i spróbowała skupić się na czekającym ją zadaniu. Much rzeczywiście znakomicie przyrządzał ryby, szkoda tylko, że z innymi potrawami nie radził sobie aż tak dobrze. Maloren biadoliła bez ustanku na jego chleb, owsiankę, przypalone mięsowa...

Ranulf wciąż tkwił tam, gdzie go zostawiła. Skrzyżował ramiona na piersi i rozglądał się dookoła z nieodgadnioną miną. Dlaczego miałby chodzić za nią jak pies? Nic jej nie będzie, jeśli pospaceruje trochę w pojedynkę. Bea doszła do wniosku, że ryby mogą poczekać. Zawróciła i stanęła przed kasztelanem.

- Namysliłam się i zdecydowałam, że rybę podamy dopiero w piątek - oznajmiła oschle.

- Jak sobie życzysz, pani - odrzekł i rozpoczął marsz w stronę zamku.

- Jak miałam dokonać wyboru - dorzuciła zrzędliwie - skoro stoisz jak posąg i najwyraźniej uważasz moje wysiłki za kompletną stratę czasu? Można by pomyśleć, że boisz się ubitych ryb.

- Nie o ryby tu chodzi - mruknął pod nosem.

Bea zorientowała się raptem, że prowadzi ją boczną, mało uczęszczaną ścieżką. Byli sami, z dala od wścibskich oczu pospólstwa. Serce zabiło jej żywiej i z miejsca przeszła jej złość.

- Nie o ryby, lecz o wodę - dokończył ponuro.

- Słucham?

- Mówię, że nie lubię podchodzić zbyt blisko wody. W dzieciństwie omal nie utonąłem.

Zdumienie i radość odebrały jej mowę. Powierzył jej swoją tajemnicę!

- Wtedy, gdy Henry i Merrick umyślnie przewrócili twoją łódź?

Widać któryś z towarzyszy opowiedział jej o owej psocie z dawnych lat. Sir Leonard nalegał, aby wszyscy jego wychowankowie nauczyli się pływać. Ranulf został zwolniony z tego obowiązku, za to często zajmował się wiosłowaniem. Pewnego razu zazdrośni druhowie postanowili dać mu nauczkę i wrzucili go do stawu.

- Nie, nie wtedy. Zresztą w miejscu, w którym wypadłem, było akurat dość płytko. Tamto zdarzyło się o wiele wcześniej, zanim zostałem... zanim opuściłem zamek ojca. Do dziś wiedział o tym tylko mistrz Leonard.

- Dziwne, że powiedziałaś o tym mnie, a nie najbliższym przyjacielom - wyznała szczerze.

Zaczerwienił się i posłał jej skwaszony uśmiech.

- Nie mam zwyczaju się chwalić swoimi słabościami.

Racja, stwierdziła po namyśle. Nie pozwoliłaby mu na to męska duma.

- Woląłem wyjawić ci prawdę, niż pozwolić, byś sądziła, że truchleję ze strachu przed martwą rybą.

Dotknęła dłonią jego ramienia.

- Nie obawiaj się. Będę strzegła twego sekretu.

Zmieszał się. Doskwierała mu świadomość, że tak rozpaczliwie pragnie jej współczucia.

- Ależ nie ma powodu robić z tego dramatu. Właściwie powinienem wszystkim o tym powiedzieć. Przynajmniej nie musiałbym obmyślać coraz to nowych wykrętów ani

tłumaczyć zwiadowcom, czemu wzbraniam się przed tym, by patrolować wraz z nimi nabrzeże.

- Ale skoro to nie wtedy, gdy wpadłeś do stawu... Kiedy byłeś bliski utonięcia?

Nie dała się łatwo zbyć. Na jego szczęście nadbiegł ku nim zaambarasowany wyrostek.

- Prędko, jasnie pani! - zawołał bez tchu. - Wennie odeszły wody!

Ranulf zbudził się nazajutrz rześki i wypoczęty, bez wątpienia dzięki temu, że ostatnimi czasy co dzień sypiał w świeżej pościeli. Ledwie otworzył oczy, jego myśli natychmiast pobiegły ku Beatrice. Wciąż była w domu Wenny. Gdyby wróciła, wartownicy niezwłocznie by go tym powiadomili. Nakazał im to pod groźbą surowej kary. Nie ma powodu do obaw, przekonywał samego siebie, podchodząc do okna, porody bywają bardzo długie. W powietrzu unosiła się gęsta, nieprzenikniona mgła. W szaromlecznej zawieszynie mury stały się prawie niewidoczne. Zapewne Bea postanowiła przeczekać aurę niesprzyjającą pieszym wędrówkom.

Odrobinę spokojniejszy umył się i ubrał, po czym wyszedł na korytarz. Przystanąwszy na chwilę przed otwartymi drzwiami komnaty, którą Bea dzieliła z Maloren, wciągnął w nozdrza ulotny zapach lawendy. W kącie stała toaletka, a na niej leżały poukładane wstążki i grzebienie oraz flakonik z pachnidłem. Oddałby wiele za to, by móc wyręczać starą służącą i rankiem czesać bujne włosy Beatrice. Wsłuchiwałby się z rozkoszą w jej melodyjny głos rozprawiający z zapalem o codziennych troskach. W jej ustach każda najbliższa opowiastka brzmiała interesująco.

Gdy ruszył w dalszą drogę, uzmysłowił sobie że jej izba jest urządzona znacznie skromniej niż jego własna. Prawdopodobnie odstąpiła mu wszystkie jaśki, poduszki oraz inne manatki, które przywiozła dla siebie. Naturalnie był jej wdzięczny, ale uważał, że nie powinna tego robić. Będzie nalegał, aby zabrała owe rzeczy z powrotem do Tregellas. Nadal bowiem zamierzał odesłać ją do domu. Powtarzał sobie, że tak będzie dla niej lepiej. Zależało mu na niej, i to bardzo. Tak bardzo, że wielokroć musiał przywoływać w pamięci powody, które kazały mu odrzucić jej miłość. Nie zasługiwał na Beę; nie miał

ziemi ani majątku, a co gorsza, dopuścił się niewybaczalnych czynów. Zabił brata i skrzywdził kilka cnotliwych panien.

Gdy dotarł do wielkiej sali, służba nakrywała do śniadania.

- Lady Beatrice jeszcze nie wróciła? - zapytał dowódcę chorągwi.

- Nie, panie - odparł niewysoki przysadzisty żołnierz o imieniu Gareth.

- A gdzie Maloren?

- Myghal zabrał ją do wsi.

- Kiedy?

- Dawno. Powiedział, że pani potrzebuje jej pomocy.

Kasztelan chwycił żagiew i skierował się do wyjścia. Miał nadzieję, że obie były bezpieczne, ale ogarnął go niepokój.

- Idę do domu Wenny - oznajmił i wyszedł na skąpany w mleczych oparach dziedziniec.

TLR

Rozdział dziewiąty

Przemknąwszy obok wartowników, pospieszył ku wiosce. Gdy mijał pierwsze zabudowania poczuł mrowienie w karku. Odniósł wrażenie, że we mgle kryje się coś złowieszczego... Zwolnił kroku i dobył miecza. Nasłuchiwał bacznie, jakby się spodziewał, że za moment ciszę rozedrze przerażający dźwięk. Raptem usłyszał nieopodal śmiech Bei i kamień spadł mu z serca. Odetchnął głęboko i zatrzymał się przed drzwiami pokrytej strzechą chaty. Zatknąwszy w ścianie pochodnię, wygładził tunikę i przeczesał palcami zwilgotniałe włosy. Na koniec przybrał niewzruszoną minę i zapukał.

- Ach, to ty, panie - rzekła niechętnie Maloren.

Mimo że od jakiegoś czasu odnosiła się do niego z należyty szacunkiem, wciąż za nim nie przepadała.

- Ranulf! - zawołała radośnie Bea. - Wenna, pozwolisz mu wejść i obejrzeć syna? - zwróciła się do wdowy.

Cała ona, pomyślał z uśmiechem. Prosi prostą wieśniaczkę o pozwolenie na to, by kasztelan przestąpił próg jej domu, a przecież nie musiał nawet pukać. W izbie było kilka kobiet, ale kiedy ujrzał Beatrice, widział już tylko ją. Trzymała w ramionach dziecko Wenny. W jego sercu wezbrała tęsknota, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczył. Raptem zapragnął widzieć ją z ich wspólnym dzieckiem, złotowłosym malcem o błękitnych oczach.

- Możesz wejść, panie - powiedziała, spoglądając na wyczerpaną połogiem gospodynię. Potem podeszła do niego. Na jej pięknej twarzy malowała się wprawdzie niewysłowiona radość, lecz Ranulf dostrzegł także oznaki przemęczenia. Zapewne nie zmrużyła oka przez całą noc. - Spójrz tylko - odezwała się, unosząc ku niemu niemowlę. - Czyż nie jest cudny?

- I owszem, śliczny chłopczyk - odparł, choć w istocie dziecko nie wyróżniało się niczym szczególnym. Poza tym, że miało kompletnie łysą główkę, wyglądało jak większość noworodków.

- Będzie nosił imię Gawen, po ojcu - dodała Bea.

De Beauvieux podszedł do łóżka i stanął u wezglowia.

- Widzi mi się, że malec wyrośnie na zdrowego i mądrego młodzieńca, Wenno - rzekł z powagą. - W swoim czasie będę potrzebował giermka. Chętnie widziałbym na tym miejscu twego syna.

Wdowa spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Chciałbym mieć w swoim otoczeniu zacnych ludzi, a o twoim zmarłym mężu sły-
szałem same dobre rzeczy. Młody Gawen na pewno godnie go zastąpi i przysporzy wa-
szemu rodowi splendoru.

Na te słowa Wenna rozpląkała się, a w ślad za nią zaczęły szlochać zgromadzone
sąsiadki. Nawet Maloren otarła ukradkiem łzę. Beatrice nie płakała, za to spoglądała na
niego jak na anioła, który zstąpił z niebios, by nieść ludziom łaskę. Ranulf wiedział aż za
dobrze, że żaden z niego anioł.

- Jesteś utrudzona, pani. Pozwól, że odprowadzę cię do domu.

Kiwnęła głową i przywołała piastunkę.

- Maloren, zostań i zajmij się Wenną - rzekła, podając jej dziecko. Potem zerknęła
niepewnie na kasztelana. - Chyba że każesz nam opuścić Penterwell jeszcze dziś, panie?

- Nie, stanowczo nie dziś - odparł zdecydowanie. - Jesteś nazbyt przemęczona, pa-
ni.

- Dziękuję - powiedziała z wdzięcznością, jakby wyświadczał jej ogromną przysłu-
gę.

- Dopilnuję, by twoja pani odpoczęła - rzekł Ranulf do Maloren. - Tymczasem za-
opiekuj się matką i niemowlęciem. - Na wszelki wypadek postanowił dorzucić pochleb-
stwo, nie chciał bowiem, by niania upierała się, że wróci do zamku razem z nimi. - Nikt
nie robi tego lepiej od ciebie. - Skłonił się przed pozostałymi niewiastami. - Choć nie
zabraknie ci wprawnych i chętnych pomocnic.

Zadowolone z pochwały wymieniły spojrzenia I zaczęły między sobą szeptać,
kastelan zaś wziął pelerynę Beatrice i w milczeniu otworzył przed nią drzwi. Nie ode-
zwała się ani słowem, co było najlepszym dowodem na to, że jest u kresu sił. Mgła pod-
niosła się na tyle, że mogli maszerować bez pochodni. Kiedy już wypocznie, pomyślał, z
pewnością zechce mi o wszystkim opowiedzieć. Nagle Bea potknęła się o kamień i omal
nie upadła. Ranulf bez namysłu porwał ją na ręce I przycisnął mocno do piersi.

- Co... co robisz? - zapytała, obejmując go za szyję.

- Jesteś wycieńczona. Zaniosę cię. Nie chcę, żebyś zrobiła sobie krzywdę.

- Mogę pójść sama - zaprotestowała bez przekonania.

- Przypuszczam, że nie spałaś całą noc. - Poza tym lubię trzymać cię w ramionach, dodał w myślach.

- Cóż, nie było łatwo - przyznała niechętnie. - Nieraz obawiałam się, że stracimy dziecko. Musiałam obrócić je w łonie, tak by wyszło główką do przodu. - Wtuliła się w niego instynktownie. - Och, Ranulfie, tak się bałam, że zrobię coś nie tak jak trzeba. Pamiętałam, co mówiła mi Aeda, ale nie byłam przy takim porodzie. W dodatku nie mogłam dać po sobie poznać, jak bardzo się lękam, więc udawałam przed Wenną i innymi, że wiem, co robię, i modliłam się o cud. Jestem ogromnie rada, że się udało. - Westchnęła ciężko i złożyła głowę na jego ramieniu.

- Dobrze, że byłaś na miejscu i zdołałaś pomóc - powiedział, żałując, że nie może zatrzymać jej przy sobie na zawsze. Byłoby wspaniale dzielić z Beą życie.

- Tak, dziękuję, że pozwoliłeś mi zostać. - Poruszyła się niespokojnie. - Jestem ciężka. Może lepiej pójdę sama?

- Nie trzeba. Dam radę.

Zrezygnowała z dalszych protestów i umościwszy się wygodnie, przymknęła powieki, by po chwili zapaść w sen. Spojrzał na nią z góry i zrobiło mu się cieplej na sercu. Jego cudna, zaradna i gadatliwa Bea. Pragnął chronić ją od złego i opiekować się nią do końca swoich dni. Uwielbiał jej szczebiotanie, zwłaszcza kiedy rozwodziła się nad codziennymi sprawami i opowiadała o domowych troskach, zapewne dlatego, że nigdy nie miał prawdziwego domu. Jej głos wznosił się i opadał zależnie od nastroju, a pełna wyrazu twarz opowiadała własną historię nawet wtedy, gdy usta milczały - choć takie chwile zdarzały się nader rzadko, a gdy nadchodziły martwił się, że coś jej dolega. Zazwyczaj się nie mylił.

Nie chciał, żeby opuściła Penterwell. Marzył o tym, aby została z nim jako żona i matka jego dzieci. Zrobiłby dla niej wszystko i uczynił ją szczęśliwą, gdyby go przyjęła i pozwoliła mu się kochać. Próbował ją odepchnąć, sprawić, by go znienawidziła, lecz ona nadal zdawała się go lubić. Może nawet naprawdę go kochała. Może Bóg okazał się lito-

ściwy i odpuściwszy mu dawne grzechy, pozwoli zaznać szczęścia u boku umiłowanej małżonki? Niespodziewanie obudziła się w nim nadzieja. Być może Bea nie zacznie nim pogardzać, gdy dowie się o jego niegodnych postępkach. Może jej uczucie jest na tyle silne, że zdoła wytrzymać tak ciężką próbę.

Ma przecież takie dobre serce. Jest zbyt wielkoduszna, by uznać go za potwora. Zobaczy w nim raczej człowieka, który zbłądził, a teraz gorzko żałuje za winy i pragnie odkupienia. Jednego był pewien, nie wytrzyma ani chwili dłużej, skrywając przed nią prawdziwe uczucia. Wyzna Bei całą prawdę i złoży swój los w jej ręce. Niech sama rozsądzi, czy taki potępieniec jak on zasługuje na miłość. A jeśli odwróci się od niego ze zgrozą i powie, że już nie potrafi go kochać, cóż, przyjdzie mu się z tym pogodzić...

Dotarłszy do zamku, zapewnił zaniepokojoną służbę, że pani nic nie dolega, po czym zaniósł ją do komnaty, do łóża. Wypadałoby ją rozebrać, ale nie mógł zrobić tego osobiście. Nie teraz. Nie dziś. Może pewnego dnia, gdy zostanie jego żoną... Nie oparł się jednak pokusie. Pochylił się nad Beą i złożył na jej ustach czuły pocałunek.

- Jutro, moja cudna - szepnął jej do ucha - dowiesz się wszystkiego o Ranulfie de Beauvieux.

Diabli nadali tę przekłętą mgłę, pomyślał Myghal, oddalając się wyboistym traktem od Penterwell. Niechaj piekło pochłonie Pierre'a i Wenę. Gdyby przyjęła jego umizgi, nie zrobiłby tylu okropnych rzeczy. Nie, to nie jej wina, przyznał z pokorą, on jest grzesznikiem. Tchórzem, który wyrządził wiele krzywd, a teraz ucieka, aby uniknąć kary.

- Dokąd to, chłopcze? - usłyszał za plecami z francuska brzmiące słowa.

Niewiele myśląc, spał konia i ruszył do galopu. Nie przewidział, że ludzie Francuza zwabili go w zasadzkę. Zatrzymał się, stwierdziwszy, że jest otoczony i nie zdoła wydostać się z opresji bez szwanku.

- Czyżbyś próbował zbiec, bratku? - zapytał łagodnie Francuz, po czym podszedł do zastępcy szeryfa i wyszarpnął go z siodła. - Głupiec! - warknął pogardliwie, powalivszy go na ziemię. - Zapomniałeś, z kim masz do czynienia? Sądziłeś, że nie wiem, jaka z ciebie strachliwa kanalia? Tylko tchórz najmuje zbira do ubicia własnego wroga. Nie

można ci ufać, dlatego kazałem pilnować cię dzień i noc, psi synu. - Z tymi słowy szarpnął wystraszonego Myghala za kaftan i postawił go na nogi.

- Co... co zamierzasz ze mną uczynić? - spytał przerażony młodzian.

- Przypomnę ci o twoich powinnościach. Nie dziwota, że dziewczka cię nie chciała. Zamiast o nią walczyć, bierzesz nogi za pas.

- Nie w tym rzecz. Nie chcę, by przeze mnie ucierpieli jeszcze jacyś ludzie.

- Mężne słowa, ale i tak zajęcze w tobie serce. Mogłeś zdobyć niewiastę i zyskać wolność, kiedy przyprowadziłeś lady Beatrice do jej domu. Nadarzyła się znakomita okazja, by ją pojmać.

- Była okropna mgła. Nie przypuszczałem, że jesteście w pobliżu - skłamał Myghal. Właściwie planował porwać pannę, ale Wenna potrzebowała jej pomocy. Poza tym, gdy po drodze słuchał jej radosnego szczebiotu, nie potrafił się zmusić, by wydać ją w ręce bezwzględного i okrutnego Pierre'a.

- A gdzie mielibyśmy być? Na morzu? - zadrwił Francuz. - Czekaliśmy w umówionym miejscu, aż wypełnisz swoją część umowy.

- Następna okazja może się nie powtórzyć, dlatego uznałem, że twój plan nie ma szans powodzenia. Powinieneś od niego odstąpić - odważył się powiedzieć Myghal.

- Będziesz mówił, co powinienem robić? - Francuz dobył miecza i przyłożył ostrze do gardła Kornwalijszczyka. - Dziękuj Bogu, że jeszcze żyjesz, a to dlatego, że nie wydałeś nas sir Ranulfowi. Poza tym kto wie, może jeszcze na coś się przydasz?

- Pewno i tak mnie ubijesz, nawet jeśli zrobię to, czego żądasz. Skąd mam wiedzieć, że puścisz mnie wolno?

- Pewności mieć nie możesz. Nie trzeba było narażać się na mój gniew. Dotrzymałem słowa raz, dotrzymam i drugi. Zważ na to, że mogłem zbiec z twoją zapłatą i zostawić Gawena przy życiu, ale go zabiłem, tak jak obiecałem. I jak mi za to odpłacasz? Próbujesz wystawić mnie do wiatru i uciec! Ot co!

- Nie mogę ci dopomóc! - wrzasnął zdesperowany Myghal. - To szaleństwo! Zginieśmy marnie, jeśli podniesiemy rękę na lady Beatrice!

- Niestraszna mi śmierć, a gra jest warta świeczki - odparł Pierre, niemal wbijając czubek miecza w gardło Myghala. - Obawiam się, że nie masz wyboru. Zaryzykujesz i

zrobisz, co ci każe, albo za chwilę pożegnasz się z życiem. Bo i po co masz żyć, skoro nie będzie z ciebie żadnego pożytku. A zatem, jak będzie, przyjacielu? Namysliłeś się?

Beatrice otworzyła oczy i ziewnęła. Ranulf przyniósł ją wczoraj do domu. Tak, on też tak powiedział: nazwał swój dom jej domem. Zresztą, może przypisywała jego słowom zbyt duże znaczenie? Przeciągnęła się i usiadła na posłaniu. Odetchnęła z ulgą, przypominając sobie ciężki poród młodej wdowy. Przekręcenie dziecka w łonie matki nie było łatwe. Drżała z trwogi, że coś pójdzie nie tak, ale mały Gawen przyszedł na świat cały i zdrowy z jej niewielką pomocą. Trzeba przyznać, że napawało ją to wielką dumą, zwłaszcza że Ranulf spojrzął na nią z uznaniem.

W jego ciemnych źrenicach dostrzegła również czułość, która przepelniła jej serce radością. Potem wziął ją na ręce i niósł całą drogę do zamku, a na koniec ułożył ją na łóżku i pocałował. Delikatnie i tkliwie. Obiecał, że o czymś jej opowie. O czym? Nie mogła sobie przypomnieć. Chciała go zatrzymać i spytać od razu, ale była zbyt senna, by wydobyć z siebie głos. Tak czy owak, wyczuła w nim zmianę i uznała, że to dobry znak. Może się rozmyślił i nie odeśle jej do Tregellas? Oby tak właśnie się stało. Może nawet postanowił przyznać, że jednak mu na niej zależy, że ją kocha? Zakryła usta, by stłumić radosny chichot. Lepiej nie cieszyć się na zapas.

Wstała i zdjawszy nieświeże odzienie, umyła się w lodowatej wodzie, po czym włożyła najlepszą koszulę z miękkiego białego lnu. Choć nie było jej widać spod ubrania, czuła się w niej jak królowna. Na wierzch założyła niebieską suknię z czerwonymi mankietami oraz sznurowany stanik z delikatnej szkarłatnej skórki. Na koniec naciągnęła czyste pończochy i wsunęła stopy w trzewiki. Wyszczotkowane starannie włosy zaplotła w gruby warkocz, przewiązany karminową wstążką. Tak wystrojona ruszyła do wielkiej sali. Była głodna, a co najważniejsze, pragnęła jak najszybciej ujrzeć Ranulfa i wysłuchać, co miał jej do powiedzenia.

Gdy przestąpiła próg, ujrzała, że stoi na podeście zwrócony do niej plecami. Towarzyszyła mu jakaś niewiasta, która właśnie całowała go na powitanie. Była wysoka, smukła i nad wyraz urodziwa. Miała piękne migdałowe oczy i lekko zarumienione policzki.

Nosiła strojną suknię z kołnierzem z gronostajów oraz mnóstwo klejnotów. Spoglądała na kasztelana, jakby chciała go pożreć, on zaś tkwił w miejscu niczym posąg.

Bea zadrżała bezwiednie pod wpływem obezwładniającego niepokoju. Nie wiedzieć czemu ogarnęły ją raptem złe przeczucia. Najwyraźniej olśniewająca dama i Ranulf nie byli sobie obcy. Wystarczyło jedno spojrzenie, by to pojąć. Znają się i to bardzo dobrze, pomyślała ze ściśniętym gardłem, uzmysłowiwszy sobie, że patrzy na białogłową, która niegdyś odrzuciła miłość jej wybranka.

TLR

Rozdział dziesiąty

Gdy nieznajoma spostrzegła, że nie są sami, zerknęła nieżyczliwie na Beę, mimo że nadal uśmiechała się słodko do kasztelana.

- Słyszałam, że masz gościa, Ranulfie - odezwała się na tyle głośno, by jej słowa dotarły do uszu Bei. - To podopieczna lorda Tregellasa, jak mniemam?

Ranulf odwrócił się, lecz jego twarz pozostała nieprzenikniona. Beatrice żałowała, że nie dane jej było od początku oglądać sceny ponownego spotkania dawnych kochanków. Może wówczas potrafiłaby się zorientować, czy Ranulf nadal żywi uczucie do tej kobiety.

- Lady Beatrice - odezwał się oficjalnie - pozwól, że przedstawię lady Celeste de Fontenbleu. To moja znajoma z czasów młodości.

Znajoma? - zdziwiła się Bea. Dość niezobowiązujące słowo, zwłaszcza jeżeli kiedyś byli w sobie zakochani. Podeszła bliżej i skłoniła głowę. Na pięknym obliczu lady Fontenbleu pojawił się wyraz głębokiego niezadowolenia.

- Sądziłam, że byliśmy znacznie więcej niż znajomymi - zwróciła się do kasztelana.

- Przyjaciółmi, jeśli wolisz - odparł powściągliwym tonem.

Nie sprawiała wrażenia ukontentowanej, ale uśmiechnęła się z przymusem do Beatrice.

- Jakaż cudna z ciebie istotka, moja droga - rzekła protekcjonalnie. - Na pierwszy rzut oka nikt by nie poznał, że jesteś córką zdrajcy.

Bea z trudem opanowała narastający gniew. Choć owa okrutna uwaga bardzo ją zraniła, postanowiła nie dać tego po sobie poznać. Nie pozwoli, by ta jędza cieszyła się ze zwycięstwa.

- Lady Beatrice nie ponosi winy za grzechy ojca - odezwał się Ranulf. - Ponadto jest podopieczną mego suzerena i gości pod moim dachem.

Choć powiedział to ze stoickim spokojem, Bea znalazła w jego słowach pociechę.

- Przynieś nam wina - zadysponował, przywoławszy Teccę. - Potem przygotujesz komnatę dla lady Fontenbleu i jej pokojówki. Znajdź też miejsce do spania dla ich eskorty.

A więc owa Celeste zostaje w Penterwell, pomyślała ze złością Bea. Przysiadła naprzeciw zadowolonej z siebie rywalki i spróbowała nie skrzywić się z niesmakiem.

- Można by pomyśleć, że zarządzasz zamkiem od dawna - zauważyła z aprobatą nowo przybyła, wpatrując się w gospodarza. - Twoje straże i cała służba są bardzo dobrze wyuczeni i posłuszni.

Bea zastanawiała się, czy kasztelan przyzna, że karność służby to wyłącznie jej zasługa. Nie zrobił tego.

- Wiele się nauczyłem o dowodzeniu wojskiem, odkąd się ostatnio widzieliśmy.

- W istocie. Doszły mnie słuchy o twoim triumfie w Ecclesford.

- To zasługa Henry'ego. Ja jedynie wspomagałem jego wysiłki.

- Mówiono mi, że po tym jak został ciężko ranny, przejąłeś pieczę nad obroną zamku. Ponoć sprawy mogły przyjąć zły obrót, gdyby nie twoje męstwo.

- Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo.

- Zawsze słynałeś z niezwyklej skromności, Ranulfie. - Celeste uśmiechnęła się z podziwem.

Beatrice zdawało się, że raptem stała się niewidzialna. Ci dwoje zachowywali się tak, jakby zupełnie nie dostrzegali jej obecności albo jakby życzyli sobie, by zniknęła i zostawiła ich samych. Niedoczekanie. Zaraz im pokaże, że lady Beatrice nie da się tak łatwo ignorować.

- Powtarzam, że nosi w sobie nazbyt wiele pokory - rzekła z promiennym uśmiechem. - Stanowczo za mało się chwali. - Obrzuciła lady Fontenbleu niby to zaciekawionym spojrzeniem. - Tym bardziej się dziwię, że nie odwiedziłaś go dawniej, pani. Skoro masz dla niego tyle poważania i cenisz sobie jego liczne zasługi, powinnaś była odnowić waszą przyjaźń o wiele wcześniej. Nie ukrywał się przed światem. Zdradź mi, pani, ile czasu upłynęło od chwili waszego ostatniego spotkania?

- Za dużo - odrzekła niezadowolona Celeste.

- Ach, to zapewne dlatego o tobie nie wspominał. A co się tyczy kasztelańskiego urzędu, zasłużył nań przymiotami charakteru oraz rzetelną służbą. Lord Merrick nie roz-daje podobnych funkcji jak podarków, ale niektórzy ludzie nie potrafią dojrzeć cudzych zalet nawet, gdy widać je jak na dłoni.

- Nie myślałeś o mnie czasem? - zignorowała ją lady Fontenbleu.

- Owszem - odparł Ranulf. - Z żalem przyjąłem nowinę o zgonie twojego męża. Zaczynał być z niego człowiek. Nie sposób przywyknąć do myśli, że odtąd zabraknie go na królewskim dworze.

Celeste wyjęła chusteczkę i przetarła powieki.

- Zmarł po długiej i ciężkiej chorobie. Opieka nad nim wycieńczyła mnie, niewiele brakowało, a i ja podupałabym na zdrowiu. Zostałam sama w naszym ogromnym domu w Londynie. Pomyślałam, że złożę ci wizytę teraz, skoro znów jestem wolna...

„Skoro znów jestem wolna”? - zżymała się w duchu Bea. A cóż to ma znaczyć? Że może się bezwstydnie narzucać i zabiegać o względy mężczyzny, którego miłością wzgardziła ongiś z własnej woli? A on? Jest uprzejmy jak zwykle, ale co czuje? Jak przyjął jej niespodziewany przyjazd? Zerknęła ukradkiem na Ranulfa, ale jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Cóż, miała lepsze rzeczy do roboty niż przyglądanie się, jak lady Fontenbleu mu schlebia i robi do niego słodkie oczy. Podniosła się i oznajmiła odrobinę zbyt głośno:

- Wybaczcie, ale muszę wracać do obowiązków. - Z tymi słowy zgarnęła spódnice i okręciwszy się na pięcie, wymaszerowała energicznie z wielkiej sali.

Ranulf pragnął zatrzymać Beatrice i zapewnić ją, że nie ma najmniejszego powodu do obaw. Chciał ją przekonać, że nie powinna być zazdrosna. Wprawdzie widok dawnej ukochanej na moment wstrząsnął nim, lecz wkrótce odzyskał rezon i uzmysłowił sobie z całą stanowczością, że to, co czuł niegdyś do Celeste, dawno w nim umarło.

Uprzytomnił sobie także, iż owo uczucie zaczęło obumierać w chwili, gdy po raz pierwszy ujrzął Beę. Celeste była piękna jak egzotyczny kwiat, lecz nieprzystępna i nieco posągowa. Natomiast Beatrice nie ustępowała jej urodą, a w dodatku roztaczała wokół siebie aurę świeżości i naturalności. Była śliczna i kusząca niczym łąka na wiosnę. Co więcej, nie traktowała bliźnich protekcyjnie, z każdym potrafiła porozmawiać, każ-

demu okazać życzliwość i podarować uśmiech. Pociągała go nie tylko ze względu na zachwycającą powierzchowność, lecz także za sprawą przymiotów ducha. Uwielbiał dysputować z nią przy wieczerzy o codziennych sprawach, domowych troskach i radościach, bo zawsze umiała go rozbawić albo przynajmniej poprawić mu nastrój. Nie wyobrażał sobie podobnych rozmów albo spaceru po targu z wyniosłą Celeste.

Choć odczuwał żal, spoglądając w urodziwą twarz lady Fontenbleu, żałował jedynie tego, że kiedyś tak bardzo się pomylił. Swego czasu był przekonany, że kocha ją żarliwie i szczerze, teraz wiedział, że to, co brał za miłość, okazało się jedynie oczarowaniem. Miał ochotę ją odprawić, niestety, rycerski kodeks honorowy kazał mu udzielić jej gościny.

- Wyznam, że zdumiałam się na wieść o tym, że w Penterwell przebywa młoda, niezamężna niewiasta. Nie sądziłam, że można pozwalać podopiecznym na tyle swobody, ale cóż, nie znam lorda i lady Tregellas.

- Właśnie. Gdybyś ich знаła, wiedziałabyś, że Beatrice jest im bardzo droga i nie naraziliby jej świadomie na niebezpieczeństwo.

- Niebezpieczeństwo? - zawołała Celeste, dotykając przelotnie jego dłoni. - Nie to miałam na myśli. Ma wiele wdzięku, nie przeczę, ale jest protegowaną lorda Merricka, któremu tak wiele zawdzięczasz.

- Masz słuszość, nie zrobiłbym jej krzywdy.

Pomyśleć, że przez długie lata wyobrażał sobie ze szczegółami przebieg tego spotkania. Zastanawiał się, co powie i jak się zachowa. Miał w zanadrzu wiele okrutnych słów, które zraniłyby ją do żywego. To widział ją przed sobą skruszoną i błagającą o wybaczenie, innym razem kompletnie ją ignorował. Ależ był głupi!

- Nie chciałam cię urazić - odezwała się Celeste.

Ranulf wciąż miał nadzieję na szczęśliwą przyszłość z Beą i dlatego postanowił być uprzejmy dla Celeste.

- Daruj mi brak ogłady. Zdaje się, że spędzam zbyt wiele czasu wśród żołnierzy. - Uśmiechnął się. - Wyglądasz równie młodo, jak wtedy, kiedy ostatni raz się widzieliśmy.

- Pochlebca! Nie wiem, czy powinnam się cieszyć, czy być rozczarowana?

- Mam nadzieję, że nigdy nie sprawiłem ci przykrości, pani - wyrecytował niczym wyuczoną strofę.

- Mówisz jak dworzanin. Znam ich wielu i wiem, kiedy są nieszczerzy.

- Wybacz. Wciąż nie mogę dojść do siebie. Pojmujesz chyba, że byłem bardzo zaskoczony, gdym ujrzał na dziedzińcu twoją świtę.

- Obawiałam się, że mnie nie przyjmiesz, jeśli się zapowiem. Rozstaliśmy się w gniewie. Nie zdziwiłabym się, gdybyś nie chciał mnie więcej oglądać.

- To się zdarzyło wiele lat temu. Powiedziałem Beatrice, że byliśmy przyjaciółmi, i nie widzę powodu, byśmy nie mieli nimi pozostać.

- Tylko przyjaciółmi? - zapytała z nieśmiałym uśmiechem.

Nim zdążył odpowiedzieć, do izby wpadł rozgorączkowany Myghal.

- Panie! - wykrzyknął bez tchu. - Hedyn nie żyje! Ubili go!

Niedługo potem Ranulf spoglądał na zbroczone krwią ciała Hedyna oraz niewiasty, która spoczywała obok niego w łóżku. W kącie izby stał, ocierając łzy służący Daveth, w komnacie obok szlochały pozostałe trzy służki. Szeryf zginął od pojedynczego pchnięcia sztyletem w serce, jego ukochana miała poderżnięte gardło. Walczyła o życie, ale nie zdołała obronić się przed napastnikiem.

Kasztelan siłą woli zmusił się do zachowania spokoju.

- Kim jest ta białogłowa? - zapytał.

- To Gwenbritha, panie - odparł szeptem Myghal.

- Nałożnica sir Frioca?

- Nie inaczej.

- Od jak dawna zadawała się z Hedynem?

- Trudno orzec. Do dziś nic o tym nie wiedziałem. Nikt nie wiedział. - Zastępca szeryfa zerknął na Davetha, który potwierdził jego słowa skinieniem głowy.

De Beauvieux przypomniał sobie jedną z rozmów z zamordowanym. Czyżby to Gwenbritha była ową panną, której miłość niegdyś utracił? Jeśli tak, szeryf miał powody, by pragnąć śmierci poprzedniego kasztelana. Szkopuł w tym, że Hedyn nie należał do

ludzi zdolnych posunąć się do tak haniebných czynów. A nawet jeżeli to on zabił sir Frioca, kto zgładził jego i niewiastę? I dlaczego?

- Nie byłeś świadom, że twój pan ma kochankę? - zwrócił się do służącego.

- Byłem pewien, że kogoś ma, ale nie wiedziałem kogo. Zazwyczaj to on ją odwiedzał. Mówił, że nie wróci na noc i nic więcej. Wczoraj gościła u nas pierwszy raz.

Daveth był wzburzony, lecz w jego zachowaniu nie dało się wyczuć fałszu, co wcale nie znaczy, że nie kłamał, uznał Ranulf.

- Pojmuję. Co się wydarzyło ubiegłego wieczoru?

- Pan powiedział, że nie będzie mnie potrzebował, więc zaszedłem do kuchni.

- Kuchnia jest połączona z domem długim korytarzem, panie - wtrącił Myghal. - To w zasadzie oddzielny budynek.

- Nie inaczej - podchwycił Daveth. - Zasiedziałem się z resztą służby do późna. Pogawędziliśmy i wypiliśmy odrobinę piwa, a potem poszedłem spać.

Kasztelan zdążył rozejrzeć się po domu i miał już pewne podejrzenia co do tego, którzy złoczyńcy dostali się niepostrzeżenie do środka.

- Zdaje się, że nie sypiasz w kuchni, prawda?

- Nie, panie. Ściele sobie przy palenisku na dole, w głównej izbie.

- I niczego nie słyszałeś? Żadnego rumoru czy odgłosów walki?

Służący przygryzł wargę i spuścił wzrok.

- Słyszałem, panie. Nawet się przebudziłem, ale pomyślałem, że to mój pan i jego towarzyszka odrobinę hałasują.

Gdyby był w to zamieszany, pomyślał Ranulf, z pewnością nie wyjawiłby takiej informacji z własnej woli. Wydawało się dość prawdopodobne, że zabójca wkradł się do domu wtedy, gdy cała służba znajdowała się w kuchni.

- Kiedy uzmysłowiłeś sobie, że coś jest nie tak?

- Dopiero w południe. - Daveth spojrzął na łóżko i prędko odwrócił wzrok. - Pan zazwyczaj nie wylegiwał się do późna, ale też nie sprowadzał do domu niewiast. Uznałem, że lepiej mu nie przeszkadzać i czekałem, aż mnie wezwie. W końcu postanowiłem zanieść śniadanie na górę. Prędzej samego diabła bym się spodziewał, niż tego co zobaczyłem.

De Beauvieux widział wcześniej na schodach upuszczoną tacę i porozrzucane jedzenie.

- Idź do kuchni i czekaj. Każ reszcie służby czekać razem z tobą. Chcę się z nimi wszystkimi rozmówić. Zamknij za sobą drzwi.

Gdy służący opuścił komnatę, Myghal rzucił się raptownie do okna i otworzywszy je, wychylił się na zewnątrz. Po chwili wstrząsnęły nim torsje. Ranulf podszedł do łoża i dotknął dłoni zabitego. Była zimna i sztywna. Szeryf nie żył zatem od co najmniej kilku godzin. Myghal osunął się na ziemię i wsparł głowę na ugiętych kolanach.

- Wybacz, panie - wymamrotał żałośnie. - Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Mnie również mdli na widok mordu - odparł de Beauvieux, pomagając mu się podnieść - Domyślasz się, kto to zrobił?

Młodzian potrząsnął głową.

- Nie, panie, ani trochę. Wszyscy bardzo lubili Hedyna.

- Nie miałem na myśli przyjaciół, lecz wrogów. Czy ktoś mógł wiedzieć o jego związku z Gwenbritha?

- Gdyby wiedział o tym ktokolwiek z wioski, wiedziałyby także służba szeryfa.

- Może zgładzono go przez wzgląd na sprawowany urząd? - zasugerował kasztelan.

- Był szeryfem, tym samym reprezentował monarchę. Niewykluczone, że ta śmierć ma coś wspólnego z zabójstwem Gawena. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że Hedyn dowiedział się czegoś ważnego i ktoś postanowił uciszyć go na wieki.

- Gdyby odkrył coś istotnego, zaraz by ci o tym doniósł, panie.

- Mógł nie zdawać sobie sprawy z wagi owych informacji. Co robił wczoraj?

- To co zwykle, panie. Rozmawiał z rybakami i kupcami, zjadł posiłek w tawernie i kazał mi zajechać na zamek i sprawdzić, czy wróciły patrole. Potem, jak mniemam, udał się po Gwenbrithę.

- Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

- Wtedy, gdy wysłał mnie do zamku. Pomachał mi na pożegnanie...

Myghal był wyraźnie przygnębiony. Ranulf pojmował jego zgryzotę, lecz musiał zadać mu jeszcze kilka pytań.

- Chcę poznać imiona ludzi, z którymi rozmawiał.

Zastępca szeryfa wymienił ośmiu mężczyzn pięciu rybaków i trzech kramarzy.

- Sprowadź księdza - polecił na koniec kasztelan. - Poproś jakieś niewiasty, by przyszły pomóc przygotować ciała do pochówku.

- Wedle życzenia, panie - odrzekł Myghal, po czym wybiegł z izby.

Ranulf obejrzał uważnie komnatę w poszukiwaniu miejsca, w którym morderca mógłby się ukryć. Nie znalazł niczego takiego. Kufer na ubranie był za mały, aby pomieścić człowieka. Sprawdził też okno, lecz nie dostrzegł śladów wspinaczki, żadnego bosa-ka ani liny. Potem przyjrzał się uważnie podłodze, ale odkrył, że wraz z Myghalem nie-baczenie zdeptali wszelkie ślady, jeśli jakieś były. Na koniec zajrzał pod łóżko, pod którym było podejrzenie czysto, jakby ktoś wytarł z podłogi cały kurz. Przemknęło mu przez myśl, że to jedyne miejsce, które mogło posłużyć za kryjówkę. Wprawdzie nie mieściło mu się w głowie, że ktoś mógłby czaić się pod łóżkiem i czekać, aż wyczerpani kochankowie zapadną w sen, i zabić ich z zimną krwią, lecz kto wie, do czego zdolni są skrytobójcy?

Stanął u wezłowania i spojrzał na ranę w piersi Hadyna. Zadano ją bardzo ostrym i wąskim narzędziem, prawdopodobnie broń nie pochodziła z Anglii. Śmiertelny cios wy-mierzono z wielką precyzją. Ktoś wiedział dokładnie, gdzie uderzyć. Przeszedł na drugą stronę i ułożywszy Gwenbrichę na wznak, delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy. Była ładna, ale z pewnością nie piękna, znacznie starsza od Bei, prawdopodobnie w wieku Celeste. Ciało miała jędrne i kształtne. Miał nadzieję, że nie będzie po niej rozpaczało żadne dziecko. Przypomniawszy sobie, jak na próżno przywoływał matkę, a wieczorami chodził spać zapłakany, aż ksiądz wyjaśnił mu, że mama nie wróci, bo odeszła do lepszego świata.

Zacisnął na moment powieki. Kiedy po chwili jego wzrok zatrzymał się na szyi zamordowanej, zauważył że cięcie biegnie bardzo wysoko, tuż nad uchem. Morderca najprawdopodobniej chwycił ją lewą ręką za włosy, a prawą poderznął jej gardło. Ranulf był pewien, że nieszczęsna niewiasta zginęła jako druga. Zdażyła się zbudzić i pojąć grozę sytuacji. Wiedziała, że jej ukochany nie żyje i że nadchodzi nieubłagany koniec. Biedaczka. Nikt nie zasługuje na taki los.

- Znajdę tego, kto wam to zrobił - rzekł na głos, jakby Hedyn i Gwenbritha wciąż go słyszeli. - Znajdę i przykładowo ukarzę. Przyrzekam.

Ranulf wrócił z domu Hedyna przybity i podenerwowany. Bea, chwyciwszy przygotowaną wcześniej czarę z winem, wybiegła mu na spotkanie.

- Och, Ranulfie! - zawołała przepełniona współczuciem. - Tak mi przykro! To naprawdę straszne.

- Nic mi po twoim winie! - Minął ją, opadł na najbliższe krzesło i wbił wzrok w podłogę.

Nie wzięła mu tego za złe. Potraktował ją oschle, ponieważ cierpiał z powodu śmierci dobrego człowieka. Odprawiła służbę, by dać mu odrobinę wytchnienia w samotności. Sama również chciała odejść, ale nie mogła go zostawić w takim stanie. Targał nim słuszny gniew, ale w jego oczach dostrzegła również smutek i ból.

Postanowiła zatem zostać i wlać w jego serce odrobinę pociechy.

- Nie ma w tym twojej winy - zaczęła łagodnie.

Roześmiał się szyderczo.

- Nie? Kto w takim razie zawinił? Jestem kasztelanem. Odpowiadam za utrzymanie porządku w okolicy. Niestety, zawiodłem. Mord na szeryfie to świadectwo mojej klęski.

- Nie ty dokonałeś zbrodni - odparła spokojnie.

Skoczył na równe nogi i zaczął przemierzać nerwowo komnatę.

- Owszem nie ja, ale powinienem zapobiec nieszczęściu.

Rozłożyła bezradnie ręce.

- A cóż mogłeś zrobić?

- Mogłem być mniej wyrozumiały! Trzeba było rozprawić się na dobre z przemytem i przesłuchać każdego mężczyznę z wioski w sprawie śmierci Frioca, Gawena oraz owych dwóch zaginionych. Ale nie, wolałem uchodzić za dobrotliwego pana o miękkim sercu, zamiast działać, czekałem, aż ludzie zaufają mi na tyle, by wreszcie otworzyć usta i zacząć mówić. Głupiec ze mnie i słabeusz, ot co.

Przykro było słuchać, gdy robił sobie takie wyrzuty.

- Prawda, mogłeś postąpić, jak mówisz - przyznała Bea, przyglądając mu się ze ściśniętym sercem. - Mogłeś zjechać do Penterwell i niczym anioł zemsty wystraszyć

mieszkańców, wtrącając przemytników do lochu i podejrzewając każdego bez wyjątku o najszkaradniejsze zbrodnie. Tyle że niczego byś na tym nie zyskał. Kornwalijczycy zapaliliby do ciebie nienawiścią i by ci nie zaufali. Kto wie, czy nie zwróciliby się przeciwko tobie. Tak czy owak, byłoby o wiele gorzej.

- Gorzej?! - zdumiał się Ranulf. - A może być jeszcze gorzej, niż jest? Zaczynając człowiek stracił życie, bo wierzyłem naiwnie, że samolubni i uparci wieśniacy przejrzą na oczy i pojmą, że nie przybyłem po to, aby wyrządzić im krzywdę, lecz po to, żeby ich chronić. Przymykałem oko na to, że łamią królewskie prawa i lekceważą edykty. Nie dziwota, że posunęli się do mordów. Widać sądzą, że i to ujdzie im płazem.

- Nawet gdybyś ich przesłuchał i groził surowymi karami za skrywanie prawdy, nie wiadomo, czy cokolwiek by ci wyjawili. Pewności mieć nie możesz. A gdyby nadal milczeli jak zakłęci? Co wtedy, Ranulfie? Poddalbyś ich torturom? Łamałbyś ich kołem albo przypiekał im boki? Na niewiele by się to zdało. Doprowadziłbyś jedynie do tego, że każda niewiasta, każdy mężczyzna i każde dziecko w Penterwell przeklinaliby cię i życzyliby ci śmierci.

Na jego twarzy pojawił się wyraz bezsilnej desperacji.

- Dlaczego nie chcą mi pomóc? - zapytał. - Czemu zatajają przede mną ważne informacje?

- Być może teraz rozwiążą im się języki. Może to, co się wydarzyło, sprawi, że sami do ciebie przyjdą.

- A jeśli nie przyjdą? Co mam wtedy począć, Beo?

- Cóż, będziesz musiał przepytac każdego z osobna i polozyć kres przemytowi. Tylko tym sposobem zdołasz odkryć, kto dopuścił się owych haniebných zbrodni. Zanim poczynisz stosowne kroki, powinienes im powiedziec, że robisz to, poniewaz nie pozostawili ci wyboru, a twoją powinnością jako kasztelana jest utrzymanie porządku i zapewnienie im bezpieczeństwa.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Kiedy to nabrałaś takiej mądrości, moja mała lady Beo? - zapytał, gładząc ją po policzku.

- Nie twierdzą, że zjadłam wszystkie rozumy, Ranulfie - odparła, rozkoszując się pieśczętą. - Poznałam twoich poddanych i myślę, że większość z nich pragnie ci zawierzyć i oddać swój los w twoje ręce. Niestety, niektórzy lękają się o własne życie.

- I słusznie - mruknął, zwieszając bezradnie głowę. - Jest czego się bać. Widywałem zabitych mężczyzn, ale ta biedna niewiasta... To było potworne, ona widziała napastnika, wiedziała, co ją czeka...

Bea położyła dłoń na jego dłoni. Tylko tak mogła mu dać odrobinę pociechy.

- Zaszlachtowali ich jak zwierzęta... na dodatek w łóżu. Kto byłby zdolny uczynić bliźnim coś takiego?

- Cóż, widać są na świecie podli i okrutni ludzie. Nie mieści ci się w głowie, że można być aż tak zepsutym, bo sam jesteś szlachetny i cnotliwy. Wiem, że prędzej czy później uda ci się schwytać zabójcę.

- Jak mam go schwytać, skoro cała wioska nabrała wody w usta? Czasem zdaje mi się, że oni wręcz knują przeciwko mnie.

- Nie sądzę. Możliwe, że milczą, bo zwyczajnie niewiele wiedzą.

Posłał jej niewesoły uśmiech.

- Skąd u ciebie ta wiara w ludzi?

- Nade wszystko wierzę w ciebie, Ranulfie. Jestem przekonana, że znajdziesz zbrodniarzy.

Podniósł się zdecydowanie i pociągnął ją za sobą.

- Musisz stąd natychmiast wyjechać, Beo - rzekł stanowczo, chwyciwszy ją za ramiona. - Nie jesteś tu bezpieczna.

- Nie chcę wyjeżdżać - wyznała z głębi serca. - Chcę zostać, aby cię wspierać, pomagać ci, najlepiej jak umiem...

Zajrzał jej w oczy i ścisnął ją lekko za rękę.

- Ja też chciałbym, żebyś została, ale nie wolno mi ciebie narażać.

Spojrzała na niego z miłością i oddaniem.

- Wolę stawić czoło niebezpieczeństwu przy tobie, niż czuć się bezpieczna z dala od ciebie.

- Naprawdę? Nie bałabyś się trwać przy mnie mimo okropieństw, do których doszło w Penterwell?

- Nie, nie bałabym się. Nie chcę cię opuszczać.

Ranulf przygarnął Beatrice do piersi. Kochał ją i potrzebował do życia jak powietrza. Za nic w świecie nie zostawiłaby go samego na pastwę nieznanym wrogów. Pragnęła go chronić, pocieszać, otaczać opieką i dawać mu szczęście do końca swoich dni.

- Och, Beo, Beo, nie prosz mnie, bym pozwolił ci zostać. I bez tego ciężko mi na sercu, że muszę cię odesłać. Nie zniósłbym, gdyby coś ci się stało.

To znaczy, że Ranulf mnie kocha! - pomyślała szczęśliwa Bea. Co za radość! W dodatku ją pocałował! Tak jak wtedy, gdy spała, tyle że teraz to się działo na jawie. Jego usta mówiły stokroć więcej niż słowa. Były czułe i pełne uwielbienia. Teraz nie miała wątpliwości, że on również darzy ją uczuciem. Wiele w życiu wycierpiał. Zasługiwał na to, aby go kochać i podziwiać za odwagę, niezłomność i dobroć, której nikt nie zdołał z niego wypłenić, mimo że wielu próbowało.

Przyłgnęła do niego całym ciałem. Oddawała mu pocałunki z zapalem, wkładając w to całą swoją miłość. Wkrótce świat przestał istnieć, byli tylko oni zatraceni w sobie i rozognieni. Dłonie Ranulfa błądziły po ciele Beatrice, aż objął jej pierś. Uśmiechnęła się, gdy zaczął ją laskotać jego zarost.

- Rozbawiłem cię, pani? - zapytał, muskając wargami jej policzek.

- Twoja broda... okropnie drapie - wyznała bez tchu.

- Będę musiał coś z tym zrobić.

- Byłabym wdzięczna.

Znów się pocałowali, tym razem z jeszcze większym zapamiętaniem. Bea wsunęła dłonie pod tunikę Ranulfa. Czowała bijące od niego gorąco, które rozpalało jej zmysły.

- Musisz wyjechać, Beo - szepnął z ustami tuż przy jej uchu. - Chcę, żebyś była bezpieczna. Kiedy odnajdę sprawców mordu i to wszystko się skończy, przyjadę po ciebie do Tregellas.

Całowali się jeszcze jakiś czas, spleceni w namiętym uścisku, gdy wtem ktoś krzyknął od progu. Odskoczyli od siebie jak oparzeni, przypomniawszy sobie, że znajdują się w wielkiej sali, gdzie każdy mógł stać się świadkiem ich czułości.

Najwyraźniej los chciał, by przyłapała ich lady Fontenbleu. Wpatrywała się w nich oniemiała. Żadne z nich nie rzekło ani słowa. Na koniec Celeste zatoczyła się na ścianę.

- Ranulfie - wymamrotała niewyraźnie, po czym osunęła się na podłogę.

Kasztelan przypadł do niej i wziął ją na ręce. Beatrice podążyła za nim. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że rywalka omdlała na zawołanie. Widać uznała, że to jedyny sposób, aby odzyskać zainteresowanie Ranulfa.

- Jest bardzo rozpalona - zauważył zaniepokojony Ranulf.

Bea przyłożyła dłoń do jej czoła. Istotnie, lady Celeste miała gorączkę.

- Zanieśmy ją do komnaty. Zajmę się nią.

TLR

Rozdział jedenasty

- Nie pojmuję, czemu jej doglądasz, kruszyno - odezwała się Maloren, gdy trzy dni później siedziała z Beą w kuchni. - Skoro opływa w dostatki, niech sobie sprowadzi medyka. Nie ubędzie jej od tego.

- Jest gościem Ranulfa - odparła Beatrice unosząc głowę znad moździerza. Przygotowała dla chorej eliksir z kory wierzby. - Na szczęście nie dolega jej nic poważnego. Za dzień lub dwa wydobrzeje i wyjedzie.

- Krzyżyk na drogę! Nikt tu po niej nie będzie płakał. Już ja wiem, co chodzi po głowie tej latawicy!

- Co?

- Zbyt słodkie i niewinne z ciebie dziewczę moja gołąbeczko, dlatego się jeszcze nie połapałaś, że to wyrachowana zmija. Za to ja przejrzałam ją na wylot. Takie jak ona nie cofną się przed niczym. Za pierwszym razem wzięła sobie męża dla majątku i pozycji, a teraz, kiedy nieborakowi się zmarło, postanowiła złowić kolejnego dla własnej uciechy.

- Sir Ranulfa nie można kupić.

- Gdyby była szkaradna, powiedziałabym, że masz słuszność, dziecino, ale żadna z niej poczwara. Bóg nie poskąpił jej urody, a bies podszeptał, jak czerpać z owego daru korzyści. Rękę dam sobie odjąć, że mężczyźni lgną do niej niczym pszczoły do miodu, odkąd skończyła piętnaście lat. Taka piękność każdego omota.

- Kiedyś omotała także Ranulfa, nie przeczę - przyznała niechętnie Beatrice - Ale to było dawno temu.

- I myślisz, że nie zdoła owinać go sobie wokół palca jeszcze raz? Znali się w czasach, gdy oboje byli bardzo młodzi, dlatego łatwo jej będzie przynęcić go obietnicą drugiej młodości.

Bea mocniej chwyciła tłuczek.

- Jest zbyt mądry, ażeby dać się złapać w jej sidła - stwierdziła z przekonaniem.

Zwłaszcza teraz, gdy zaczęło mu zależeć na mnie, dodała w duchu.

Niestety, od dnia śmierci Hedyna i Gwenbrithy widywała kasztelana nader rzadko. Wracał do zamku późnym wieczorem, a kiedy zasiadał do posiłku, był tak zmęczony i przybity, że nie miała serca nękać go pytaniami, co nie znaczy, że nie walczyła z pokusą wzięcia go na spytki. Wciąż miała w pamięci obietnicę, którą złożył jej w dniu narodzin dziecka Wenny. Pilno jej było wysłuchać tego, co miał do powiedzenia. Pragnęła również, by wyznał na głos, że ją kocha. Wierzyła, że prędzej czy później usłyszy owe upragnione słowa. Tymczasem zadowalała się myślą o jego wzajemności i czekała cierpliwie na sposobność do dłuższej rozmowy.

- Widzę, że los sir Ranulfa bardzo leży ci na sercu - zwróciła się do Maloren.

Miała nadzieję, że piastunka zaczęła wreszcie darzyć jej wybranka większą sympatią.

- Każdego bym żałowała! - rozsierdziła się służąca. - Toż to hańba i sromota, gdy mężczyzna pada ofiarą bogatej wdowy. Tfu! Podłe kreatury. Miały swoją szansę na szczęście, ale nie, ciągle im mało. Muszą szukać kolejnej ofiary. Są jak sępy, powiadam ci, moja duszko. Mało to na świecie niewiast, które przez owe piekielnice bez mężów zostają i więdną w staropanieństwie? - Skrzywiła się ze wzgardą. - A ta cała Celeste? Leży ci taka w brokatakach i jedwabiach od stóp do głów zлана pachnidłami i udaje, że zegna się ze światem! A wszystko po to, by zarzucić sieci na kasztelana!

- Czy i ty chciałaś wyjść za mąż? - zapytała Beatrice, wpatrując się z namysłem w piastunkę.

Może i ona przeżyła swego czasu miłosny zawód? To by wyjaśniało przyczynę jej niechęci do mężczyzn.

- Też mi coś! Miałabym pozwolić, żeby jakiś utrapieniec rozstawiał mnie po kątach albo schlebiał mi tylko po to, żebym mu usługiwała? Niedoczekanie!

W przypadku Maloren pochlebstwa potrafiły działać cuda, ale Bea postanowiła jej tego nie wypominać.

- Lady Celeste nie ma dzieci - zasugerowała nieśmiało - może właśnie z tego powodu pragnie wyjść ponownie za mąż.

- Ha! Nie łudź się, moja gąsko. Nie dziecięcia jej potrzeba, lecz mężczyzny, którego będzie miała na każde skinienie, że nie wspomnę o jego majątku. Zanim

przyjdzie co do czego, będzie się upierała przy korzystnej dla siebie intercyzie. Wspomnisz moje słowa. To pazerna i samolubna suka, ot i wszystko.

Nie inaczej, stwierdziła w myślach Beatrice, jako że w gruncie rzeczy podzielała zdanie Maloren. Nie miała zbyt wielkiego mniemania o charakterze lady Fontenbleu.

- Może poszłabyś ze mną podać jej lekarstwo? - zapytała z nadzieją, skończywszy przyrządzanie mikstury.

- Boże uchowaj! Jej pachnidła przyprawiają mnie o mdłości. Jak można się oblewać takim paskudztwem? Zostanę w kuchni i przypilnuję Mucha, bo znów gotów coś zanadto przypiec.

Biedy Much, pomyślała z uśmiechem Bea, dodając leczniczą mieszankę do wina. Źle znosił humory Maloren, za to jego potrawy znacznie się poprawiły. Dotarłszy do komnaty Celeste, zaczerpnęła głęboko tchu i zapukała do drzwi. Wyjątkowa uroda i jaśniepańskie maniery lady Fontenbleu wciąż ją onieśmiały.

Chora leżała we własnej pościeli, znacznie lepszej i droższej niż ta, którą Beatrice przywiozła z Tregellas. Łóżko przykrywała jedwabna kapa, a u wezgowia stał ogromny mosiężny świecznik. Na składanym stoliku nieopodal ustawiono równiutko zwierciadło oraz rozmaite flakoniki z pachnidłami i upiększającymi smarowidłami. W izbie było również kilka kufrów z ubraniami.

Nawet niedomagając, Celeste roztaczała wokół siebie iście królewską aurę. Bea znów nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w porównaniu z nią jest bardzo młoda, niedoświadczona i nie dość wyrafinowana. Jak to dobrze, że Ranulf nigdy nie daje jej tego odczuć...

- Ach, lady Beatrice - odezwała się słabym głosem wdowa. - Dalibóg, nie wiem, co bym bez ciebie poczęła, moja droga.

- Cóż, gdybym nie potrafiła ulżyć ci w cierpieniu, Ranulf niechybnie posłałby po medyka - odparła rzeczowo Beatrice, podając jej puchar. - Zechciej to wypić, pani. Uśmierzy ból głowy.

Lady Fontenbleu skosztowała odrobinę eliksiru i zmarszczyła nos.

- Wyznam, że smak tego medykamentu pozostawia wiele do życzenia. Szkoda psuć czymś takim wyborne wino z piwnic Ranulfa. Hm... oby okazał się skuteczny.

Wielka to szkoda, że zachorowała i pozwolono jej pozostać w Penterwell, pomyślała Bea. Miała szczerą ochotę powiedzieć jej to prosto w oczy, ale się powstrzymała. Nie wspomniała także o tym, że trunek pochodzi z Tregellas.

Rekonwalescentka skinęła na pokojówkę.

- Zostaw nas same, Emmo.

Beatrice nie miała ochoty oglądać tej niewdzięcznicy ani chwili dłużej, lecz nie wypadało odmówić.

- Podejź i usiądź obok mnie, moja droga - odezwała się Celeste, gdy służąca opuściła komnatę. - Pogawędzimy jak serdeczne przyjaciółki. Pora, bym opowiedziała ci o tym, co łączyło mnie ongiś z naszym gospodarzem.

Ciekawość wzięła górę nad niechęcią. Jeśli Bea pragnęła poznać dzieje znajomości Ranulfa z dawną ukochaną, musiała zostać i wysłuchać lady Celeste.

- Przypuszczam, że wiesz już co nieco na temat tego, co zaszło - ciągnęła lady Fontenbleu.

- Owszem. Wiem, że dawno temu jakaś niewiasta złamała mu serce. Domyślam się także, że ty nią jesteś, pani.

- Sama się domyśliłaś?! Ależ z ciebie spostrzegawcze dziewczątko, jako żywo!

Beatrice nie znosiła, gdy nazywano ją „dziewczątkiem” i traktowano protekcjonalnie.

- Nigdy o tobie nie wspominał. Poznałam twoje imię dopiero, gdy przyjechałaś do Penterwell.

- Cóż, nasza znajomość nie zakończyła się najlepiej - przyznała niechętnie Celeste. Najwyraźniej nie spodobało jej się to, co usłyszała. - Będę z tobą szczerą, moja droga, bo widzę, że zależy ci na Ranulfie tak samo jak mnie.

Idę o zakład, że mnie zależy na nim o wiele bardziej, stwierdziła w duchu Bea.

- Poznałam Ranulfa na królewskim dworze - mówiła dalej wdowa - gdy byłam mniej więcej w twoim wieku. Och, gdybyś tylko mogła go wtedy zobaczyć! Był taki urodziwy! I dowcipny! Kochała się w nim połowa dworek, co zapewne tłumaczy... -

Urwała i spuściła skromnie wzrok. - Cóż, to tylko plotki, którym naturalnie nie daję wiary, ale nie zdziwiłoby mnie, gdyby odtrącony mężczyzna szukał pociechy w ramionach innej niewiasty, być może nawet kilku niewiast. - Utkwiła wzrok w rozmówcy, wyraźnie oczekując gwałtownej reakcji.

Beatrice nie pozwoliła się sprowokować. Nie dała po sobie poznać, jak bardzo zmartwiły ją te rewelacje.

- Tak czy owak, i ja wzorem innych panien zakochałam się w Ranulfie, on zaś pokochał mnie. Spotkaliśmy się w ogrodzie różanym. Ach, cóż to była za chwila! Niczym z romantycznej ballady! Zaczepiłam rękawem o kolec, a on uwolnił mi rękę, a potem ją pocałował i spojrzał mi w oczy z taką tkliwością... To była miłość od pierwszego wejrzenia. Wiedz, że z każdym dniem kochałam go bardziej i jak niczego na świecie pragnęłam zostać jego żoną. - Lady Fontenbleu spochmurniała i objęła dłonie Bei swymi chłodnymi palcami. - Moi rodzice wpadli w gniew, gdy odkryli prawdę o naszej miłości. Zarzucili mi, że jestem samolubna i nieroztropna, a potem kazali poślubić bogatego i wpływowego lorda. Ów mariaż miał przynieść korzyść całemu rodowi. Ranulf był biednym rycerzem, człowiekiem bez domu i ziemi... w dodatku zabił własnego brata...

- Co takiego?! - Beatrice nie posiadała się ze zdumienia i niedowierzania.

- Och, a więc ty nie wiesz - odrzekła Celeste, posyłając jej współczujące spojrzenie. - Tak, moja droga. To szczerą prawdą. De Beauvieux pochodzą z wybrzeża Lincolnshire. Ich majątek leży w pobliżu plaży. Ranulf i jego brat poróżnili się o coś, wdali w bójkę i jakimś sposobem znaleźli się w morzu. Kłótnia skończyła się tragicznie dla Edmonda. Powiadają, że Ranulf trzymał go pod wodą tak długo, aż tamten utonął. Zaraz po tym ojciec wygnał go z domu.

- Mylisz się - szepnęła Bea. - To musiał być nieszczęśliwy wypadek. - Nie mogła wprost uwierzyć, że Ranulf byłby w stanie zabić, lecz wtem przypomniała sobie o okrucieństwie, z jakim traktowali go najbliżsi krewni. - Z pewnością próbował się bronić.

- I ja tak pomyślałam. Wiele razy prosiłam go, aby wyjawiał mi prawdę, lecz on milczał jak zaklęty. Nikt nie wie, co się wówczas wydarzyło.

Naturalnie, że jest to dla niego bolesny temat. Beatrice zrozumiała także, dlaczego Ranulf tak bardzo lęka się morza.

- Każdy kto zna go choć trochę, poświadczy, że to człowiek niezdolny do mordu - oznajmiła stanowczo. - Sir Leonard de Brissy przyjął go do siebie na nauki i uczynił z niego rycerza. Nie zrobiłby tego, gdyby miał go za mordercę.

- To samo powiedziałam moim krewnym, ale pozostali głusi na wszelkie perswazje i błagania. Zrobiliby wszystko, aby nas rozłączyć. Zabronili mi się z nim widywać. Zagrozili, że jeśli sprzeciwię się ich woli, wydziedziczą mnie. Wypłakiwałam za nim oczy, ale moja rodzina pozostała nieugięta. - Otarła łzy brzegiem rękawa. - Kiedy lord Fontenbleu oświadczył się o moją rękę, przekonywali mnie dopóty, dopóki nie uległam.

Beatrice pomyślała o tym, co gotowa była uczynić jej kuzynka, gdyby nie zakochała się w Merricku, i co radziła zrobić jej samej, gdyby próbowano wydać ją za mąż siłą.

- Mogłaś zbiec wraz ze swym ukochanym, pani.

- Zostalibyśmy z niczym. Nie mielibyśmy żadnego majątku ani dachu nad głową...

- Miałabyś za to Ranulfa. - Bei wystarczyłoby to w zupełności. Nie potrzebowała do szczęścia niczego więcej. - Wolłaś złamać mu serce.

- Myślisz, że nie wiem, jak bardzo go skrzywdziłam? Sądysz, że ja nie cierpiałam?

Lady Fontenbleu nie byłaby pierwszą niewiastą, która poddała się woli rodziny i przystała na zaaranżowane małżeństwo.

- Cóż, przypuszczam, że nie było ci łatwo.

- Płakałam do poduszki aż do dnia ślubu, a ten odbył się dopiero trzy miesiące później.

- Przynajmniej spełniłaś oczekiwania krewnych i uszczęśliwiłaś męża. Zawsze to jakaś pociecha, Ranulf zaś nie miał nikogo, na kim mógłby się wesprzeć.

- Och, wierz mi, że prędko się pocieszyl - powiedziała z szyderczym uśmiechem wdowa. - Panny same padały mu w ramiona, gdy tylko przestałam stać im na drodze.

- Powinnaś odpocząć, pani. - Beatrice podniosła się z miejsca. Dość się nasłuchiwała.

- Nie masz pojęcia, jakie cierpiałam katusze - rzuciła ostro Celeste. - Nie waż się mnie osądzać. Popatrz lepiej na siebie. Kuzynka pozwala ci na niestosowną swobodę,

która przynosi ujmę i tobie, i jej. Najwyraźniej lord Merrick jest zbyt słaby, aby jej się sprzeciwić i postawić na swoim.

Miarka się przebrała. Bea znosiła protekcyjny ton oraz uszczypliwe przytyki pod swoim adresem, ale nie zamierzała pozwolić na to, by lady Fontenbleu obrażała w jej obecności Tregellasów.

- Nic o tobie nie wiem i nie rozumiem twego postępowania, pani. Nie pojmuję, jak mogłaś odtrącić najwspanialszego mężczyznę w całym królestwie. Gdyby to mnie udało się zdobyć serce Ranulfa, wolałabym uciec i żyć z nim w ubóstwie, niż wyjść za innego.

- Z tymi słowy okręciła się na pięcie, by ruszyć ku drzwiom.

- Czyżby? - odparowała z nieskrywaną wzgardą wdowa. - Widać ani trochę nie dbasz o dobre imię. Zresztą o cóż tu dbać, skoro i tak go nie masz. - Chwyliła Beatrice za ramię i przytrzymała ją w miejscu. - Twojego ojca ścięto za zdradę, a cały jego majątek i rozliczne dobra przeszły na rzecz Korony. Jesteś zhańbiona, nie masz ziemi, a posag zawdzięczasz wyłącznie szczodrobliwości lorda Merricka. Zdaje ci się, że znasz Ranulfa? Sądzisz, że zadowoli się jałmużną ustanowioną przez twojego opiekuna? Niczego nie możesz mu ofiarować, ja zaś dam mu to, na co zasługuje: bogactwo, rozległe włości i koneksje. Ze mną jako małżonką będzie przyjmowany na królewskim dworze, może nawet zostanie członkiem Królewskiej Rady. Ty nie potrafiłabyś nawet dogodzić mu w łóżu. Umiesz doprowadzić mężczyznę do utraty zmysłów? Wiesz, jak sprawić, by nie zechciał spojrzeć na inną? Jesteś nieopierzoną dzierlatką i jak mniemam dziewczycą, a Ranulf dość się już w życiu nacieszył dziewczycami. Wiedz, że założył się kiedyś z kamratami, iż w dwie niedziele odbierze cnotę czternastu niewinnym pannom. Wygrał bez trudu. Łudzisz się, że wystarczy mu do szczęścia taka młódka jak ty?

Pobladła jak płótno Beatrice wyszarpnęła rękę z uścisku Celeste i podeszła do drzwi.

- W czym niby jesteś ode mnie lepsza?! - zawołała za nią rozpaczliwie wdowa. - Co takiego możesz mu podarować, czego ja nie mam?

Bea zawróciła i natarła na nią z gwałtownością rozwścieczonej lwicy. Lady Fontenbleu cofnęła się i wpadła plecami na poręcz łóżka.

- Otóż mogę podarować mu coś, do czego ty nie jesteś zdolna - oznajmiła lodowatym tonem. - Będę miłować go do końca życia i nigdy się go nie wyrzeknę. Oddam mu się sercem i ciałem. Nie mam zbyt wiele, ale mogę dać mu siebie i wszystko to, czego mężczyzna pragnie od żony: podziw, szacunek i ufność. Jeśli i on obdarzy mnie uczuciem, będę najszczęśliwszą niewiastą w Anglii. Zanim znów dopadnie cię desperacja i uciekniesz się do niecznych knowań i podłych intryg, nie zapominaj, że moja miłość do Ranulfa jest niezłomna. Nie unicestwi jej nic i nikt, a już na pewno nie twoje żalosne zabiegi. Nie odzyskasz go łgarstwami ani próbami oczerniania jego charakteru. Radzę ci więc, „moja droga”, abyś jak najszybciej spakowała manatki i udała się na łowy gdzie indziej. Nie wątpię, że znajdziesz całe mnóstwo kawalerów, którzy docenią twą niepoślednią urodę oraz inne „rozliczne zalety”.

Gdy Beatrice wymaszerowała z komnaty wdowy, ostatni Kornwalijczycy opuszczali powoli dom Hedyna.

- To już wszyscy? - zapytał Ranulf, który właśnie skończył ich przepytywać.

- Tak, panie - odparł towarzyszący mu Myghal.

Kasztelan wyjrzał przez okno i spojrzał w niebo. Od śmierci szeryfa i Gwenbrithy upłynęły trzy dni. Niemal cały ten czas poświęcił na przesłuchiwanie mieszkańców Penterwell. Źle sypiał, mało jadał, a na dobitkę prawie w ogóle nie widywał Bei zajętej doglądaniem niedomagającej Celeste.

Ku jego niezadowoleniu, wieśniacy nie podzielili się z nim żadnymi wiadomościami. Nikt nie wiedział, co przytrafiło się Gawenowi oraz zaginionym wcześniej rybakom, i nie miał żadnych podejrzeń w sprawie pozostałych nieoczekiwanych zgonów. Z wypowiedzi większości wynikało, że nad okolicą krążą złe moce i że to za ich sprawą doszło do owych okropności.

Zastanawiał się, od czego zacząć dalsze poszukiwania winowajców. Może powinien jeszcze raz odbyć patrole wzdłuż wybrzeża. A nuż jego ludzie coś przeoczyli? Albo co gorsza, ukrywali coś przed nim, aby chronić krewnych. Ta myśl była mu nie w smak, lecz należało mieć na względzie każdą ewentualność.

- Za pozwoleniem, panie - odezwał się nieśmiało Myghal, przestępując z nogi na nogę.

- Tak?

- Idzie o to... że ludzie się dopytują, kiedy zostanie mianowany nowy szeryf i kto nim będzie.

De Beauvieux rozmyślał nad tym wcześniej, choć wybór wydawał się oczywisty.

- Ty nim będziesz, a któż inny?

- Ja?!

- Owszem. A czemu nie? Służyłeś przy Hedynie dwa lata i dobrze się sprawiłeś jako jego zastępca.

- Wielki to dla mnie splendor, panie - wydukał zduszonym głosem Myghal - ale niechybnie znalazłby się ktoś...

- Wolałbyś, abym wyznaczył kogoś innego? - przerwał mu Ranulf.

Instynkt podpowiadał mu, że chodzi o coś więcej niż skromność. Hedyn padł ofiarą krwawego mordy. To naturalne, że Myghal lęka się o swoje bezpieczeństwo.

- Jak mniemam, opierasz się z powodu tego, co tutaj zaszło. Cóż, masz do tego pełne prawo, ale wiedz, że będę zawiedziony, jeśli odmówisz.

- Nie w tym rzecz, sir. Jakby to powiedzieć... zapewne nie uszło twej uwagi, panie, że nie wszyscy mnie lubią.

- I owszem - zgodził się kasztelan, przypomniawszy sobie nieprzyjazne spojrzenia rzucane Myghalowi przez niektórych mieszkańców wioski. - Jak długo żyję, nie spotkałem człowieka, który cieszyłby się estymą wszystkich bez wyjątku. Nie warto się tym frasować. To normalne, że gawiedź traktuje nieufnie ludzi piastujących urzędy. Zatem jak będzie? Wiesz, że potrzebuję kogoś, komu zależy na ukaraniu sprawców tak samo jak mnie, kogoś, na kim mogę polegać. Zechcesz wesprzeć moje wysiłki, Myghalu?

Młodzieniec wyprężył się jak struna i wyprostował ramiona.

- Jeśli taka jest twoja wola, panie, służę pomocą.

- Od tej chwili jesteś szeryfem, ja tymczasem udam się do domu. Zasłużyłem na odpoczynek.

Rozdział dwunasty

Ledwie Ranulf zajechał na dziedziniec i oddał konia stajennemu, przypadała do niego pokojówka lady Fontenbleu.

- Stało się coś? - zapytał zaniepokojony. - Twojej pani się pogorszyło?

- Nie, jaśnie panie - odparła Emma - ale chce się z tobą pilnie rozmówić w ważnej sprawie.

- Ach, tak. A cóż to za sprawa?

- Nie wiem. Nie mówiła. Powiedziała tylko, że to ważne i że musi się z tobą widzieć.

- Życzy sobie, abym zaszedł do jej komnaty?

- Nie jest jeszcze wystarczająco zdrowa, by wstać, panie.

Ciekawe, pomyślał. Chodził po świecie wystarczająco długo, by poznać się na niewieścich sztuczkach. Cóż, jeśli jej się zdaje, że zdoła go uwieść, to się rozczaruje.

- Przekaż jej, że niebawem się zjawię.

Udał się do dowódcy straży, by podać mu hasło na najbliższą wartę, po czym wrócił do zamku i zapukał do drzwi komnaty zajmowanej przez niespodziewanego gościa. Ku jego zdumieniu, otworzyła mu lady Celeste. Miała na sobie szkarłatną szatę, spod której wyzierała prześwitująca koszula. Skąpy przyodziewek obnażał jej wdzięki do tego stopnia, że równie dobrze mogłaby przed nim stanąć, jak ją pan Bóg stworzył. Niegdyś dałby się poćwiartować, by ją taką zobaczyć, zwłaszcza że spoglądała na niego wygłodniałym wzrokiem, lecz owe czasy dawno minęły.

- Nie spodziewałem się zastać cię w pojedynkę, pani - rzekł chłodnym tonem Ranulf. - W dodatku w niekompletnym stroju. Jak rozumiem, chcesz zakomunikować mi coś istotnego. Niestety, obawiam się, że będziesz musiała z tym poczekać do chwili, gdy...

Nie pozwoliła mu skończyć. Zdecydowanym gestem chwyciła go za ramię i wciągnęła do środka.

- Czy aby nie nazbyt śmiało sobie poczynasz? Niegdyś byłaś nieco bardziej powściągliwa i układna.

- Nie udawaj przede mną świętoszka. Nie do twarzy ci z tym. Zresztą, nie próbuję cię uwieść.

- To dobrze. Pragniesz rozmawiać, pozwól więc, że ja zacznę. Widzę, że poczułaś się znacznie lepiej, a skoro tak, możesz opuścić Penterwell. Zrób to jak najrychlej.

- Jakże to?! - wykrzyknęła oburzona. - Odmawiasz mi gościny?

- Proszę cię o to nie bez przyczyny. Chodzi o twoje dobro, Celeste. W okolicy popełniono okrutny mord, być może niejeden. Nie chcę narażać cię na niebezpieczeństwo.

Zamiast się przestraszyć, spojrzała na niego z ożywieniem i błyskiem nadziei w oku.

- Mam rozumieć, że jednak trochę o mnie dbasz?

- Owszem, jak o przyjaciółkę - oznajmił spokojnie. - Troszczę się o twój los, choć powinnaś wiedzieć, że bywały chwile, kiedy życzyłem ci śmierci - dodał gwoli ścisłości. Wolał od razu pozbawić ją złudzeń.

Odsunęła się odruchowo.

- Co... co ty mówisz?

- Dziwi cię, że pragnąłem, abyś cierpiała? Po tym co mi zrobiłaś?

- Sądzisz, że dla mnie to nie było bolesne? Uważasz, że wyszłabym za innego z własnej woli? Rodzice wydali mnie za mąż siłą.

Przypomniał sobie dzień, w którym oznajmiła mu, że nie wolno im się więcej widywać.

- Nie byłem dla ciebie dość majątny. Sama to powiedziałaś.

Złożyła ręce jak do modlitwy.

- Oni mi to powtarzali. Wmawiali mi, że jesteś biedny jak mysz kościelna. Dowodzili, że jeśli cię poślubię, czeka mnie życie w ubóstwie.

- Nadal jestem ubogi, Celeste. Kasztelanem zostałem tylko dzięki szczodrej naturze Merricka. Nie dysponuję żadnym majątkiem. Jedyne, co mam, to drewniany kufer na odzienie.

- Za to ja jestem bogata. Ten, kto mnie poślubi, również będzie bogaty. Mogę dać ci wszystko, czego tylko zapragniesz: pieniądze, dobra ziemskie, koneksje i dozągoną miłość.

- Aż tyle? Pragniesz podarować mi aż tyle?

- Tak, Ranulfie! Co tylko zechcesz! - wykrzyknęła, zarzucając mu ramiona na szyję.

Odsunął ją delikatnie.

- Szkopuł w tym, że ja chcę Beatrice, a nie ciebie. Dlatego życzyłbym sobie, abyś jak najszybciej wyjechała.

- Na miłość boską, nie bądź dla mnie taki okrutny! Postaraj się zrozumieć i odpuść mi winy. Zmusili mnie! Nie miałam wyboru!

- Wiem i żal mi ciebie. Jeśli potrzebujesz przebaczenia, masz je. - Uzmysłowił sobie, że mówi zupełnie szczerze. Nie odczuwał złości i nie miał do niej pretensji. - Dajmy pokój z roztrząsaniem przeszłości. Czasu nie da się zawrócić.

- Jestem wolna, nic nie stoi nam na przeszkodzie! Mąż mnie nie kochał. Byłam dla niego ozdobą, niczym więcej. Chwalił się mną w towarzystwie niczym drogocennym klejnotem. - Spojrzała na niego ze łzami w oczach. - Nie całował mnie tak jak ty. Przy nim nie czułam...

- Zamilcz o tym, Celeste - przerwał jej zniecierpliwiony. - Daremny trud. Współczuję ci, ale nic z tego nie będzie. Nie kocham cię.

Wyprostowała się, a jej rysy zastygły niczym wyklute w kamieniu.

- Nie chcesz mnie już, bo stałam się stara i brzydka? To dlatego wolisz figlować z tym dziewczątkiem? Pomyślałeś o jej splamionej czci? Albo o swoim honorze?

- Beatrice nie jest dziewczątkiem, lecz niewiastą.

- I tym usprawiedliwiasz swoje niegodne uczynki? Przywiodłeś do grzechu niewinne dziewczę. Uczyniłeś nałożnicę z podopiecznej swego suzerena, człowieka, z którym łączą cię rzekomo nierozzerwalne więzi przyjaźni.

- Bea nie jest moją nałożnicą - odrzekł Ranulf, z trudem pohamowując gniew.

- Możesz to powtarzać do woli, ale nie łudź się, że ktokolwiek ci uwierzy. Po tym, czego niedawno byłam świadkiem...

- Daruj, ale nie zamierzam tego dłużej znosić. Nie pozwolę, byś wypowiadała nie-pochlebne sądy o lady Beatrice i obrażała mnie w moim domu. Każ służącej spakować swoje rzeczy. Wyjeżdżasz jutro o świcie. A teraz żegnam. - Z tylni słowy zawrócił do wyjścia, modląc się w duchu o aurę sprzyjającą podróżom.

- Nie! Zaczekaj! - zawołała Celeste, zasłaniając sobą drzwi. - Ranulfie, nie odchodź, błagam cię! Wybacz mi ostre słowa, nie miałam prawa tak mówić. Wiem, że nie uwiódłbyś takiego słodkiego dziewczęcia. Nigdy nie dawałam wiary temu, co o tobie powiadają.

- Przepuść mnie, Celeste. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Pora, aby nasze drogi się rozeszły.

Wykrzywiła usta i posłała mu rozjuszone spojrzenie.

- Mam uwierzyć, że kochasz tę głupią gęś? Cóż ona może wiedzieć o miłości, o tym, jak zaspokoić mężczyznę?

Spróbował ją wyminąć, ale nadal nie pozawalała mu wyjść.

- Zwiążesz się z córką zdrajcy? Przyjmiesz jałmużnę od Merricka zamiast posagu? Gdzie twoja godność, Ranulfie? Gdzie twój honor?

- To Bea uczyni mi honor. Będę dumny i szczęśliwy jeżeli zgodzi się, abym został jej mężem.

- Ach, zatem jeszcze się nie oświadczyłeś. Tak pomyślałam, kiedy okazało się, że ona nie wie, jaki koniec spotkał twego brata. - Uśmiechnęła się z satysfakcją na widok jego miny. - Tak, powiedziałam jej. Nie dziwię się, że sam tego nie zrobiłeś. Bałeś się, że cię nie zechce. Jak sądzisz, co pomyśli o owym nieszczęsnym zakładzie, który wygrałeś po naszym rozstaniu? Wierz mi, nie była zachwycona, gdy jej o tym wspomniałam.

Ścisnął ją za ramiona i potrząsnął nią jak szmacianą lalką.

- Coś ty jej naopowiadała?

Roześmiała się z triumfem.

- Nic takiego. Napomknęłam tylko o czternastu dziewczicach, którym odebrałeś cnotę.

- Boże Wszechmogący - szepnął i zatoczył się, jakby go uderzyła.

- Cóż to? Wstyd ci? I dobrze! Powinieneś spłonąć ze wstydu.

Szydziła z niego w najlepsze, tak jak ongiś czynili to jego ojciec i bracia. Nikt nie będzie bezkarnie ze mnie drwić, pomyślał. Odpłaci jej pięknym za nadobne.

- Byłem w kościele, kiedy brałaś ślub. Nie widziałem w twoich oczach żalu, dostrzegłem jedynie zachwyt i niekłamana radość. Nie rozpaczałaś po mnie i nikt nie przymuszał cię do zamążpójścia. Zgodziłaś się za niego wyjść i zrobiłaś to z wielką ochotą, a mnie wyrzuciłaś ze swojego życia i z pamięci, jak wyrzuca się starą sukienkę. Wierzyłem, że darzysz mnie prawdziwym uczuciem. Jakiż byłem dumny! Na szczęście, zmądrzałem i znalazłem sobie do kochania mądrą i szlachetną pannę, która jest twoim całkowitym przeciwieństwem.

- Do kochania? Nie masz pojęcia, co znaczy kochać! Wzdychałeś do mnie i chodziłeś za mną jak pies. Układałeś ckliwe poematy i rzewne pieśni na moją cześć. Twoje umizgi bardzo mi schlebiały, nie przeczę i potrafiłeś dobrze całować, ale to jeszcze nic nie znaczy. Miałabym wydać się za naiwnego żebraka i bratobójcę? Musiałabym postradać zmysły, żeby popełnić takie głupstwo!

- To ja byłem niespełna rozumu, kiedy wmawiałem sobie, że cię Kocham. Na szczęście, to już przeszłość.

- Tylko obłąkany chciałby za żonę młodkę pohańbioną przez ojca zdrajcę!

- Ty właśnie zhańbiłaś się w moich oczach na wieki. Żegnaj, Celeste.

Padła przed nim na kolana.

- Ranulfie, wybacz mi! Poniosło mnie. Żałuję tego, co zrobiłam wiele lat temu. Przeklinam dzień, w którym pozwoliłam ci odejść. Nie powiem już złego słowa o lady Beatrice, ale błagam, nie przepędzaj mnie, pozwól mi zostać.

- Przykro mi, ale nie jesteś tu dłużej mile widziana.

- Proszę, nie odprawiaj mnie! Nie mam dokąd pójść.

- Masz przecie rozliczne włości. Jedź do którejś ze swoich posiadłości.

- Nie doczekaliśmy się męskiego potomka. Cały majątek męża przypadł jego bratankowi. Mam tylko to, co ze sobą przywiozłam.

Ranulf omiótł wzrokiem izbę pełną podróżnych kufrów. Przypomniawszy sobie także jej zdobne suknie i klejnoty.

- Nadal jesteś bogata. Sprzedaj co nieco i kup sobie dom w Londynie. Rychło znajdzie się mnóstwo zalotników chętnych, by cię poślubić.

- Nie skazuj mnie na żywot w samotności! - Zatkęła żałościwie, ocierając łzy. - Nie mam rodziny ani przyjaciół. Rodzice i inni krewni dawno umarli. Zostałam na świecie zupełnie sama, a nie jestem już młoda.

Zawahał się. Miał ochotę ją przepędzić, a jednocześnie jej współczuł, bo wiedział, jak trudno jest zmagać się z życiem w pojedynkę.

- Nadal jesteś piękna Celeste. Upłynie wiele lat, nim się zestarzejesz. Jestem przekonany, że znajdziesz męża.

- Nie pocieszaj mnie. - Rozszlochała się na dobre. - Wybrałeś inną, młodszą ode mnie.

- Owszem, pokochałem inną i rzeczywiście jest od ciebie młodsza. Nic tego nie zmieni, a twoje położenie nie jest aż tak rozpaczliwe, jak ci się zdaje. Wciąż masz środki do życia.

Wytarła oczy wierzchem dłoni i poprawiła rozchełstany ubiór.

- Pozwól mi chociaż zostać dopóty, dopóki nie znajdę innej kwatery.

Nie potrafił jej odmówić.

- Dobrze. Niech i tak będzie.

Podniosła na niego zasmucony wzrok. Kiedyś to spojrzenie wzruszyłoby go do głębi i zapewne zrobiłby dla niej wszystko.

- Dziękuję ci z całego serca, Ranulfie - powiedziała, ujmując go za ramiona.

Odsunął się, by wyzwolić się od jej dotyku.

- Daj pokój, Celeste.

- Nie obawiaj się, chcę tylko wyrazić swoją wdzięczność. - Przysunęła usta do jego twarzy.

- Wiedziałam! - wrzasnęła od progu Maloren. - Przepowiadałam, że tak to się skończy. Tfu! Niech was piekło pochłonie!

Po wizycie u lady Fontenbleu Beatrice chciała pójść wprost do Ranulfa, pomyślała jednak, że lepiej będzie odrobinę ochłonić i poczekać, aż przejdzie jej złość.

Celeste usiłowała ich ze sobą skłócić, ale Bea przejrzała jej grę. Na nic intrygi i podłe łągarstwa. Miałyby słuchać niecných podszeptów zdesperowanej rywalki? Przenigdy.

Tak czy owak, pragnęła z kimś porozmawiać. Zazwyczaj zwierzała się Constance, która ją pocieszała albo służyła dobrą radą. Niestety, kuzynka była daleko stąd, w Tregellas. Z kolei Maloren wpadłaby w furję, gdyby usłyszała o rzekomym zakładzie. Z miejsca uwierzyłaby w owe bujdy o pohańbionych dziewicach, choć były to niedorzeczne kłamstwa.

Niewiele myśląc, udała się więc do Wenny i wkrótce rozmawiała z młodą matką, kołysząc w ramionach małego Gawena.

- Cud chłopiec! - zachwycła się, głaszcząc malucha po rumianych policzkach.

- I mnie wydaje się śliczny, ale która matka powie inaczej? - odparła z uśmiechem Wenna.

- Och, wierz mi, jest cudny jak z obrazka. A jak ty się czujesz?

- Nie najgorzej... Jak sądzisz, pani, czy sir Ranulf mówił szczerze? Naprawdę chce uczynić mojego syna swoim giermkim?

- Skoro dał słowo, możesz być pewna, że tak, I wiedz, że Gawen nie mógłby trafić na lepszego pana. Sir Ranulf wsławił się jako znamienity dowódca. Zobaczysz, niebawem zrobi się głośno o chorągwi strzegącej Penterwell, a wtedy wasza wioska stanie się najbezpieczniejszym miejscem w okolicy.

- Oby tak było.

- Może nawet zawitają tu kupcy z wyrobami, które rzadko spotyka się z dala od Londynu. Szkoda, że nie widziałaś, jakie wspaniałe stroje przywiozła ze sobą ze stolicy lady Fontenbleu.

- Tecca powiada, że bardzo piękna i wytworna z niej dama. Nie obawiasz się, że...?

Choć Wenna zwiesiła głos i nie dokończyła pytania, Bea bez trudu odgadła, w czym rzecz. Pewnie zastanawiało się nad tym wielu mieszkańców Penterwell.

- Sir Ranulf i lady Celeste znali się w czasach młodości - wyjaśniła spokojnie. - To całkiem naturalne, że przyjechała z wizytą, choć wyznam - dodała z krzywym uśmiechem - że bywają chwile, kiedy wolałabym, aby była nieco mniej urodziwa.

- Niemożliwe, żeby sir Ranulf wolał ją niż ciebie, pani - stwierdziła z przekonaniem Wenna.

- Cóż, bardzo długo w ogóle mnie nie dostrzegał, a jeśli nawet, to znosił moją obecność z pobłażliwą wyrozumiałością.

- Ale tak było ongiś. A ostatnio?

Beatrice oblała się rumieńcem.

- Och, Wenno, co mam ci powiedzieć? Chciałabyś, żebym zdradziła ci wszystkie swoje sekrety?

- Chcę, żebyś była szczęśliwa, pani - odparła wdowa po Gawenie, przystawiając dziecko do piersi. - Wiele ci zawdzięczam. Bóg jeden wie, jak byśmy oboje skończyli, gdyby nie ty.

- Och, nie zrobiłam aż tak wiele - zaprotestowała Bea.

- Owszem, zrobiłaś. Spytaj którąś z moich kum, a wszystkie powiedzą to samo. - Umilkła na moment, po czym zapytała: - Ufasz sir Ranulfowi, pani?

- Jak nikomu na świecie. Wy też powinniście mu zaufać.

- Chciałabym mu wierzyć, ale trzeba ci wiedzieć, że różnie tu o nim powiadają.

- Co masz na myśli? - Beatrice natychmiast przypomniała sobie rewelacje Celeste.

- Myghal wspominał o zakładzie, w którym jakoby szło o bałamucenie cnotliwych panien. Czternastu w dwie niedziele.

To tylko plotki, przekonywała samą siebie Bea. Nie dawaj im wiary.

- Sir Ranulf za nic nie dopuściłby się takiej podłości. Nigdy w to nie uwierzę. Ciekawa jestem, od kogo Myghal usłyszał te bujdy?

- Ponoć od rybaków. Twierdzili także, że sir Ranulf zabił własnego brata.

- Tak, mówiono mi o tym, ale ręczę, że był to nieszczęśliwy wypadek. Nie może być inaczej. - Zastanawiała się, kto jeszcze rozpowiada owe niestworzone historie. - Czy to dlatego tutejsi ludzie nie chcą z nim rozmawiać? Mają go za rozpustnego okrutnika zdolnego do bratobójstwa?

- Myghal powtórzył to tylko mnie. Wie, jak wielkim darzę cię szacunkiem i podziwem. Chciał, abym cię ostrzegła, bo obawia się, że dałaś się zwieść kasztelanowi.

- Ranulf nigdy mnie nie zwodził! - zawołała zapalczywie Bea, podrywając się z miejsca. - To najzaciejszy z ludzi. Przykro mi słuchać tych oszczerstw pod jego adresem!

Wenna wyciągnęła rękę w pojednawczym geście.

- Daruj mi, pani, nie chciałam cię rozgniewać. Ja też w to nie wierzę. Czasem ludzie krzywo na kogoś patrzą bez wyraźnej przyczyny. Myghal przekonał się o tym na własnej skórze.

- Czemu? - Zainteresowała się Beatrice. - Z racji swojego urzędu?

- Nie tylko. Jego rodzina od dawna nie cieszy się zbyt dużym poważaniem.

- Poszło o wasnie z sąsiadami?

- Można to i tak nazwać. Nie lubią ich, bo trzymają się na uboczu i są zanadto przebiegli. Wielu podejrzewa ich o ciemne sprawy.

- Jeśli parają się przemytem, muszą być dyskretni i sprytni - stwierdziła Beatrice. - Przecież tutaj co drugi mieszkaniec wioski żyje ze sprzedaży zakazanych towarów. Nie pojmuję, dlaczego mają to za złe innym...

- Rodzina Myghala jest okropnie podejrzliwa. Wydaje im się, że wszyscy chcą ich okraść albo wydać władzom. Myghal nie jest złym człowiekiem i z całą pewnością nie miał nic wspólnego ze śmiercią mojego męża.

- Co ty mówisz? - zdumiała się Bea. - Czemu mieliby oskarżyć go o coś takiego?

Wenna zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

- Chciał mnie za żonę, ale wybrałam Gawena.

- A ty? Co o tym sądzisz? - Beatrice przypomniała sobie, że w obecności młodego szeryfa często czuje się nieswojo.

- Nie mógłby tego zrobić - odparła z przekonaniem wdowa. - Był rozgoryczony i przybity, kiedy się pobraliśmy, i obrzucał mnie wyzwiskami, ale w gniewie mężczyźni często mówią rzeczy, których później żałują.

- Groził wam?

- Nie, obraził mnie tylko, ale słowa to słowa, nie szkodzą tak jak podłe uczynki.

- Jesteś pewna, że nie skrzywdził Gawena?

- Tak, gotowa jestem przysiąc, że nie maczał w tym palców. W głębi duszy to poczciwy młodzieniec.

- Zapewne. Sir Ranulf nie mianowałby go szeryfem, gdyby wąpił w nieskazitelność jego charakteru.

- W rzeczy samej - przyznała z uśmiechem Wenna.

Obyśmy się co do niego nie myliły, pomyślała Bea. Intuicja podpowiadała jej jednak coś innego. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że nowy szeryf nie jest do końca taki, za jakiego pragnąłby uchodzić.

- Chyba powinnam wracać - odezwała się i zaczęła zbierać się do wyjścia. - Maloren wkrótce zacznie się niepokoić i postawi na nogi całe domostwo.

Pożegnały się serdecznie, po czym Beatrice ruszyła do zamku w asyście dwóch zbrojnych. Gdy przechodziła główną ulicą, kramarze oraz inni mieszkańcy osady skłaniali przed nią głowy albo posyłali w jej stronę życzliwe uśmiechy. W pewnej chwili spostrzegła w tłumie zmierzającego ku niej Myghala. Postanowiła skorzystać ze sposobności i wypytać go o to i owo.

- Co cię sprowadza do wioski, pani? - zapytał uprzejmie, kiedy wymienili grzeczności na powitanie.

- Wybrałam się z wizytą do Wenny - odparła i z miejsca przystąpiła do rzeczy. - Nie odprowadziłbyś mnie do zamku? Chciałabym cię o coś spytać.

- Będę zaszczycony.

Bea zwolniła eskortę i ruszyła w dalszą w drogę w towarzystwie szeryfa. Przez moment zastanawiała się, jak zagaić, koniec końców postanowiła mówić otwarcie.

- Wiem od Wenny, że słyszałeś rozmaite historie o sir Ranulfie.

Myghal spojrział na nią zaambarasowany i rzekł, rozglądając się niespokojnie na boki:

- I owszem, wolałbym wszakże nie rozprawiać o tym przy ludziach. Może pójdziemy nieco mniej uczęszczaną ścieżką?

Nie odmówiła, choć dobry obyczaj zabraniał niezamężnej damie przebywać sam na sam z mężczyzną.

- Powtórzyła mi wszystko, co jej powiedziałeś - zaczęła, gdy znaleźli się z dala od uszu gawiedzi.

Zaczerwienił się, lecz nie stracił rezonu.

- Chciałem pomówić o tym i z tobą, pani. Noszę się z tym zamiarem od jakiegoś czasu.

- Zatem słucham. Byłabym wdzięczna, gdybyś opowiedział mi co, gdzie i kiedy słyszałeś.

- Otóż byłem onegdaj w Terwallen. Rozpytywałem o owych dwóch zaginionych i spotkałem pewnego przewoźnika, który pływa po Tamizie. Odwiedzał siostrę i zaszedł do tawerny, gdzie wstąpiłem, aby się posilić. Gdy w rozmowie padło imię sir Ranulfa, gwizdnął przeciągle i nazwał go... Cóż, nie przystoi wypowiadać takich słów przy niewieście, powiem tylko, że tak mnie to rozsierdziło, iż gotów byłem użyć pięści. Powstrzymałem się w ostatniej chwili i zamiast tego nagadałem mu do słuchu. Wówczas ujął się za nim jakiś inny jegomość, który twierdził, że niesłusznie oskarżam go o kłamstwa, bo owe opowieści o naszym nowym kasztelanie krążą po całej stolicy. Po tym wstępie uraczył mnie licznymi szczegółami. Dowodził, że sir Ranulf rzekomo utopił za młodu własnego brata, za co ojciec wygnał go z domu. Potem przyuczał się na rycerza u mistrza Leonarda, a stamtąd trafił na królewski dwór. Tam ponoć zaczął wieść żywot hulaszczy, pił na umór, wszczywał hałaburdy i, jakby to rzec, oddawał się rozpuście. Pewnego razu ponoć założył się o pięćdziesiąt marek z właścicielem gospody, że przywiedzie do grzechu czternaście cnotliwych panien, a na dowód, iż je posiadał, zachowa ich zbroczone dziewiczą krwią koszule.

Beatrice wzdrygnęła się z obrzydzeniem, jednocześnie utwierdzając się w przekonaniu, że ta historia jest zbyt odrażająca, by mogła być prawdziwa. Ranulf nie byłby zdolny do takiej niegodziwości.

- Nie uwierzyłem w ani jedno słowo - ciągnął Myghal. - Uznałem jednak, że powinnaś pani o tym wiedzieć.

- Znam sir Ranulfa, dlatego jestem pewna, że taki zakład nie miał miejsca - stwierdziła bez wahania Bea. - Mam nadzieję, że nie będziesz rozpowiadał tych podłych łągarstw.

- Tędy, pani - rzekł szeryf, skręcając w kolejną alejkę.

Zatrzymała się zdezorientowana.

- Czemu tędy? Ta ścieżka nie prowadzi do zamku, a wprost na nabrzeże.

- Zaraz będzie rozwidlenie. W prawo skręca się na plażę, a my na rozstaju pójdziemy w lewo.

- Nie lepiej iść na skróty?

- Tym sposobem unikniesz, pani, skakania przez strumień.

Nie wiedzieć czemu lady Beatrice raptem się przelękała. Przeczucie podpowiadało jej, że nie powinna słuchać Myghala.

- Zawróćmy lepiej do głównego traktu.

- Wierz mi, pani, tędy będzie o wiele szybciej - obstawał przy swoim.

- Nie doceniasz mnie - powiedziała i ruszyła przed siebie. - Przeskoczę strumyk bez trudu. To dla mnie fraszka. Za bardzo jestem głodna, by wędrować okrężną drogą.

Bea, zdjęta trwogą, gnała przed siebie na złamanie karku, aż w końcu potknęła się i upadła jak długa na ziemię. Obiła sobie przy tym kolana i poraniła pozbawione rękawiczek dłonie. Gdy nadbiegł Myghal, podnosiła się właśnie z klęczek.

- Nie spieszyłbym się tak na twoim miejscu, pani. Wierz, mi nie ma do czego.

Jego słowa, a przede wszystkim złowieszczy ton sprawiły, że strach chwycił ją za gardło.

Rozdział trzynasty

Zanim zdążyła cokolwiek odrzec, zza zakrętu wyłoniło się kilkunastu konnych. Odetchnęła z ulgą, rozpoznawszy znajomą chorągiew sir Jowana, którego włości sąsiadowały z Tregellas. Jej radość nie trwała długo, wkrótce spostrzegła bowiem, że na czele kompanii zamiast jowialnego staruszka zmierza ku nim jego syn Kiernan. Constance wyznała jej w sekrecie, że swego czasu płowłosy młodzieniec uparcie smalił do niej cholewki. Na szczęście, w porę zjawił się lord Tregellas.

Wystarczyło spojrzeć, by poznać, jaki fircyk z Kiernana. Miał na sobie suto wyszywany błękitnoszary płaszcz oraz kolczugę, przyłbicę i ostrogi, które błyszcząły w słońcu tak, że można się było w nich przejrzeć. Piękny kary wierzchowiec nosił te same barwy.

- Lady Beatrice! Co się stało? Co to znaczy?!

Kiernan kazał swoim ludziom się zatrzymać, po czym zsiadł z konia i podbiegł do Bei. Spoglądał przy tym z niepokojem na jej ubłoconą suknię.

- Czemuż to jesteś sama na drodze z tym tu... jegomościem? - Łypnął podejrzliwie na Myghala.

- To szeryf Penterwell - wyjaśniła spokojnie. Była przekonana, że wyobraźnia spletała jej figla. Myghal z pewnością nie chciał wyrządzić jej krzywdy. - Odprowadza mnie do zamku.

- A gdzie reszta twojej eskorty?

- Nie potrzebuję nikogo więcej - oznajmiła chłodno, Nie spodobał jej się jego zuchwały ton. - Z Myghalem jestem całkowicie bezpieczna.

Kiernan nie wyglądał na przekonanego.

- Sir Ranulf powinien lepiej dbać o swoich gości.

- Było ze mną dwóch zbrojnych, ale ich odprawiłam, kiedy pojawił się szeryf.

Przybysz ujął jej dłoń i podniósł ją do ust.

- Tak czy owak, ręczę, że ja zadbałbym o ciebie lepiej, pani.

Tylko tego mi brakowało, pomyślała Bea. Była dla niego miła, ale nie zachęcała go do umizgów. Trzeba mu to jak najrychlej wybić z głowy.

- Troskliwy z ciebie przyjaciel, Kiernanie - rzekła, próbując wyswobodzić obolałą rękę.

Na jej twarzy pojawił się grymas bólu.

- Jesteś ranna! - wykrzyknął, obejrzawszy skaleczenia. - Trzeba w te pędy zawieźć cię do zamku!

Zabrzmiało to tak, jakby za moment miała się wykrwawić na śmierć.

- Ależ to nic poważnego - zaprotestowała poirytowana.

- Nalegam.

Niech sobie nalega do woli, zżymała się w duchu. Nie pozwoli temu fanfaronowi sobą komenderować.

- Pójdę piechotą. Jak widzisz, panie, nie mogłabym utrzymać wodzy, nawet gdyby któryś z twoich ludzi użyczył mi konia.

- Odprowadzę lady Beatrice, tak jak obiecałem - wtrącił się Myghal, który najwyraźniej poczuł się urażony zachowaniem Kiernana.

- Właśnie - poparła go Bea. - Wróć z szeryfem. Jedźcie przodem i powiedzcie strażom przy wrotach, kim jesteście i skąd przybywacie.

- Nie pozwolę ci iść w takim stanie - upierał się Kiernan. - I to samej z tym... człowiekiem.

- Nic mi nie będzie. - Powoli traciła cierpliwość. - Nie stopy mi dokuczają, lecz rękę.

- Im szybciej ci je opatrzą, tym lepiej - stwierdził Kiernan, po czym nie zapytawszy o pozwolenie, posadził ją w siodle.

Myghal dobył miecza.

- Radzę ci panie, postawić lady Beatrice z powrotem na ziemi.

Kiernan zignorował go i siadł za plecami Bei. Tymczasem jego ludzie szykowali się do zaatakowania Kornwalijczyka.

- Daj spokój, Myghal - interweniowała Beatrice. - Sir Kiernan właśnie zamierza mnie puścić - dodała lodowatym tonem.

Jak on śmie traktować mnie w ten sposób? - pomyślała rozjątrzona. Niech wreszcie zabierze to swoje łapsko z jej talii!

- Zapewniam cię, zacny człowieku - zwrócił się wyniośle do szeryfa Kiernan - że nie zamierzam skrzywdzić milady. Kimkolwiek jesteś - dodał jeszcze bardziej pyszałkowatym tonem - nie masz prawa mi rozkazywać. - Z tymi słowy pognął konia.

Bea odwróciła się, by spojrzeć na rozzłoszczonego Myghala. Biedaczysko musiał uskoczyć na bok, żeby nie trafiły w niego kamienie i błoto spod końskich kopyt.

- To był szeryf Penterwell, a nie jakowyś przydrożny żebrak! - wrzasnęła rozjuszona Beatrice.

- A ty jesteś panną z dobrego domu, a nie córką kmięcia!

- Zapewne dlatego pozwalasz sobie ciskać mną niczym workiem mąki? Powinieneś być okazać Myghalowi więcej szacunku, zasługuje nań chociażby z racji urzędu!

- A on powinien być znaleźć ci konia.

- Po co tu przyjechałeś? - zapytała, nie siląc się na uprzejmości.

Była pewna, że Ranulf go nie zaprosił, jako że wyraźnie za nim nie przepadał. Miał go za napszonego i rozpaskudzonego młokosa. I słusznie.

Kiernan zmierzył ją ponurym spojrzeniem.

- Przybyłem, aby zabrać cię do Tregellas - oznajmił nadętym tonem.

- Poprosili cię o to moi opiekunowie?

Zaczerwienił się i odwrócił wzrok.

- Niezupełnie.

Czyli, że Merrick i Constance nie mają z tym nic wspólnego, uznała w duchu.

- Postradałeś zmysły?! - krzyknęła zgorziona. - Wydaje ci się, że możesz rozporządzać moim...

Nie pozwolił jej skończyć. Spiał konia, który poderwał się tak gwałtownie, że Bea omal nie wypadła z siodła.

- Co w ciebie wstąpiło? Zamierzasz wywieźć mnie stąd siłą?

- Nie mogłem przyglądać się beczynnemu, jak cię spotwarzają! Cała Kornwalia rozprawia o twoim pobycie w Penterwell. Chodzi o twoją cześć!

- Odwiedzam sir Ranulfa za zgodą opiekunów. Taka jest ich wola i nie tobie ją oceniać.

- Tregellasowie pozwolili ci tu przyjechać, bo cię kochają i litują się nad twoim losem - stwierdził protekcjonalnie. - To dlatego we wszystkim ci pობłażają.

Bea zawrzała z oburzenia. I pomyśleć, że mówi to zepsuty strojniś, którego ojciec spełnia szczerze każdą jego zachciankę! Przyganiał kocioł garnkowi, a sam smoli!

- Zatrzymaj się i natychmiast mnie wypuść!

Zamiast tego objął ją ramieniem jeszcze ciaśniej niż przedtem, jakby się obawiał, że Bea spróbuje zeskoczyć na ziemię. Prawdę mówiąc, miała szczerą ochotę to zrobić, ale wiedziała od medyka, że złamanie kończyny może okazać się zgubne w skutkach.

- Wypuść mnie! Ale już! Słyszysz? Zacznę krzyczeć.

- I po cóż zaraz urządzać histerię?

Niechaj go piekło pochłonie! Już ona mu pokaże!

- Jeśli nie chcesz poczuć skutków owej histerii na własnej skórze, radzę ci natychmiast puścić mnie wolno.

- Nie ma mowy. Nie pozwolę ci wrócić samopas do zamku. Wybacz, jeśli cię uraziłem, ale nie masz wyboru.

- Zmuszasz mnie, bym mówiła bez ogródek. Wyobrażasz sobie zbyt wiele. Nie będziesz strzegł mego honoru. To nie była i nie będzie twoja powinność. A teraz wysadź mnie z siodła albo klnę się na Boga, że zeskoczę sama.

Nie odezwał się ani słowem, za to ścisnął ją tak, że nie mogła się ruszyć. Nie było rady, musiała zacisnąć zęby i znieść tę upokarzającą podróż do końca. Jeśli wjedzie tak do Penterwell, w okolicy zawrze od plotek i niewybrednych żartów na jej temat.

Strzegący bramy wartownicy wpatrywali się w nią oniemieli, najwyraźniej nie dowierzając własnym oczom.

- Jaśnie pani? - zapytał jeden z nich, jakby chciał się upewnić, czy to rzeczywiście lady Beatrice.

- Tak, a to sir Kiernan Penderston - odparła, łypiąc ze wzgardą na swego towarzysza. - Wpuście nas. Reszta orszaku sir Kiernana przybędzie lada moment.

Strażnicy otworzyli wrota, wymieniając między sobą znaczące spojrzenia.

- Sir Ranulfowi się to nie spodoba - orzekł jeden z nich.

- Oj, nie - zgodził się drugi.

Tymczasem Beatrice omal nie jęknęła z rozpaczy, spostrzegłszy z daleka Ranulfa, który przypatrywał się całej scenie z nieprzeniknioną miną, oparty niedbale o ścianę stajni. Co on sobie musiał pomyśleć? Przeklęty Kiernan! Bodaj go pokręciło!

- Puść mnie! - warknęła nieprzyjaźnie, lecz Penderston ani myślał zważać na jej rozkazy.

Cóż za zniewaga! Nigdy mu tego nie daruje!

- No proszę... - odezwał się z przekąsem kasztelan. - Przedni widok. Sir Kiernan i lady Beatrice na jednym koniu. Zdobywca i jego cenny łup. Wyznam, że tego się nie spodziewałem.

- Spotkaliśmy się na drodze, gdy wracałam z wioski - wyjaśniła Bea, na próżno próbując wyrwać się z żelaznego uścisku swego „wybawcy”. - Był ze mną Myghal, ale Kiernan uparł się, że osobiście odwiezie mnie do zamku. Prawdę mówiąc, nie pozostawił mi wyboru. Porwał mnie siłą i odjechał, niemal tratując przy tym szeryfa.

- Szła piechotą niczym chłopka - oznajmił dobitnie Kiernan. - W dodatku bez należytej eskorty. Poraniła sobie rękę.

Ranulf zmarszczył brwi i spojrzał z niepokojem na dłonie Bei.

- To nic... Potknęłam się i upadłam, a potem nadjechał Kiernan i...

- Był łaskaw sprowadzić cię bezpiecznie do domu, za co jestem mu niezmiernie wdzięczny, choć nie pochwałam tego, jak potraktował szeryfa.

- Przybyłem, by zabrać lady Beatrice do Tregellas - oświadczył butnie Kiernan. - Tam jest jej prawdziwy dom.

- Ach tak - zadrwił de Beauvieux. - Jak mniemam, chcesz odjechać bez chwili zwłoki i podróżować w ten arcyciekawy sposób?

- Nie. - Kiernan spuścił z tonu.

- Rad jestem to słyszeć, tym bardziej że lady Beatrice ma własną klacz, która bez trudu poniesie ją do Tregellas, kiedy nadejdzie ku temu stosowna pora. - Z tymi słowy kasztelan zbliżył się do przybyłych i wyciągnął ramiona do Bei. - Ponieważ owa pora jeszcze nie nadeszła, pozwól, pani, że pomogę ci zsiąść.

Beatrice z miejsca wrócił dobry nastrój. Z radością położyła mu rękę na ramionach i zeskoczyła na ziemię. Dobrze było znaleźć się tak blisko, choć skrzywiła się z bólu, gdy

jej dłonie otarły się o jego odzienie. Ranulf natychmiast chwycił ją za rękę i przyjrzał się skaleczeniom.

- Następnym razem włóż rękawiczki - powiedział, po czym przywołał stajennego i polecił mu zająć się końmi Kiernana i jego świty.

- Gdzie twój ekwipunek? - zwrócił się do gościa.

- Nie przywozłem ze sobą bagażu, bo nie zamierzam zostać - odparł lodowatym tonem Penderston.

- Och, jaka szkoda! - rzekł nieszczercze kasztelan. - Żałuję, że nie będę cię mógł dłużej gościć, ale nie chcesz chyba wracać jeszcze dzisiaj? Musiałbyś nocować pod gołym niebem. Zapraszam w swoje skromne progi, posilisz się i odpoczniesz po podróży, ja tymczasem opatrzę rany lady Beatrice.

Nie lubiła, gdy coś jej dolegało, ale cieszyła się, że wreszcie spędzi kilka chwil sama z ukochanym.

- Ty je opatrzysz? - zgorszył się Kiernan.

- A czemu nie? - odpowiedział spokojnie de Beauvieux. - Znam się na tym. Spędziłem wiele lat na wojowaniu i w turniejowych potyczkach.

Te okropne plotki nie mogą być prawdziwe, pomyślała uspokojona Beatrice, gdy ruszyli razem przez dziedziniec. W wielkiej sali natknęli się na wystrojoną lady Fontenbleu. Jej szkarłatno-złota aksamitna szata niemal oślepiła zbytkiem.

- Lady Celeste - odezwał się Ranulf - zechciej poznać sir Kiernana, sąsiada lorda i lady Tregellas.

- Rada jestem cię poznać, panie - rzekła Celeste, skłaniając z wdziękiem głowę. Penderston wpatrywał się w nią jak urzeczony.

- To dla mnie zaszczyt, pani. - Złożył przed nią głęboki ukłon i ucałował z namaszczeniem jej dłoń.

Przyglądając im się, Bea doszła do wniosku, że prawdopodobnie nie będzie musiała dłużej znosić niemile widzianych umizgów Kiernana.

- Zostawiam cię w rękach lady Fontenbleu - powiedział z drwiącym uśmiechem kasztelan, lecz jego gość był nazbyt zajęty, by zwrócić na te słowa uwagę. - Chodźmy, lady Beatrice, nic tu po nas - szepnął i poprowadził Beę w głąb korytarza.

Kiedy znaleźli się w jego komnacie, podszedł do drewnianej skrzyni i wyjął z niej gliniane naczynie.

- Siądź na stołku - polecił, zdejmując wieczko.

Powietrze wypełniło się ulotnym zapachem mięty.

- Daj mi rękę.

- To wyciąg z głowienki*? - zapytała, podając mu posłusznie dłonie.

- Tak. Dostałem ją od Constance. Opatrywała nią Merricka, kiedy przebito go włócznią.

Wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

- Boli? - zdziwił się, wcierając delikatnie medykament.

- Nie, ale przypomniałam sobie ranę Merricka. Miałam pomóc Constance, ale tak się zapieklił, że czmychnęłam z izby, aż się za mną kurzyło.

Roześmiał się mimo woli.

- O tak, gdy Merrick wpada w gniew, wszyscy truchleją i biorą nogi za pas. Wszyscy z wyjątkiem twojej kuzynki. To dzielna niewiasta. Tobie też nie brak animuszu.

- Uśmiechnął się tak, że zapragnęła go pocałować. - Wątpię, czy zachowałbym zimną krew, gdybym musiał pomagać przy narodzinach dziecka. Gotowe - powiedział, skończywszy aplikowanie maści. - Lepiej?

- O niebo lepiej - odparła szczerze.

- W takim razie, chyba powinniśmy wracać do gości.

* Głowienka pospolita (*Prunella vulgaris*), roślina często występująca w Europie w strefie klimatu umiarkowanego. W ziołolecznictwie stosowana jako środek przeciwzapalny (przyp. tłum.).

Naturalnie miał rację, lecz sposobność do rozmowy w cztery oczy mogła się szybko nie powtórzyć.

- Proszę, zostańmy jeszcze.

Bea podniosła się z miejsca. Raptem opuściła ją odwaga. Co pocznie, jeśli te przerażające opowieści okażą się prawdziwie? Co będzie, jeśli jej wybranek nie jest taki, za jakiego zawsze go uważała? Tak czy inaczej, nie mogła i nie chciała żyć dłużej w niepewności.

- Ranulfie, czy ty... zabiłeś swojego brata? - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Zamarł, a na policzki wystąpił mu ognisty rumieniec.

- Tak mi powiedziała Celeste - ciągnęła zdesperowana, póki starczało jej śmiałości.

- Inni też o tym słyszeli. Mówiłeś, że twoi krewni byli wobec ciebie okrutni. Jestem pewna, że jeden z nich cię zaatakował i musiałeś się bronić. Gdybyś ty nie utopił jego, on utopiłby ciebie. Nie mogło być inaczej. To dlatego boisz się wody. Och, tak bardzo ci współczuję.

Milczał jak zakłęty. Wpatrywał się w nią bez słowa, jakby nagle odjęło mu mowę.

- Daruj mi brak taktu, ale o taką rzecz nie da się zapytać ogłędnie.

- Zabiłem brata i zrobiłem to z rozmysłem - oznajmił grobowym głosem.

Beatrice opadła ciężko na stołek i spojrzała na niego z przerażeniem.

Ranulf spoglądał z żalem na jej pełną ufności twarz. Nadeszła pora, by wyznać całą bolesną prawdę. Wolałby, aby owa spowiedź odbyła się w innych okolicznościach, lecz cóż, los zdecydował inaczej.

- Pozbawiłem życia Edmonda, dziedzica de Beauvieux, pierworodnego syna i ulubieńca naszego ojca. Wdaliśmy się w bójkę i wpadliśmy do morza. Trzymałem go pod wodą dopóty, dopóki nie oddał ducha.

- Ale... broniłeś się, prawda? To on zaczął...

Potrząsnął głową.

- Nie. Chciałem jego śmierci.

- Bo zrobił ci krzywdę?

- Tego dnia nawet nie tknął mnie palcem. Za to utopił mojego psa.

- Och, to straszne.

- Znalazłem Feliksa na plaży z kamieniem uwiązany u szyi - ciągnął beznamiętnym głosem Ranulf. - Skamlał i kręcił się w kółko jak oszalały. Edmond wpadł w istną furję. „Twój parszywy kundel sparzył się z moją najlepszą suką!” - wrzasnął i nim zdążyłem pojąć, co się święci, cisnął Feliksa do wody, jak najdalej od brzegu. Był bardzo silny. Biedne zwierzę poszło na dno w okamgnieniu. Do dziś śni mi się po nocy jego rozpaczliwy skowyt. - Zacisnął na moment powieki. - Próbowałem go ratować, ale Edmond mnie powstrzymał. Wyrywałem mu się i kopałem go z całych sił. - Poczuli się

zupełnie tak jak wtedy, gdy miał dwanaście lat i na próżno starał się ocalić jedyną istotę, którą kochał. Opadła go ta sama obezwładniająca niemoc i rozpacz. - W końcu mnie puścił i powiedział, że już za późno, że Feliks dawno nie żyje. Wtedy kompletnie straciłem rozum. Myślałem tylko o tym, że brat zamordował mi psa. Rzuciłem się na niego i obaj wylądowaliśmy w wodzie. Potem uzmysłowiłem sobie, że musiałem go zaskoczyć. Gdyby nie to, nigdy nie dałbym mu rady. Sam mało nie utonąłem. Ojciec wyciągnął nas na brzeg, ale Edmond zdążył już wyzionąć ducha. - Zaczerpnął głęboko tchu i przesunął dłonią po włosach. - Zupełnie mnie to nie obeszło. Nie przejąłem się ani tym, co zrobiłem, ani tym, że zostałem bez dachu nad głową. Wprost przeciwnie, tego dnia przepelniała mnie radość - zakończył ze ściśniętym gardłem.

Bea podeszła do niego w milczeniu i przytuliła go do siebie z całych sił.

W jej objęciach odnalazł spokój i odkupienie. Po raz pierwszy ktoś inny niż matka ofiarował mu pociechę. Wzruszenie zaparło mu dech w piersiach. Próbował się powstrzymać od płaczu, by nie okazać słabości.

- Dopuściłem się bratobójstwa i nie nękały mnie wyrzuty sumienia - rzekł łamiącym się głosem. - Co ze mnie za człowiek?

- Byłeś wtedy dzieckiem. Nękanym przez bliskich i niekochanym tak, jak na to zasługiwałeś.

Westchnął głęboko, a po jego policzku spłynęła łza.

- Nie odczuwałem skruchy, czułem się wolny. Nareszcie mogłem robić, to na co miałem ochotę, a chciałem nauczyć się walczyć, żeby już nikt mnie nie skrzywdził. Matka opowiadała mi przed śmiercią o sir Leonardzie de Brissym. Poszedłem wprost do niego i zostałem przyjęty. Resztę już znasz.

- Powiedziałeś mu prawdę?

- Tak. Dlatego nie zmuszał mnie, bym nauczył się pływać.

- Domyślałem się, że Merrick i Henry nie wiedzą, co się stało z twoim bratem. Gdyby wiedzieli, nie wyrzuciliby cię z czołna.

- Wstyd mi było się przed nimi przyznać. Ojciec nie próbował mnie odnaleźć i oskarżyć o zbrodnię. Nie chciał kłaść czci rodziny. Wolał, by śmierć Edmonda uznano za nieszczęśliwy wypadek, a mnie za krnąbrnego uciekiniera. - Postanowił od razu wyznać

jej resztę swoich win. - Beatrice... - zaczął z ciężkim sercem - Celeste wspomniała ci jeszcze o pewnym zakładzie...

Skinęła głową.

- Tak, twierdziła, że uwiodłeś czternaście cnotliwych panien i że zachowałeś ich zakrwawione koszule, by dowieść swej wygranej.

Błagała spojrzeniem, żeby zaprzeczył, lecz on nie mógł i nie chciał żyć dłużej z takim brzemieniem. Jeśli ma go kochać i dzielić z nim życie, musi wiedzieć o nim wszystko.

TLR

Rozdział czternasty

- Przykro mi sprawiać ci zawód, ale przyjąłem taki zakład i istotnie zadbałem o dowody. Panny były tylko cztery...

Bea wpatrywała się w niego oniemiała. Na jej twarzy pojawiły się kolejno oszołomienie, oburzenie, a na koniec odraza. Ranulf patrzył z przerażeniem, jak umiera w niej uczucie, którym go darzyła. Zrozpaczony mówił dalej w nadziei, że uda mu się odzyskać przychyłność ukochanej.

- Gdy odbierałem wygraną, poczułem się jak Judasz. Zmusiłem karczmarza, z którym się założyłem, aby milczał. Kazałem mu przysiąc, że nie piśnie nikomu ani słowa. Niestety, okazało się, że było kilku świadków tej rozmowy. Odnalazłem ich i zagroziłem, że ich zabiję, jeśli powtórzą komukolwiek to, co usłyszeli w gospodzie. Składałem ofiary na Kościół, łudząc się, że zdołam odkupić grzechy. Po dziś dzień modłę się do Boga i błagam, by odpuścił mi winy. - Zwiesił głowę. - Teraz proszę z pokorą, byś i ty mi wybaczyła.

Pobladła Bea spojrzała na niego oczami pełnymi bólu i rozgoryczenia.

- A ja tak cię broniłam - powiedziała. - Dowodziłam twojej niewinności, gotowa byłam przysiąc, że to wyssane z palca łgarstwo. Powtarzałam, że jesteś zbyt prawy, by dopuścić się takiej podłości...

Wyciągnął ręce w błagalnym geście.

- Żałuję tego, co zrobiłem. Nie ma dnia, bym sobie tego nie wyrzucał. Od tamtego czasu przeklinałem samego siebie tysiące razy. Zwłaszcza gdy poznałem ciebie. Odkąd po raz pierwszy się do mnie uśmiechnęłaś i spojrzałaś na mnie z miłością, wspomnienie tego, co uczyniłem, jest dla mnie jak jątrząca rana.

Odsunęła się od niego, nie wypowiedziawszy ani słowa. Milczenie Bei było stokroć gorsze niż gniew. Wolałby, aby go przeklęła lub zwymyślała.

- Kiedy zgodziłem się na ów zakład, byłem odurzony winem, rozeźlony i na wpół oszalały z zazdrości. - Postąpił w jej stronę. Oddałby wszystko, byle pozyskać na nowo jej względy.

Spojrzała na niego, jakby widziała go pierwszy raz w życiu. Być może nigdy wcześniej nie chciała zobaczyć go takim, jaki jest naprawdę. Nie dostrzegła jego przywar i słabostek, bo próbowała za wszelką cenę udowodnić sobie, że jest godzien miłości.

- Ranulfie... Czy nie pomyślałeś o owych nieszczęsnych dziewczętach, które pohańbiłeś? Nieważne, ile ich było, czternaście czy czterdzieści. Kiedy je uwodziłeś, z pewnością nie byłeś pijany. Zupełnie nie dbałeś o to, co z nimi się stanie. Postąpiłeś okrutnie i samolubnie. Nie przypuszczałam, że jesteś zdolny do takiej niegodziwości,

- Bea, błagam cię!

- Nie, Ranulfie, ani słowa więcej. - Odwróciła się, jakby nie mogła znieść jego widoku. - Nietrudno zrozumieć i wybaczyć to, co zrobiłeś bratu. Byłeś zaledwie chłopcem, nieszczęśliwym i szukającym pomsty za krzywdę, ale nie potrafię odpuścić ci tego, co uczyniłeś owym bogu ducha winnym niewiastom. Skrzywdziłeś je z rozmysłem. I po cóż? Tylko po to, uleczyć urażoną dumę. Nie jesteś taki, za jakiego cię miałam.

Gdy odrzuciła go Celeste, Ranulf przeżył to bardzo boleśnie, ale tamten ból okazał się niczym w porównaniu z tym, co czuł teraz. Najgorsza zaś była świadomość, że dla Beatrice stał się nikczemnikiem zasługującym wyłącznie na wzgardę i potępienie. Już nigdy nie zobaczy w jej oczach szacunku i uwielbienia. Na szczęście, pozostała mu godność. Ta sama siła charakteru, która uratowała go za młodu, przyszła mu znowu z pomocą.

- Masz rację - rzekł chłodno. - Nie jestem taki, jak sądziłaś. Próbowałem cię ostrzec, ale nie chciałaś słuchać.

Gdy Bea spojrzała na niego z bezbrzeżnym smutkiem, z trudem hamując łzy, miał ochotę posłać do diabła męską dumę.

- Istotnie jestem naiwna i głupia. Sądziłam, że Celeste zwyczajnie cię oczernia, bo chce zasiać między nami niezgodę. Byłam pewna, że inni rozpowiadają o tobie kłamliwe plotki. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że potrafiłbyś się posunąć do tak haniebnych występków.

Oczekiwał od niej zbyt wiele. Był bratobójcą i znieważył honor niewinnych dziewczyc. Zasługiwał na potępienie. Żadna cnotliwa niewiasta nie odwzajemni jego

miłości. Nie powinien się łudzić, że będzie inaczej, że los da mu szansę na szczęście i odkupienie. Zostanie sam do końca swoich dni.

- Niepotrzebnie karmiłem się nadzieją - powiedział zrezygnowany. - Żyłem marzeniem, wydawało mi się, że twoja niewinność i dobroć spłyną na mnie i pomogą mi oczyścić się z grzechów. Przeliczyłem się. Nie trzeba było do ciebie się zbliżać, a już na pewno nie powinienem prosić, byś została moją żoną.

Bea była zdruzgotana. Tak długo czekała, aż Ranulf wyzna jej miłość i poprosi o rękę. Los okrutnie z niej zakpił. Mężczyzna, którego pokochała, raptem stał się dla niej kimś zupełnie obcym, bezwzględny okrutnikiem, który krzywdzi bliźnich.

- Pozostała jeszcze jedna rzecz, o której muszę ci powiedzieć - rzekł kasztelan.

- Nie! Dość już usłyszałam - zaprotestowała i ruszyła zdecydowanie do wyjścia.

Zastąpił jej drogę.

- Czekaj, chcę, żebyś usłyszała to z moich ust. Odbyłem dziś długą rozmowę z lady Fontenbleu. Służąca wezwała mnie do jej komnaty. Celeste objęła mnie w pewnej chwili i tak ujrzała nas Maloren.

Beatrice zacisnęła powieki. Próbowwała za wszelką cenę zebrać się w sobie i odzyskać siły, ale jej duszę wypełniała przytłaczająca zgryzota. Nie powinno jej to obejść, nie po tym, czego się o nim dowiedziała, ale niestety obchodziło. Poczula się, jakby ktoś wbił jej sztylet w samo serce.

- Myśl o mnie, co chcesz - dodał Ranulf. - Bez względu na to, co ci powie Maloren albo ktokolwiek inny, od dawna nic mnie nie łączy z Celeste i nie będzie łączyć.

I pomyśleć, że jeszcze tak niedawno zdawało jej się, że będzie go kochać do końca życia.

- Wypuść mnie, Ranulfie - powiedziała z wysiłkiem. - Nie chcę, byś był teraz blisko mnie.

Odsunął się i otworzył jej drzwi. Objęła się ramionami i wyszła na korytarz, pilnując się, żeby go przypadkiem nie dotknąć.

Kiedy wyszła, Ranulf podszedł z wolna do okna i spojrzał w niebo, a potem na mury zamku, nad którym sprawował pieczę. Zdawało mu się, że od czasu, gdy przepędzono go z domu, przeszedł długą drogę. Sądził, że zmienił się na lepsze i choć po

części odpokutował za grzechy. Cóż, widać szczęście nie jest mu pisane. Nie tylko Bea snuła marzenia o wspólnej przyszłości, on też. Tyle że ją usprawiedliwiała młodość, a dla niego nie było usprawiedliwienia. Powinien był wiedzieć od samego początku, że nie należy się przywiązywać do nedorzecznych marzeń. Był głupcem, ot i wszystko.

Teraz pozostała mu jedynie służba. Znajdzie tych, którzy zamordowali Hedyna, Gwenbrithę oraz pozostałych i postawi ich przed obliczem sprawiedliwości.

Bea powlokła się do swojej komnaty i usiadła ciężko na łóżku. Długo wpatrywała się w ścianę, odtwarzając w pamięci przebieg rozmowy z Ranulfem. Zdawało jej się, że nadal nie w pełni pojmuje znaczenie jego słów.

Jak mogła tak bardzo się co do niego pomylić? Miała go przecież za najzacniejszego z ludzi. Na nic zdały się tłumaczenia, którymi się zasłaniał. Nic nie umniejszało jego winy, nie usprawiedliwiała krzywd, które wyrządził tym nieszczęsnym dziewczętom. Ponure myśli kłębiły jej się w głowie bez ładu i składu. Zadawała sobie tysiące pytań, lecz na żadne nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. W takim stanie znalazła ją Maloren.

- Tu jesteś, serdeńko! - zawołała od progu. - Wszędzie cię szukam. - Przyjrząwszy się uważnie Bei, w lot odgadła, co jest na rzeczy. Westchnęła z matczyną troską i usiadła obok niej. - A zatem wiesz? - rzekła, otaczając Beę ramieniem. - Już dobrze, gąsko, nie rozpaczaj po nim. Nie jest tego wart. Zobaczysz, nie będzie on, będzie inny. Tysiącokrotnie lepszy od niego. Nie płacz, dziecino ty moja kochana.

- Nie płaczę - odparła apatycznie Bea.

- Nie płaczesz? I dobrze. Ostrzegałam cię, że to czarci pomiot, a i ona w niczym od niego nie lepsza, rozpustnica jedna. Powiadam ci, po rudym diable niczego dobrego spodziewać się nie należy. Tfu! Widziałam ich umizgi na własne oczy! Wpadłam w furję, gdy ich nakryła, a ten utrapieniec nawet nie próbował się tłumaczyć. Posłał mnie do kuchni i kazał mi siedzieć jak mysz pod miotłą dopóty, dopóki nie pozwoli mi wyjść. Pewnie chciał cię ułagodzić, ale widzę, że nie dałaś się zwieść jego łgarstwom.

- A coś ty właściwie widziała, Maloren? - zapytała Beatrice.

Postanowiła sprawdzić, czy Ranulf oszukał ją w sprawie Celeste.

- Po co ci to wiedzieć?

- Proszę cię, powiedz mi. Jakoś to zniosę.

Kiedy panienka przemawiała do niej tym tonem, piastunka nie potrafiła jej niczego odmówić.

- Gdy weszłam, stali bardzo blisko siebie, jakby zaraz mieli się pocałować.

- Ale się nie całowali?

- Ano nie, ale mieli taki zamiar. - Służąca podniosła się i odtworzywszy jeden z podróżnych kufrów, zaczęła pakować leżące na stole rzeczy. - Podlec i psubrat, ot co! Bodaj szeszł w piekło! Jakie to szczęście, że Kiernan przyjechał zabrać nas do domu.

Do domu? - powtórzyła w duchu Bea. Niania ma na myśli Tregellas. Słusznie prawi. Powinna stąd jak najszybciej wyjechać i zapomnieć na zawsze o Ranulfie. Przecież tego właśnie chce, czyż nie? Przyłożyła rękę do skroni. Nie mogła się skupić ani tym bardziej planować, gdy Maloren krzątała się po izbie.

- Zostaw to na później. Rozboleła mnie głowa. Chciałabym się położyć i odpocząć.

Piastunka natychmiast przerwała pakowanie i spojrzała z niepokojem na wychowanekę.

- Przyniosę ci wina i coś do zjedzenia, gołębeczko.

- Nie, nie jestem głodna. Potrzebuję tylko ciszy i spokoju.

- Dobrze, dziecino, odpoczywaj. Przyjdę później. - Z tymi słowy niania oddaliła się i zostawiła Beatrice, która znów pogрузzyła się w gorączkowych rozważaniach.

Roztrząsała każde słowo Ranulfa i zastanawiała się, co powinna uczynić. Zapadł zmierzch, a ona nadal nie wiedziała, co począć ani co o tym wszystkim sądzić.

Gdy Maloren przyniosła wieczerzę, Bea nadal biła się z myślami i wciąż nie miała gotowej odpowiedzi na żadne z nurtujących ją pytań. Prawie nie tknęła jedzenia, choć rozum podpowiadał jej, że powinna się posilić. Wypiła trochę wina i skubnęła odrobinę chleba, aby uspokoić piastunkę.

Służąca zabrała się do pakowania reszty dobytku, lecz w końcu znużona dała spokój i poszła spać. Kiedy z siennika przy drzwiach rozległo się miarowe chrapanie, Bea podniosła się z łóżka i wymknęła na korytarz, po czym pobiegła wprost do komnaty Ranulfa. Drzwi były zamknięte, ale z wnętrza sączyła się smuga światła. On też nie może

zasnąć, pomyślała, sięgając do klamki. Musiała go zobaczyć i jeszcze raz się z nim porozmówić. Nie chciała borykać się dłużej sama z tak ogromnym ciężarem na sercu. Wślizgnęła się niepostrzeżenie do środka i przystanęła w progu.

Ranulf tkwił nieruchomo przy oknie. Popatrzyła na jego muskularne plecy, szerokie ramiona i wąskie biodra. Był uosobieniem męskiej siły, a zawdzięczał to długim godzinom spędzonym w siodle i w boju. Spostrzegła także liczne blizny po niedysiejszych ranach i niespodziewanie ujrzała go w zupełnie innym świetle niż dotychczas. Zobaczyła małego, niekochanego chłopca, który z narażeniem życia mści się za śmierć umiłowanego psa, zobaczyła młodzieńca, który z ufnością ofiaruje serce ukochanej i zostaje bezdusznie odtrącony, zobaczyła też oszalałego z gniewu mężczyznę, który krzywdzi niewinne panny, by dowieść samemu sobie i całemu światu, że jest godzien kochania. Czy to jego wina, że nigdy nie zaznał miłości, bo ludzie, którzy winni go kochać, zupełnie o niego nie dbali albo, co gorsza, pastwili się nad nim i robili wszystko, by zabić w nim ducha? Zbyt wiele w życiu wycierpiał, za długo był sam.

Jakże mogłaby teraz odejść? Postąpić tak, jak zrobiła to niegdyś jego rodzina oraz nieczuła Celeste? Gdyby raptem przestała darzyć go uczuciem, okazałby się jedynie kaprysem, panińskim oczarowaniem. Zrozumiała, że nadal go kocha, może nawet jeszcze bardziej niż przedtem. Kiedyś wynosiła go na piedestał, był dla niej niczym postać z opowieści o mężnych herosach, tajemnicza i uwodzicielska, dziś stał się człowiekiem z krwi i kości, zwyczajnym śmiertelnikiem, któremu zdarza się zbłądzić i ciężko zgrzeszyć. Potrzebował jej miłości, tak jak ona potrzebowała jego. Wiedziała, że go nie opuści.

- Ranulfie?

Obrócił się na pięcie i spojrzał na nią zdumiony.

- Bea? Skąd się tu wzięłaś? Wracaj do łóżka.

- Nie. - Podeszła do niego zdecydowanym krokiem. - Najpierw wysłuchasz tego, co mam ci do powiedzenia.

Ruszył do drzwi, zapewne zamierzał je dla niej otworzyć.

- Jeśli przysłaś tylko po to, żeby mnie zbesztać, obejdziesz się. Zwymyślałem się sam.

- Nie chcę robić ci wyrzutów.

- Nie? - Zatrzymał się w pół kroku.

- Nie. Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że nadal cię kocham.

- Po tym wszystkim, co zrobiłem? - zapytał z niedowierzaniem. - Nie powinnaś.

Znajdziesz kogoś lepszego ode mnie, kto na ciebie zasługuje.

- Nie ma lepszego od ciebie, Ranulfie. Ojciec i bracia próbowali zabić w tobie dobroć, ale nie udało im się. Wycierpiałeś swoje, lecz dzięki temu stałeś się silniejszy. Miałabym nie kochać człowieka, który zdobył szacunek i podziw mieszkańców Tregellas, który uczynił z tamtejszej chorągwi regularną armię i pomógł przyjacielowi pokonać przeważające siły najemników, twierdząc przy tym, że wypełnia jedynie swą powinność? - Ujęła go za ramię. - Masz zwyczaj umniejszać swoje zasługi, choć mógłbyś chlępić się niepoślednimi osiągnięciami. Drwisz z samego siebie i ze świata, żeby nikt nie dostrzegł, jak wielki ból nosisz w sobie. Krzywda, którą wyrządziłeś owym uwiedzionym pannom, bardzo mnie zasmuciła. Miałam cię za mężczyznę bez skazy, a okazało się, że potrafisz być nieczuły i okrutny. Niemniej rozpaczałeś wówczas z powodu zawiedzionej miłości, pragnąłeś pozbyć się zgryzoty i dlatego postąpiłeś niegodnie. Od tamtej pory nękają cię wyrzuty sumienia, a to świadczy o tym, że nie jesteś bez serca, lecz zwyczajnie zblądziłeś, jak każdy śmiertelnik. Przeszedłeś długą drogę i zmieniłeś się. Nie jesteś taki jak wtedy. Gdyby tak było, pozbawiłbyś cnoty także i mnie, i to dawno. Miałeś niejedną sposobność...

- Bea... - ostrzegł znękany głosem.

- Co takiego? Przepędzisz mnie? Powiesz mi, żebym sobie poszła, zanim się do mnie dobierzesz? - Uśmiechnęła się. - Wiem, że jestem przy tobie bezpieczna. Gdybym poprosiła, byś się do mnie nie zbliżał albo żebyś wyszedł, posłuchałbyś. - Złożyła ręce jak do modlitwy. - Kocham cię całym sercem tak mocno, jak potrafię. Jestem twoja i pozostanę twoja na zawsze, dlatego proszę cię, kochany mój, nie odsyłaj mnie. Pozwól mi ze sobą zostać. Dziś i do końca naszych dni. Daję ci siebie, żebyś nie musiał być sam.

Spojrzał na nią ze wzruszeniem i uwielbieniem. Honor i sumienie podpowiadały mu, że powinien ją odprawić, ale nie potrafił. Nie chciał odrzucać bezcennego daru, który mu ofiarowała. Pragnął ogrzać się jej miłością, zaznać wreszcie spokoju i ukojenia.

Nie mógł pozwolić jej odejść, ani teraz, ani nigdy. Wziął Beę za rękę i zajął jej w twarz.

- Naprawdę tego chcesz? - zapytał ostrożnie, wciąż nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście. Nadal bał się żywić nadzieję. - Jesteś gotowa dzielić życie z takim niegodnym potępieńcem jak ja?

- Niegodnym potępieńcem? W moich oczach jesteś najwspanialszym mężczyzną w całej Anglii, Ranulfie. Nikt nie może się z tobą równać.

Wciąż ściskając jej dłonie, zrobił to, co pragnął uczynić od dawna, odkąd uzmysłowił sobie z całą mocą, że uczucie, którym ją darzy, jest głębsze i znacznie bardziej skomplikowane niż zwykły cielesny pociąg. Po tym jak potraktowała go Celeste, nie wierzył, że zdoła jeszcze kiedykolwiek pokochać inną niewiastę na tyle, by ją poślubić. A jednak stało się. Ukląkł i zapytał żarliwie:

- Beatrice, moja cudna, mądra i łaskawa wybawicielko, czy uczynisz mi ten honor i uchronisz mnie przed udręką samotności? Zostaniesz moją żoną?

- Och tak! - zawołała z promiennym uśmiechem. - Tak, Ranulfie! Kochany mój! Naturalnie, że zostanę twoją żoną. Choćby jutro! - Podniosła go z klęczek i objęła z całej siły. - Tak się bałam, że nigdy nie poprosisz mnie o rękę i nie pozostanie mi nic innego, jak pójść do klasztoru i zostać zakonnica, a przynajmniej spróbować nią zostać, tyle że nic by z tego nie wyszło, bo ani chybi uschłabym z tęsknoty za tobą i...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Zwyczajnie nie mógł czekać ani chwili dłużej. Całował ją namiętnie i czule, radośnie i tęsknie zarazem, bo właśnie takie wzbudzała w nim uczucia. Chciał ją tak całować jeszcze przed Gwiazdką, choć i wówczas ledwie się powstrzymał, by nie porwać jej w ramiona. Bóg jeden wie, ile go kosztowało, aby zamiast tego podać jej wino. Przytulał ją mocno, czując, że wzbiera w nim radość, jakiej nigdy wcześniej nie zaznał. Nareszcie, po raz pierwszy w życiu, w ramionach Beatrice odnalazł swoje miejsce na ziemi, bezpieczną przystań i schronienie przed całym złem doczesnego świata.

Beatrice oddawała mu pocałunki z równym zapamiętaniem. Już nie musiała się kryć ze swym płomiennym uczuciem. Wreszcie zyskała pewność, że Ranulf ją kocha i jej

pragnie. Należała do niego, a on należał do niej. Niebawem zostaną sobie poślubieni. Już nie trzeba dłużej czekać ani niczego udawać.

Włożyła mu ręce pod koszulę i dotknęła nagiej skóry. Na szczęście, maść, którą jej wcześniej zaaplikował, pomogła i skaleczenia już jej nie dokuczały. Przyłgnęła do ukochanego całą sobą, czując, że jej ciałem wstrząsa dreszcz pożądania i radosnego wyczekiwania.

- Kochaj mnie, Ranulfie - szepnęła mu do ucha. - Ślubowaliśmy sobie miłość, już teraz jesteśmy jak mąż i żona. Wiem, że nie złamiesz przysięgi.

- Moja żono, moja cudna, umiłowana żono - powiedział z zachwytem. - Nigdy cię nie opuszczę.

Nie protestowała, gdy rozebrał ją do koszuli, po czym wziął na ręce i zaniósł do łóżka. Wpatrywała się w niego zachłannie, gdy zrzucał z siebie ubranie. Był wspaniały, od czubka rudej czupryny po stopy. W dodatku był jej. Nigdy nie pragnęła go bardziej niż w tej chwili.

Rozdział piętnasty

Wyciągnęła ku niemu ramiona w niemym zaproszeniu. Nie chciała nic mówić, słowa nie były potrzebne. Ranulf nie kazał jej na siebie długo czekać. Znow się pocałowali, a jego dłoń wślizgnęła się pod jej koszulę i powędrowawszy wzdłuż zaokrąglonego biodra, zatrzymała się między rozchyłonymi udami. Beatrice wciągnęła głośno powietrze, gdy poczuła jego palce w najintymniejszym miejscu.

- Wystraszyłem cię? - zapytał zatroskany. - Chcesz, żebym przestał?

- Nie - odparła szczerze. - Chyba... mi się podoba. - Zamknęła oczy i poddała się jego czułym zabiegom. Po chwili mruknęła niczym zadowolona kotka. - Tak, bardzo mi się podoba!

Uśmiechnął się uszczęśliwiony jej zapalem. Będzie ją kochał, dziś i każdej innej nocy, jeśli tylko wyrazi takie życzenie. Nie zamierzał się spieszyć, jak to bywało w przeszłości z innymi niewiastami, kiedy zew natury brał górę i zniewalał rozum. Z Beą będzie zupełnie inaczej. Każdym gestem, pocałunkiem i słowem pokaże jej, jak bardzo ją wielbi, i jaka jest dla niego ważna.

Gdy trzymał ją w ramionach, całował i pieścił, zrozumiał, że nie kochał Celeste. Owszem, podziwiał jej urodę i pragnął posiąść ciało, ale nic więcej. Nie wyobrażał sobie życia i starości z Celeste, nie marzył o tym, by mieć z nią potomstwo, siadywać wieczorami przy ogniu i wsłuchiwać się w jej głos, gdy opowiada mu o codziennych troskach.

- Moja słodka Beo - szepnął, cmokając ją w czoło, a potem w nos. - Mój aniele, kocham cię. Zakochałem się w tobie od razu, gdy po raz pierwszy ujrzałem cię w Tregellas, ale sądziłem... obawiałem się, że...

- Teraz to już nieważne - zapewniła go skwapliwie. - Nie musisz się lękać, bo i ja cię kocham.

- Przy tobie jestem taki szczęśliwy!

- Ja też jestem szczęśliwa. - Spojrzała na niego rozognionym wzrokiem. - O ile dobrze zrozumiałam, będziemy jeszcze szczęśliwsi, jeśli posuniesz się dalej. Proszę, zrób to.

- Z ochotą uczynię zadość twojej prośbie, moja pani - odparł z uśmiechem. - Moja precudna królowo... - Musnął ustami jej wargi, po czym powędrował w dół. - Co my tu mamy? - odezwał się, gdy jego palce natrafiły na brzeg koszuli. - Hm... to poważna przeszkoda. Będę musiał przypuścić atak.

- Jak zamierzasz tego dokonać, mój dzielny panie rycerzu? W łóżu brak miejsca na maszyny oblężnicze.

- Pokonam nieprzyjaciela w nieco bardziej przemyślny sposób - oznajmił i chwyciwszy koniec troczka między zęby, pociągnął, by rozwiązać kokardkę. - Udało się. Dopiąłem swego.

- Co teraz? - spytała bez tchu.

- Teraz sięgnę po drogocenne łupy.

Westchnęła, gdy rozsunął poły koszuli i objął dłonią jej pierś.

- Wspaniałości. Warto było czekać.

- A mnie wcale się to czekanie nie podobało. Nic a nic, ale wreszcie mogę się nacieszyć twoim zachwycającym ciałem. Jesteś taki piękny...

- Jestem rad, że moje skromne wdzięki znalazły w twoich oczach uznanie, pani - rzekł, drażniąc językiem jej sutek.

- Ogromne uznanie, wręcz zachwyt, mój panie. - Zadrzała pod jego dotykiem i ugięła kolana, by przyciągnąć go bliżej siebie.

- Wolnego, moja miła. Jeszcze nie pora. Zrobimy to po mojemu, a nie zamierzam się spieszyć. Ani trochę.

- Ale...

- Żadnych ale, młoda damo. Idzie mi o to, abyś po dzisiejszej nocy nigdy nie spojrziała na innego. Dlatego muszę zadbać, abyś była zadowolona.

- A kto powiada, że zechciałabym innego?! - zawołała i poruszyła się pod nim niespokojnie.

- Jeśli nie przestaniesz się tak wiercić, skończy się na tym, że postąpię jak rozochocony i niecierpliwy młokos.

- Ty, niecierpliwy? - rzuciła przekornie. - Chciałabym to zobaczyć.

- Nie wierzysz mi? Potrafię być niecierpliwy i krewki, więc radzę ci nie kuś losu, najdroższa oblubienico.

Oblubienico, pomyślała zachwycona Beatrice, lecz zaraz potem wszelkie myśli uleciały jej z głowy, bo znów poddała się intymnej pieśszczocie. Wkrótce obudziła się w niej pierwotna potrzeba, którą zapragnęła jak najprędzej zaspokoić. Nie chciała czekać ani chwili dłużej.

- Czekanie mnie zabije - szepnęła.

- Och, nie możemy do tego dopuścić...

Zespolili się jak mąż i żona, złączeni miłością i namiętnością.

- Zabolało?

- Odrobinę - wyznała otwarcie.

Wiedziała, że dyskomfort zaraz minie. Tymczasem czerpała radość i przyjemność z tego, że może swobodnie wodzić rękoma po ciele ukochanego.

- Wybacz.

- To nic, Ranulfie. Kocham cię. Zniosę każdy ból. - Instynktownie wysunęła ku niemu biodra i uśmiechnęła się, gdy zamiast dolegliwości pojawiły się inne odczucia. - Już mi lepiej.

Bea drżała z rozkoszy, gdy usta i dłonie Ranulfa gładziły jej rozpaloną skórę. Zawierzywszy jego doświadczeniu, dała się poprowadzić ku bezkresowi nowych, upajających doznań. Zachęcana westchnieniami i czułymi szeptami, dotykała go coraz śmielej i z zapalem oddawała mu każdą pieśszczotę. Raptem pojęła, że potrafi rozpalic w nim taki sam zar, jaki on roznieca w niej. Zrozumiała, że w łozu są sobie równi i wyzbyła się wszelkich zahamowań. Przy nim nareszcie mogła być prawdziwą sobą. Niczego nie musiała udawać, wyjaśniać ani ukrywać. Nie ograniczały jej konwenanse ani własna niepewność.

Z nieopierzonej młódki zmieniała się w dojrzałą niewiastę. Stała się kobietą w każdym calu, kochającą i uwielbianą przez swojego mężczyznę. Dopasowała się do jego rytmu i w odwiecznym tańcu kochanków odpłynęła wraz z nim ku upojnemu spełnieniu.

Potem długo leżeli bez słowa wtuleni w siebie, nasyceni i szczęśliwi.

Pierre dorzucił do ognia ostatnią deskę pozostałą z łodzi Gawena i zerknął z ukosa na olbrzyma, który zmierzał ku niemu z przeciwległego końca jaskini. Zwalista sylwetka rzucała dokoła groteskowe cienie. W jednej z dłoni trzymał na wpół opróżniony bukłak, drugą wspierał się o ścianę.

- Gawędziłem właśnie z innymi - oznajmił, posługując się zrozumiałą dla większości żeglarzy mieszaniną francuskiego, niemieckiego i włoskiego. - Naszym zdaniem, lepiej odstąpić od zamiaru porwania owej panny. Miałeś nadzieję zarobić na niej furę złota, ale do Tangeru droga daleka, a baba na morzu przynosi nieszczęście.

Francuz sięgnął do pasa i zacisnął dłoń na sztylcie. Pływał z Barabaszem od ponad dziesięciu lat, ale nie ufał mu ani trochę.

- Czyżby nasz mocarz przeląkł się jednej słabej niewiasty? - zadrwił niemiłosiernie.

- Niewiasta to pech, ot i wszystko. Nowy kasztelan może nam zaszkodzić. Nie jest taki jak jego poprzednik, co to spadł z konia i skrzył sobie kark.

- Powiadam ci, zbijemy na dziewczce fortunę. Zresztą, nawet gdybym się z tobą zgadzał, a wcale się nie zgadzam, jak mielibyśmy odpłynąć, skoro reszta załogi ma dołączyć do nas dopiero jutro?

- Mogliśmy wyruszyć już dawno, gdybyśmy nie zniszczyli łodzi, której szczątki dogasają w ognisku.

- Miałbym próbować przedostać się przez kanał tą starą łajbą? Jeszcze mi życie miłe.

Barabasz pociągnął wina i otarł usta wierzchem dłoni.

- A czemu by nie? Mogło się udać.

- Albo mogliśmy wszyscy utonąć.

- Przynajmniej nie gnilibyśmy bez końca w tej grocie, czekając nie wiadomo na co.

- Nie musielibyśmy kryć się przed światem, gdybyś zrobił co trzeba z Gawenem.

Do tej pory nie wiedzieliby, co się z nim stało, jak z tamtymi dwoma przed nim.

- Sprawilem się jak należy - bronił się zawzięcie osiłek. - Nie powinien był wypłynąć. Uwiązałem mu u nóg kamienie. Gdybyś pozwolił mi użyć miecza, nie byłoby

kłopotu, a tak musiałem słuchać jak skomle, zanim go udusiłem. Żałuję, że nie poderżną-poderżnąłem mu gardła.

- Całe szczęście, że tego nie zrobiłeś. Od razu by się połapali, że go ubito, a tak wiedzą tylko, że wypadł z łodzi. Jak nic pomyśleli, że się utopił.

Barabasz skrzywił się z niezadowoleniem.

- Ale tobie wolno było użyć noża, kiedy zgładziłeś szeryfa i jego kochankę!

- To co innego. Nie dało się sprawić, by wyglądało na wypadek. Musiałem zrobić swoje jak najszybciej i wymknąć się stamtąd niezauważony. Nie sądziłem, że nie będzie sam. Czekałem w nieskończoność, aż wreszcie zasną.

- Niepotrzebnie uparłeś się, żeby tu zostać. Gdyby nie to, bylibyśmy na morzu i nie groziłoby nam żadne niebezpieczeństwo.

Nie sposób było temu zaprzeczyć, ale Pierre nie dał łatwo za wygraną.

- Odplynałbyś bez tej złotowłosej ślicznotki? Wiesz przecież, ile jest warta. Dostaniemy za nią więcej złota, niż ona waży, wspomnisz moje słowa. Warto dla niej zaryzykować. Hedyn okazał się nazbyt bystry, dlatego pożegnał się z życiem. Teraz, kiedy szeryfem został Myghal, jesteśmy bezpieczni. Nie wyda nas. Za wiele ma do stracenia.

Olbrzym spojrzał na niego krzywo i rzekł, wymachując buklakiem:

- Zobaczysz, będzie z tego nieszczęście.

Rozeźlony Francuz podniósł się z wolna na nogi. Palce wciąż zaciskał na rękojeści sztyletu.

- Sprzeciwiasz mi się? - wycodził, wbijając w rozmówcę złowrogie spojrzenie. - Radzę ci nie podburzać ludzi przeciwko mnie. - Zerknął kątem oka na pozostałych członków załogi. Szeptali między sobą, zapewne wspominając straszliwy los Guida, ostatniego śmiałka, który odważył się podać w wątpliwość sądy kapitana. Jego potworna śmierć nauczyła ich pokory.

W kaprawych oczach Barabasza pojawił się lęk. Pierre postanowił dać mu jeszcze jedną szansę, bo w walce osiłek wart był dziesięciu chłopów.

- Czuję w kościach, że owa dziewczka przyniesie nam nie tylko szczęście, lecz także spory zysk. Wyruszamy jutro w porze nocnego przyływu. Zabierzemy ją ze sobą i nie

wrócimy w te strony dopóty, dopóki rycerz, którego tak się boicie, nie złoży urzędu, albo dopóki ktoś go nie ukatrupi.

Barabasz lękał się przede wszystkim kapitana.

Widział, jak Francuz zabija i gwałci z uśmiechem na ustach, był też świadkiem powolnego konania Guida. Gotów był wszakże bronić swego, bo intuicja podpowiadała mu, że ma słuszność. Wierzył święcie, że jeśli zabiorą pannę na pokład, nie zejną na ląd żywi.

- A jeżeli Myghal nas zdradzi? - spróbował ponownie. - Co będzie, jeśli nie przyprowadzi nam dziewczki? Sami po nią pójdziemy?

Pierre wykrzywił usta w złowieszczym uśmiechu.

- Nie obawiaj się, sprowadzi ją. Już ja się o to postaram. Masz mi jeszcze coś do powiedzenia? A może wolisz, żebyśmy zmierzyli się na noże?

- Nie. - Olbrzym odszedł w stronę reszty żeglarzy.

Tymczasem kapitan siadł spokojnie na kamieniu i z lubością zaczął rozmyślać o tym, co uczyni lady Beatrice, gdy pojawi się na jego statku. Będzie miał mnóstwo czasu, by się z nią zabawić. Do Tangeru istotnie daleka droga.

Bea pogłaskała ukochanego po rudej czuprynie.

- Teraz nareszcie wiem, dlaczego Constance nieustannie się uśmiecha.

Ranulf wciąż leżał z głową wtuloną między jej piersi.

- Jesteś niemożliwa - powiedział.

- Doprawdy?

Spojrzał na nią z zachwytem.

- Z całą pewnością. Nigdy nie spotkałem tak niepospolitej panny.

- Hm... wcześniej nie miałeś o mnie tak dobrego zdania. Zanim zjawiłam się w Penterwell, w ogóle na mnie nie zwracałeś uwagi. Czasem aż chciało mi się płakać...

Wsparł się na łokciu i popatrzył na nią ponuro.

- Obawiałem się, że jeśli będę zbyt blisko ciebie, zrobię coś, czego mi nie wolno.

- Masz na myśli coś takiego jak podczas świątecznej uczyty, gdy prawie mnie pocałowałeś?

- W rzeczy samej. - Nawinał na palec jej złoty lok i przysunął go do ust. - Uwielbiam twoje włosy.

- A ja twoje - odparła, gładząc go po brodzie. - Ale za to nie cierpię tego. Okropnie drapie.

Roześmiał się, po czym ułożył się obok niej, by móc podziwiać jej powabne kształty w pełnej krasie.

- Sam też za nią nie przepadam. Zapuściłem ją tylko po to, żeby wyglądać starzej. Chciałem, byś pomyślała, że taki sędziwy mąż jak ja nie nadaje się dla takiej ślicznej młódki jak ty.

- Sędziwy? - powtórzyła sceptycznie, przesuwając dłonią po jego torsie. - Z takim ciałem? Nie wydaje mi się.

Ucałował wnętrze jej dłoni.

- Pod pewnymi względami jestem dla ciebie o wiele za stary. Nie wiodłem dotąd przykładowego życia.

- Wiem. - Dotknęła czule jego policzka. - I tak cię kocham. Takiego, jaki jesteś. Kto wie, może nawet pokocham kiedyś twoją brodę.

- Zgolę ją.

- Kiedy?

- Jeśli tego sobie życzy moja pani, choćby zaraz.

- A jak to wytłumaczysz rano swoim ludziom?

- Powiem, że zarost nie spodobał się mojej narzeczonej, która po upojnej nocy nakazała mi się go pozbyć.

- Nie zrobisz tego! Nie wolno ci!

Westchnął z przesadną afektacją.

- Istotnie, nie mogę nikomu zdradzić, że jesteśmy po słowie dopóty, dopóki nie zyskam zgody Merricka.

- Z pewnością nie będzie się sprzeciwiał.

Posłał jej szeroki uśmiech.

- Jestem podobnego zdania, ale jak go znam, potrzyma mnie trochę w niepewności.

- Zmarszczył groźnie brwi i przemówił głosem naśladowującym mrukliwy baryton lorda

Tregellasa: - A skąd pewność, że na nią zasługujesz, przyjacielu? - Raptem spochmurniał i odwrócił wzrok. - I cóż mu na to odpowiem? Przecież wcale na ciebie nie zasługuję.

- Powiesz, że cię kocham i że nie wyjdę za nikogo innego - odparła z zaskakującą powagą. - I że jeśli nam nie pobłogosławi, i tak z tobą ucieknę.

- Bea! - zawołał, nie posiadając się ze zdumienia. - Nie ośmieliłabyś się postąpić tak nierozsądnie.

- Nie wahałabym się ani chwili. Przyrzekałam, że nigdy cię nie opuszczę, i zamierzam dotrzymać słowa. - Jej uśmiech zdawał się rozświetlać całą izbę. - Nie będzie miał wyboru. Będzie musiał się zgodzić.

- Wyznam, że cię nie doceniałem, moja mała lady Beo.

- Nie ty jeden - przyznała z dumą. - Wiedz, mój panie rycerzu - dodała, przyciągając go do siebie zdecydowanym gestem - że kiedy sobie coś umyślę, nie spocznię, póki tego nie dostanę.

- A ja od dawna marzę tylko o jednym - powiedział, nachyliwszy się, by ją pocałować. - Chciałbym ujrzeć twoje włosy rozsypane na niedźwiedziej skórze.

- Tylko tyle? - zapytała przekornie i przesunęła się tak, by jej głowa spoczęła na futrzanej narzucie.

- Po namyśle stwierdzam, że pragnę o wiele więcej.

Jakiś czas później Ranulf otworzył oczy i spostrzegł, że świeca wypaliła się do końca i zgasła. Uzmysłowił sobie, że niebawem zacznie świtać, i z miejsca oprzytomniał.

- Bea? Ukochana, zbudź się. Pora, byś wróciła do swej komnaty. - Potrząsnął ją lekko za ramię.

Westchnęła i rozchyliła powieki.

- Co mówisz? - spytała sennie.

- Musisz wracać do siebie - powtórzył, wstając z łóżka. - W przeciwnym razie zaczną gadać, że cię uwiodłem.

Uśmiechnęła się psotnie.

- Och, nie frasuj się. Gdy przyjdzie co do czego, możesz przyznać, że to ja zbałamuciłam ciebie. Koniec końców zakradłam się do twojego alkierza. Obawiam się,

że przy tobie stałam się grzeszną bezwstydnicą - stwierdziła, przypatrując się z lubością, jak wkładał ubranie. - Mieliśmy pozbyć się twojej brody.

- Żałuję, ale nie mamy na to czasu - odparł, wciągnawszy but. - Jeśli chcesz, wstrzymamy się z tym do nocy poślubnej.

Potrząsnęła głową.

- Ani myślę. Owej nocy zamierzam robić zgoła inne rzeczy.

Wyprostował się i spojrzął na nią z udawaną srogością.

- Dalibóg, zrobiła się z ciebie rozpustnica. Ku mej wielkiej uciechu, ma się rozumieć. - Wyjrzał przez okno. - Naprawdę musisz wracać do swojej komnaty. Maloren postawi na nogi cały zamek, jeśli nie zastanie cię w łóżku.

- Nie inaczej - przyznała niechętnie Beatrice, po czym podniosła się z posłania i poprawiła rozchełstane wymięte okrycie.

- Święci pańscy! Nie możesz iść w takim stanie!

- W jakim stanie? - Wyglądziła spokojnie potargane włosy. - Wyrósł mi drugi nos?

- Krew - powiedział, wpatrując się wymownie w zabrudzoną koszulę.

Rozebrała się pośpiesznie i podeszła do miednicy, by zaprać plamę. Ranulf objął ją od tyłu.

- To moja wina, przepraszam.

- Och, nie martw się. To zwykła rzecz.

- Założysz mokrą?

- Nie, pójdę w tej, którą miałam na wierzchu, a tę zaniosę potem do prania, tak żeby Maloren niczego nie zauważyła. - Zerknęła na niego przez ramię. - Sądzisz, że powinniśmy wrócić z Kiernanem do Tregellas? Mógłbyś pojechać z nami i poprosić Merricka o moją rękę.

- Pragnę cię poślubić, i to jak najrychlej, ale nie mogę teraz wyjechać z Penterwell. Tutejsi ludzie wciąż mi nie ufają. Gdybym przedłożył własne szczęście nad obowiązek, oskarżyliby mnie o prywatę i mieliby słusność. Nie wolno mi opuścić posterunku, zanim nie schwytam złoczyńców.

- Będzie, jak zechcesz - zgodziła się Bea, odwracając się w jego ramionach i zaglądając mu w twarz z pogodnym uśmiechem - Ale skoro tak postanowiłeś, ja także

zostanę - dodała stanowczo. - W twojej spiżarni niebawem zabraknie jedła. Nie pozwolę, byś zmizerniał z głodu. Och! - ożywiła się raptem. - Obiecałam służącym po nowej sukience. Nie wypada mi odjechać, nim nie dotrzymam słowa.

Zaśmiał się ubawiony.

- Och, Bea, Bea, nie przestajesz mnie zdumiewać. Wolałbym jednak, żebyś wróciła do Tregellas. Będziesz tam bezpieczniejsza.

Oplotła go ramionami i spojrzała mu tęsknie w oczy.

- Nie wydaje mi się. Tu i teraz jestem całkiem bezpieczna.

- Bea - ostrzegł, na próżno próbując jej się oprzeć oraz nie zważać na to, że stoi przed nim jak ją pan Bóg stworzył. - Będziesz mnie tylko rozpraszać.

- Naprawdę? Potrafię cię rozpraszać?

- Jak nikt inny.

- Pomogłabym ci, gdybyś pozwolił mi zostać. Tutejsze niewiasty mnie polubiły. Wcześniej przynosiłam ci od nich nowiny.

- Prawda - przyznał po namyśle.

Na koniec uznał, że w dobrze strzeżonym zamku nic jej nie grozi.

- Wcale nie chcesz, żebym odjechała, prawda, Ranulfie? - zapytała, ocierając się o niego przymilnie. - Proszę, nie każ mi opuszczać Penterwell...

- Niech i tak będzie, moja pani - rzekł, udając, że ulega jej pod przymusem. - Zgadzam się, byś została i wsparła moje wysiłki w poszukiwaniu sprawców mordu. Poza tym pod żadnym pozorem nie możesz wyjechać, nim nie zaopatrzysz wszystkich służących w nowe suknie, choć naturalnie to ja za nie zapłacę.

- Ty za nie zapłacisz?

- A któż by inny? - Przekrzywił głowę i przyjrzał jej się z zaciekawieniem. - Sama chciałaś to zrobić? Niby jak?

Zarumieniła się i posłała mu wstydlivy uśmiech.

- Miałam nadzieję cię przekonać, że nagradzanie służących za wzorową służbę jest ze wszech miar roztropne i wskazane.

Roześmiał się i przycisnął ją mocniej do piersi.

- Beatrice, jesteś zbyt przemyślna!

- Skoro zostaje, mogę odwiedzić cię dzisiejszej nocy?

- Nie powinienem na to przystać, lecz cóż, chcę więcej. Jeśli zdołasz przyjść tu niezauważona, będę na ciebie czekał.

- Postaram się. Teraz lepiej już pójdę. Maloren niedługo się zbudzi.

Beatrice ubrała się w pośpiechu i zwinęła w kłębek moką koszulę. Tymczasem Ranulf otworzył drzwi i wyjrzał ostrożnie na korytarz.

- Zatem do wieczora, najdroższa Beo - powiedział, całując ją na pożegnanie.

- Do wieczora, ukochany - powiedziała i wymknąwszy się na zewnątrz, pobięła do swojej komnaty.

Maloren powitała ją, stojąc na środku izby.

TLR

Rozdział szesnasty

- I cóż to, gołąbeczko? Powiesz mi, gdzie się podziewałaś?! - zagrzmiała rozeźlona piastunka.

- Prałam koszulę - odparła Bea.

- W środku nocy?

Przez chwilę panna miała ochotę skłamać, wymyślając na poczekaniu wiarygodną historię. Uznała jednak, że gra nie jest warta świeczki. Prędzej czy później wszystko i tak się wyda. Lepiej, żeby Maloren usłyszała prawdę od niej niż od kogoś innego.

- Byłam z Ranulfem - wyznała otwarcie.

Wzdrygnęła się bezwiednie, gdy służąca wyrzuciła ramiona w górę i wrzasnęła z niekłamaną zgrozą:

- Święta Panienko! Nie! Tylko nie to! Moja biedna owieczka! Jak mogłaś?! Po tym, co zrobił? Czemu zadałaś się z tym wszetecznikiem? Z tym bezbożnikiem z piekła rodem!

- Maloren, opanuj się i posłuchaj. Żaden z niego diabeł i z pewnością mnie nie zbałamucił. Poszłam do niego sama. Z własnej woli i bez zaproszenia. Próbował mnie odesłać, ale mu na to nie pozwoliłam. Kocham go od dawna. Nikt i nic tego nie zmieni. To prawda, że w przeszłości ciężko zgrzeszył, ale od tamtej pory żyje z brzemieniem winy. Dość już pokutował. Jest dobry i z gruntu szlachetny. Zasługuje na szczęście, które zamierzam mu dać. Wkrótce zostanę jego żoną.

- Żoną?! - Maloren usiadła na krześle i spojrzała na wychowanekę, jakby zobaczyła ducha.

- Nie inaczej - potwierdziła Bea, uklękła przy piastunce i ujęła ją za rękę. - Kocham go, a on kocha mnie i zamierzamy się pobrać.

- Pobrać!

- Tak, pobrać - powtórzyła zdecydowanie Beatrice. Było jej przykro, że niania nie podziela jej radości. - Wiem, że ongiś postępował niegodnie. Nie twierdzi, że jest niewinny. Wyznał mi wszystko jak na spowiedzi i wybaczyłam mu. Gdybyś go wtedy

widziała, wiedziałabyś, jak wielką odczuwa skruchę, i sama uznałabyś go za godnego mojej ręki.

- Ale przecie widziałam na własne oczy, jak całował tę latawicę! - obruszyła się Maloren.

- Nieprawda. Nie tknął jej. To ona próbowała wskrzesić w nim niegdysiejszą skłonność. Jesteś mi jak matka, Maloren, dlatego powtórzę ci wszystko, co mi o sobie opowiedział. Nie spodoba ci się to, ale taka jest prawda i trzeba się z nią pogodzić. Wiedz, że mimo podłych uczynków, których się dopuścił, podziwiam go i szanuję.

Beatrice nie chciała mieć przed piastunką żadnych sekretów. Postanowiła położyć kres wszelkim plotkom i podszeptom nieżyczliwych ludzi. Żywiła nadzieję, że Maloren zrozumie i daruje mu winy. Każdy, kto zna go choć trochę, potwierdzi, że Ranulf jest teraz zupełnie innym człowiekiem. Zmienił się od czasów niechlubnej młodości, wiele wycierpiał i pojął swe błędy. Jak się spodziewała, służąca nie była zachwycona. Gdy Bea zakończyła opowieść, niania poderwała się na równe nogi i zaczęła wymachiwać pięścią.

- To łotr! To podlec!

- Maloren, nie bądź dla niego taka surowa. Bardzo wówczas cierpiał...

- Nie o niego mi idzie, lecz o jego brata! Żeby utopić biednego psa?! Tfu! Żeby tak mogła dopaść tego psubrata, wygarbowałabym mu skórę!

- Czy to znaczy, że przebaczyłaś Ranulfowi? - spytała z nadzieją Bea.

- Postradałaś zmysły? Miałabym wybaczyć taką niegodziwość? Te nieszczęsne dziewczki, które pohańbił? Niechaj go piekło pochłonie! Łajdak odebrał cnotę mojej gołąbeczce bez ślubu, a nawet bez zrękowin! - Oczy piastunki ciskały gromy. - Ciebie nie winię, kruszyno. Jak nic wziął cię na piękne słówka, a i kochanek pewno z niego przedni, z takim ciałem i tymi cudnymi ślepiami.

- Mówiłam ci już, że mnie nie uwiódł. To ja go uwiodłam i wcale się tego nie wstydzę. Zrobiłabym to jeszcze raz. Pojmij wreszcie, że go kocham.

Maloren zrozumiała, że jej utyskiwania i protesty na nic się zdadzą. Usiadła i załamała ręce.

- Co powiem lady Constance? Albo lordowi Merrickowi?

- Nie frasuj się. Nie będziesz musiała się przed nimi tłumaczyć. Ranulf i ja pójdziemy do nich w swoim czasie i poprosimy o zgodę na ślub. Jestem pewna, że nie będą się sprzeciwiać.

- A pewnie, że nie! Już lord Tregellas zadba o to, żeby ten czarci pomiot postąpił jak należy. Nie wymiga się, choćby chciał, psiajucha!

- Serce mi się kraje, gdy pomyślę, że tak go nienawidzisz. Uczynił mnie bardzo szczęśliwą. Byłabym jeszcze szczęśliwsza, gdyby moja najdroższa Maloren polubiła mego wybranka.

- Nie zasługuje na ciebie, gołąbeczko. To zły człowiek.

Beatrice westchnęła z rezygnacją. Trudna rada. Piastunka nigdy nie zmieni zdania o Ranulfie.

- Przykro mi, że tak go widzisz, moja droga. Zostanę jego żoną, czy ci się to podoba, czy nie. Nie martw się, przypuszczam, że Constance znajdzie dla ciebie miejsce w Tregellas.

- W Tregellas? - zawołała osłupiała Maloren. - Odprawiasz mnie?

Bea potarła bezradnie czoło.

- Cóż, nie mam wyboru. Skoro nie cierpisz mego mężczyzny, którego poślubię...

- Nie cierpię wszystkich mężczyzn! Ale to mnie nie powstrzyma przed tym, bym wyniańczyła wasze dziatki. Moja ptaszyna i jej pisklęta będą mnie potrzebowały, zwłaszcza przy takim ojcu. Jeśli pozwolisz mi zostać, złego słowa na niego nie powiem, ani do ciebie, ani do kogokolwiek innego. Słyszałaś kiedy, żebym narzekała na twojego ojca? Dopóki nie umarł, milczałam jak zaklęta, choć nieraz miałam ochotę wykrzyknąć, co o nim myślę.

Prawda, stwierdziła w duchu Beatrice, nie całkiem jeszcze uspokojona.

- A co jeśli nasze potomstwo będzie rude? - zapytała ostrożnie.

- Na szczęście, ty będziesz ich matką, a ja piastunką. Razem wyprowadzimy ich na ludzi, w przeciwnym razie... - Wzniosła oczy ku niebu i machnęła ręką. Zapewne chciała powiedzieć, że bez nich obu biedactwa marnie skończą. - A zatem postanowione - Rozchmurzyła się momentalnie. - Zaopiekuję się maleństwami i będę cierpliwe znosić ognistowłosego męża niecnotę. Jakie to szczęście, że lord Merrick dopilnuje, by

wszystko odbyło się jak należy. Sir Jowan nie zdołałaby zmusić swego rozbisurmanione-rozbisurmanionego synalka do ślubu, gdybyś to z nim dzieliła dzisiaj łożę. Wyznam, że przez chwilę tego się właśnie obawiałam, gdym go przyłapała, jak przemierzał cichaczem korytarz. Skradał się niczym kocur na łowach. - Skrzywiła się z niesmakiem i zerknęła na wychowanek. - Skoro to nie z tobą miał schadzke, musiał pójść do innej.

- Nie może być! - zdumiała się Bea. - Kiernan nie z tych, co zadają się ze służebnymi...

- Zapomniałaś chyba o strojnej bezecnicy, która gości pod tym dachem.

Ranulf z największym trudem powstrzymał się przed tym, by nie nucić podczas porannej mszy. Pofolgował sobie dopiero, gdy wraz z Beą udał się do wielkiej sali na poranny posiłek. Takie zachowanie nie przystoi kasztelanowi, pomyślał przelotnie, ale był zbyt szczęśliwy, aby zaprzętać sobie głowę takimi błahostkami.

Gdy zasiedli przy stole, musiał zebrać całą siłę woli, by nie ucałować ukochanej na oczach służby.

- Lady Fontenbleu przysłała pokojówkę z wieścią, że znów zaniemogła i nie dołączy do nas podczas śniadania - oznajmiła Beatrice, posyłając mu znaczące spojrzenie. - Zdaje się, że już po tobie nie rozpacza. Maloren podpatrzyła wczorajszej nocy coś arcyciekawego, a Kiernan nie pojawił się w kaplicy.

- Naprawdę sądzisz, że oni...? - Pochylił się ku niej zaintrygowany.

Czyżby Celeste postanowiła pocieszyć się przystojnym młodzieńcem, którego zachowanie wobec Bei wielokroć wzbudzało w nim zazdrość? Jeśli tak, tym lepiej dla wszystkich.

- Maloren jest przekonana, że Penderston zakradł się wczoraj do jej komnaty.

- Ale chyba nie zapytała go o to wprost?

Beatrice uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Nie.

- Cóż, nie zdziwiłbym się, gdyby istotnie spędzili tę noc razem - orzekł po namyśle. - Po naszej ostatniej rozmowie Celeste pojęła wreszcie, że nigdy mnie nie zdobędzie. Poza tym oboje widzieliśmy, jak Kiernan na nią patrzył, kiedy ich sobie

przedstawiłem. W końcu nadal jest młoda i nadzwyczaj urodziwa. - Ścisnął Beę za rękę i dodał: - Ale nawet w połowie nie tak cudna jak moja najdroższa oblubienica.

Odwzajemniła uścisk.

- I pomyśleć, że jeszcze niedawno zdawało mi się, iż Kiernan rozpaczliwie kocha się we mnie.

- Jego szczęście, że się myliłaś - odrzekł Ranulf z udawaną srogością, odnajdując pod stołem jej kolano. - W przeciwnym razie musiałbym wyzwać go na pojedynek i bić się o swoją wybranekę. - Jego dłoń przesunęła się w górę i zatrzymała na udzie.

- Och, przestań - zaprotestowała słabo, odsuwając się nieznacznie.

- Jak mam przestać, skoro tak mi się to podoba? - odparł niewinnie. - Tobie zresztą też, przyznaj.

- Chyba powinniśmy zachować odrobinę więcej przezorności do czasu, gdy uzyskamy zgodę Merricka. Nie chciałabym, żebyśmy niepotrzebnie przyciągali spojrzenia.

- I tak wszyscy ciągle na nas patrzą. Obserwują nas bacznie, odkąd pojawiłaś się w Penterwell. Widać stanowią nad wyraz zajmującą parę.

- Nie wiem, jak długo zdołamy utrzymać nasze zrękowiny w sekrecie - dała za wygraną. Nie była w stanie opierać się dłużej ukradkowym pieszczotom. - Maloren czekała na mnie w nocy. Nie spała, kiedy wróciłam do komnaty. Musiałam jej o nas powiedzieć.

- Moje biedactwo, przeszłaś ciężką przeprawę. To dlatego jej z nami nie ma? Zdruzgotana złą nowiną pewnie wciąż rwie włosy z głowy, złorzecząc z rozpacz i przeklinając moją rudą czuprynę.

Bea roześmiała się, po czym przybrała poważną minę.

- Jesteś w błędzie. Zniosła to bardzo dzielnie. Trochę pokrzyczała, a potem pogodziła się z nieuniknionym. Co więcej, gotowa jest wyniańczyć nasze dzieci, nawet jeśli też będą rude.

- Nie może być?

- I owszem. To szczerą prawdą. Nasza droga Maloren wierzy święcie, iż z moją i z bożą pomocą uda jej się pokonać w naszym potomstwie jego wrodzone grzeszne instynkty.

- Uważaj, figlarko - ostrzegł z uśmiechem. - Droczyć się ze mną dalej, a zapomnę o przyzwoitości i zaraz cię pocałuję.

- Chcesz wywołać skandal? - odparła z radosnym błyskiem w oku. - Nie ośmielisz się, mój panie! - Spuściła wzrok i dodała zmysłowym szeptem, od którego zakręciło mu się w głowie: - Wolałabym z tym poczekać, aż znów będziemy sami, mój panie rycerzu.

- Bea, miej litość, bo za moment zaniosę cię prosto do łóżka.

- To ty zlituj się nade mną, panie. Wiesz przecież, że nie mogę doczekać się chwili, gdy znów się tam znajdę. Niestety - westchnęła, wstając z krzesła. - Tymczasem muszę dopilnować nieco bardziej przyziemnych spraw.

- Mnie także wzywają obowiązki - odrzekł i również się podniósł.

- W takim razie do zobaczenia później, panie.

Skłonił się przed nią oficjalnie.

- Do widzenia, lady Beatrice.

Dotarłszy na dziedziniec, Ranulf spostrzegł ze zdumieniem Kiernana, który opierał się o ścianę stajni, zjadając przylepkę. Gdy zauważył kasztelana, wyrzucił resztki chleba i podszedł do niego zdecydowanym krokiem.

- Czołem, Kiernan - rzekł Ranulf, niemal wybuchając śmiechem. Miał szczerą ochotę poużywać sobie trochę na swoim gościu i zapytać o Celeste. - Nie było cię na porannym nabożeństwie. Martwiliśmy się, że zaniemogłeś.

Młodzian spiekł raka i wymamrotał niewyraźnie:

- Nic z tych rzeczy... Zwyczajnie... zasnęłam.

Nie wątpię, pomyślał ubawiony de Beauvieux.

- Uznałem, że jednak nie ma po co spieszyć się z powrotem do Tregellas - oznajmił zdecydowanie Kiernan. - Lady Beatrice z pewnością potrzebuje czasu, by się spakować. Poza tym... cóż, obawiam się, że uchybiłem wam obojgu, wysnuwając bezpodstawne domysły.

- Ach tak? Rad jestem usłyszeć, że zmieniłeś co do mnie zdanie i nie uważasz mnie już za nieokrzesanego lubieżnika.

- Daruj mi to nieopatrzone posądzenie, panie. Mam nadzieję, że udzielisz mi gościny do czasu, aż lady Beatrice będzie gotowa do wyjazdu.

Kasztelan skłonił uprzejmie głowę.

- Naturalnie, ale nie zabrałeś żadnego bagażu.

- Poślę któregoś z ludzi do wsi, żeby kupił, co trzeba, na targu.

- W takim razie postanowione.

Kiernan odetchnął głęboko, po czym znów się zaczerwienił, wyraźnie zawstydzony tym, że okazał, jak bardzo mu ulżyło.

- Hm... tak, skoro zostaję, jeśli nie masz nic przeciwko temu, wyruszę na zwiad razem z tobą. Doszły mnie słuchy, że okolicą wstrząsają poważne niepokoje. Chętnie na coś się przydam, a trzeba ci wiedzieć, że wzrok mam sokoli.

- Doprawdy? Cóż, nie wypada mi odmówić.

Od przybytku głowa nie boli, a dodatkowa para oczu zawsze się przyda, uznał Ranulf. Kto wie, może Penderston istotnie dostrzeże coś istotnego. Dosiedli koni i wkrótce wyruszyli ramię w ramię na czele patrolu. Część straży pozostała w zamku pod dowództwem zastępcy komendanta. Gareth zaś udał się na nabrzeże wraz z nimi. Kasztelan chciał go mieć przy sobie.

Jakiś czas jechali w milczeniu, pierwszy odezwał się Kiernan.

- Zdradź mi, panie, dobrze znałeś męża lady Fontenbleu?

- Nie - odparł zgodnie z prawdą de Beauvieux.

- Wielka szkoda, że młoda i urodziwa niewiasta przedwcześnie owdowiała.

- Z pewnością znajdzie kogoś, kto zechce się z nią ożenić.

- Jest ponoć bardzo majątna i popularna na królewskim dworze.

- Czy zamierzasz poprosić o jej rękę?

Młodzieniec pospiesznie odwrócił wzrok.

- Jeśli tak, życzę szczęścia wam obojgu. - Kasztelan przypomniał sobie słowa Celeste i jej desperackie próby odzyskania jego względów. Czuł się w obowiązku ostrzec Kiernana: - Domyślam się, iż jej życie na dworze nie było aż tak wspaniałe, jak je

przedstawia. Nie jest biedna, ale wyznała mi, że nie ma majątku w postaci dóbr ziemskich. Niemniej, jak zapewne zauważyłeś, same jej klejnoty są warte fortunę. Poza tym odziedziczysz włości ojca, a więc nie ma przeszkód, byś ją poślubił.

- Nikt nie pogardzi życiem w dostatku, ale tak wspaniała żona byłaby dla mnie wystarczającą nagrodą.

- Mówisz jak człowiek zakochany - zauważył Ranulf. - A mnie się zdawało, że pragnąłeś oświadczyć się lady Beatrice.

- Ależ nie!

- Wybacz, jeśli cię zdenerwowałem - powiedział chłodno de Beauvieux. Poczł się urażony niejako w imieniu Beatrice. - Sądziłem, że troszczysz się o nią, ponieważ żywisz do niej gorące uczucie.

- Owszem, bardzo ją lubię - przyznał Kiernan - lecz nie chciałbym jej za żonę. Zdecydowanie za dużo mówi i... zdarza jej się postępować cokolwiek... nierozważnie.

- Skoro tak, czemu leży ci na sercu jej reputacja?

- Przez wzgląd na lady Constance. Nie chciałbym, by cierpiała z powodu nieroztropnych poczynań podopiecznej.

- Wiesz chyba, że Tregellasowie pozwolili jej tu przyjechać. Nie uciekła od nich.

- Cóż, obawiam się, że lady Constance tak bardzo kocha kuzynkę, iż we wszystkim jej pobiła.

- Twoim zdaniem, Beatrice należałoby trzymać w ryzach? - zdziwił się Ranulf.

- Nazbyt często nie zważa na to, że jest damą.

- Istotnie, zdarza jej się o tym zapominać - zgodził się kasztelan - ale uważam, że to urocze i pokrzepiające.

- Jaśnie panie! - przerwał im jeden z żołnierzy. - Statek! Tam, w zatoczce!

Ranulf uniósł się w siodle i ujrzał w oddali nieoflagowany dwumasztowiec. Po chwili spostrzegł coś jeszcze: łódź pełną uzbrojonych mężczyzn wiosłujących w stronę brzegu. Przybywają w złych zamiarach, uznał. Gdyby było inaczej, nie zakradaliby się chyłkiem, lecz wpłynęliby do portu w Penterwell. Schwyta ich i dowie się, czego szukają na jego terenie.

Nie zamierzał działać bez przemyślanego planu. Zsiadłszy z konia, polecił Garethowi wycofać oddział tak, aby stał się niewidoczny. Potem położył się na brzuchu na krawędzi urwiska i spojrzał na rozciągającą się w dole plażę.

- Znasz tych ludzi? - zwrócił się do dowódcy straży.

- Nie, panie. Nigdy wcześniej ich nie widziałem.

- A statek? Wydaje się znajomy?

- Nie.

Tymczasem podpełzł do niech Kiernan.

- Przemytnicy - stwierdził z przekonaniem. - A żaglowiec jest francuski.

- Skąd wiesz? - zdumiał się kasztelan.

- Poznają po takielunku. Jaki mamy plan ataku?

- Nie ma powodu, byś się do tego mieszał. Lepiej wracaj do zamku.

- Masz mnie za tchórze? - oburzył się Penderston. - Za nic nie ucieknę przed walką.

- A jeśli zostaniesz ranny? Albo nie daj Boże zabity? Co powiem twojemu ojcu?

- Że zginąłem na polu walki, jak rycerzowi przystało.

Chyba go nie doceniłem, stwierdził w duchu de Beauvieux.

- Nie możemy ruszyć na nich z góry. Zobaczą nas i zdążą uciec na statek, nim ich dopadniemy. A może są tam jakieś jaskinie, w których mogliby się skryć?

Gareth potrząsnął głową.

- Nie, panie. W każdym razie ja żadnych nie znam.

- Jak myślisz, czemu przybili do brzegu akurat tutaj?

- Może dlatego, że ścieżka jest dość szeroka. Jeśli planują ukraść konie albo owce, będą potrzebowali łatwego zejścia na brzeg. Pewnie poczekają do zmroku, żeby wypłynąć pod osłoną nocy.

- Jest jakaś inna droga na dół?

- Owszem, ale niezbyt łatwa.

Dowódca straży wskazał gestem wschodni kraniec zatoczki, z którym łączyło się skaliste wzniesienie.

- Możemy zejść tamtędy. Jest dość stromo, lecz jeżeli będziemy ostrożni, nikt nie powinien ucierpieć. Weźmiemy ich z zaskoczenia. Z pewnością nie będą się nikogo spodziewali z tamtej strony.

Ranulf zadygotał bezwiednie, spojrzawszy na wysokie fale bijące o brzeg, jednak opanował lęk i rzekł:

- W takim razie postanowione. Poprowadzisz nas. Nie pozwolę im się wymknąć. Niewykluczone, że to złoczyńcy, których szukamy.

Gdy kasztelan i jego ludzie zmierzali ku plaży, Wenna nuciła kołysankę małemu Gawenowi. Przerwało jej nieoczekiwane pukanie do drzwi. Uśmiechnęła się, myśląc, że to Myghal z kolejnym podarkiem. Przestraszona ujrzała na progu trzech podejrzanie wyglądających mężczyzn: przeraźliwie chudego, olbrzyma, a trzeciego bez oka. Nim zdążyła pojąć, co się święci, wtargnęli do środka.

- Nie lękaj się, ma *petite fille* - odezwał się jednooki. - Nie chcemy cię skrzywdzić.

- Kto jesteście i czego ode mnie chcecie? - zapytała Wenna, odruchowo zbliżając się do kołębki. - Tknijcie mnie, a zacznę krzyczeć na całe gardło.

- Otwórz usta, a ubijemy twoje małe - ostrzegł olbrzym.

Mój Boże, pomyślała zdjęta trwogą, naprawdę gotów to zrobić. Gotów zabić mojego synka...

- A widzisz? Tak jest o wiele lepiej. - Uśmiechnął się krzywo, kładąc rękę na rękojeści miecza. - Chodź z nami po dobroci, *ma belle*, a nikomu nic się nie stanie.

Osilek ruszył ku niej zdecydowanie, a jego cherlawy kompan stanął na czatach przy wejściu.

- Moje dziecko! - wrzasnęła Wenna, zasłoniwszy sobą kołyskę. - Nie pozwolę wam skrzywdzić dziecka!

- Nie chcemy twojego bachora, *ma belle*, tylko ciebie.

- Nie zostawię go!

- Nie ułatwiasz nam zadania, *ma petite*.

- Nie pójdę bez dziecka! Wpierw będziecie musieli mnie zabić!

Wielkolud skrzywił się, a jednooki wzruszył ramionami.

- Niech będzie. Skoro się upierasz, weźmiemy i małego. Za niego też nam zapłacą. Wdowa spojrzała na niego z przerażeniem.

- Zapłacą? Kto?

- Zaprzyjaźnieni kupcy z Tangeru. Nieźle się na tobie obłowimy, moja śliczna.

- Nie! - Wenna zrozumiała, że zbóje chcą sprzedać jej syna jako niewolnika. - Zrobię, co zechcecie, ale nie zabierajcie go! Zostawię go!

- Nic z tego, *ma petite*. Weźmiemy was oboje. Może to cię czegoś nauczy i następnym razem od razu zrobisz, co ci każe.

- Nie, proszę! Błagam! - Opadła na kolana i złożyła ręce jak do modlitwy.

Francuz wyszczerzył złośliwie zęby i wymierzył jej potężny policzek. Wenna straciła równowagę i upadła, uderzając głową o krawędź kołyski.

Gustaw zaklął od drzwi, a Barabasz pochylił się nad bezwładnym ciałem wdowy.

- Żyje? - zainteresował się obojętnie Pierre.

- Jeszcze dycha - odparł olbrzym.

- Bierz ją.

- A dzieciak?

- Dzieciaka też. Będzie posłuszna, jeśli jej obiecamy, że go nie zabijemy.

Ranulf sunął ostrożnie w dół zbocza, trzymając się w pobliżu dowódcy straży. Konie zostawili uwiązane na łące nieopodal strumienia. Pod nimi wzburzone fale rozbijały się o skały. Panował przejmujący chłód. Przemarzliby na kość, gdyby nie trudy niebezpiecznej wędrówki. Kasztelan wolałby zmierzyć się w pojedynkę z regularną armią, niż stąpać po stromiźnie, jednak nie okazał swoim ludziom, że zżera go strach. Gra była warta świeczki, przeczucie podpowiadało mu bowiem, że mają do czynienia z mordercami Hedyna i pozostałych. Nadarzała się sposobność, by ich pojmać, i nie zamierzał jej przepuścić.

Gareth przystanął i uniósł dłoń. Ranulf zrobił to samo i zaczął czekać, aż Kiernan i reszta zatrzymają się za jego plecami.

- Jeśli pójdziemy dalej, zauważą nas - rzekł Gareth. - Czekamy, aż się ściemni, czy schodzimy?

Na samą myśl o tym, że mieliby pokonać resztę drogi po omacku, de Beauvieux poczuł na plecach zimny dreszcz.

- Jeżeli nas spostrzegą, zdążą pierzchnąć na statek? - zapytał ostrożnie.

- Raczej nie, panie. Powinniśmy ich dopaść, nim ściągną łódkę z plaży.

- W takim razie odetchniemy chwilę i ruszamy.

Myghal tkwił na środku opustoszałej chaty, wpatrując się bezradnie w wywróconą kołyskę. Bez trudu domyślił się, co to oznacza. Wiedział też, co musi uczynić, by odzyskać ukochaną.

Jeden z przemytników odłączył się od towarzyszy i skierował ku skale nieopodal kryjówki, w której czekali na przybycie Pierre'a i reszty załogi. Przypiliło go i musiał pójść za potrzebą. Ziewnął szeroko i przeciągnął się, by rozprostować odrętwiałe członki. Był głodny, znużony i zły. Dość już miał beczynności, kiepskiego jadła i przekłetej angielskiej pogody. Nie pozwolono im nawet rozpalić ogniska na plaży. Gdy zaczął gmerać przy rozporku, usłyszał spadający ze zbocza kamień. Jak nic strącił go wiatr, pomyślał, bez skutku mocując się z węzłem u paska.

- Ki diabeł? - zaklął, kiedy przeleciał mu nad głową kolejny odłamek skały.

Może to lawina? - pomyślał i spojrzał w górę. W tym momencie Ranulf skoczył na niego i wprawnym ciosem powalił go bez życia na ziemię. Zaalarmowani kamraci nieszczęśnika poderwali się na równe nogi i po chwili namysłu postanowili salwować się ucieczką. Ranulf i jego ludzie mieli nad nimi znaczną przewagę liczebną, zapewne dlatego żeglarze uznali, że rozsądniej będzie czmychnąć. Rzucili się w te pędy do pozostawionej na brzegu łodzi. Na swoje nieszczęście trafili na niesprzyjającą falę. Ledwie znaleźli się w wodzie, dopadli ich żołnierze z Penterwell. Część przemytników sięgnęła po broń, reszta rozpierzchnęła się po nabrzeżu. Kasztelan posłał za nimi Garetha i pięciu innych, a sam stanął do walki u boku Kiernana i jego kompanii.

- Nie zabijajcie ich! - krzyknął do Penderstona. - Pojmijcie, ale zostawcie przy życiu. Trzeba się dowiedzieć, co to za jedni i czego tu szukają. - Z tymi słowami oddał się bez reszty temu, co umiał najlepiej.

- Poddaj się, a daruję ci życie! - zawołał, atakując człowieka z blizną na policzku. - Nie ma potrzeby, byś umierał!

Odpowiedział mu potok złorzeczeń wykrzyczanych w obcym języku. Pewno nie zna angielskiego, a jeśli tak, nie będzie z niego żadnego pożytku. Tak czy owak, należy się z nim rozprawić, uznał Ranulf. Skoncentrował się na obserwowaniu przeciwnika. Mistrz Leonard tysiącokrotnie powtarzał, że bitwy wygrywa się rozumem, a nie siłą. „Bądźcie cierpliwi i rozważni, odnajdźcie słabe punkty nieprzyjaciela, a pokonacie go bez wysiłku”, powtarzał.

Ranulf zauważył, że przemytnik niechlujnie trzyma miecz, a przy tym rusza się jak mucha w smole. Gdy tamten zamachnął się, zbyt wysoko unosząc ramiona, Ranulf dostrzegł swoją szansę, uskoczył i zwinnie uniknąwszy ciosu, uderzył żeglarza w głowę ręką ikością miecza. Przemytnik zatoczył się i upadł twarzą do ziemi.

Ranulf zaś odwrócił się, aby odejść w stronę łodzi. W tej samej chwili złapał się za lewy bok i poczuł między palcami krew. Zaskoczony uniósł głowę i spojrzał w twarz, z której spoglądało na niego jedno okrutne oko. Ten człowiek z pewnością wiedział, jak dzierżyć miecz i jak robić z niego użytek. Kasztelan zacisnął zęby i pomimo rozdzierającego bólu przygotował się do odparcia ataku.

Rozdział siedemnasty

Przeraźliwy wrzask lady Fontenbleu odbił się złowrogim echem od murów zamku. Bea nawet nie pisnęła. Na widok zakrwawionych mężczyzn wjeżdżających na dziedziniec kompletnie odjęło jej mowę. Gdy zobaczyła młodego Penderstona, który obejmował ramieniem bezwładne ciało Ranulfa, serce zamarło jej w piersi i omal nie zemdlała.

- Kiernan, jesteś ranny? - dopytywała się Celeste. - Co się stało?

Odpowiedział, lecz zwrócił się do poblądłej Beatrice.

- Natknęliśmy się w zatoce na statek przemytników. Próbowaliśmy ich pojmać. Udałoby się, gdyby raptem nie pojawili się ich kamraci. Sir Ranulf został ranny.

Ranny, pomyślała Bea, a więc żyje. Bogu niech będą dzięki! Natychmiast wróciły jej siły. Przywołała strażę i drżącym głosem nakazała im zanieść kasztelana do komnaty.

Tymczasem u jej boku pojawiła się Maloren.

- Święta Panienko! Co to będzie? - biadoliła, załamując ręce. - Moja biedna gołąbeczka!

- Daj spokój, nie ja jestem ranna, lecz Ranulf i niektórzy jego podkomendni. Potrzebuję pomocy. Znajdź mi czysty len na bandaże i przynieś gorącej wody. Czekam w izbie kasztelana.

Służąca pobiegła, by zrobić, co trzeba, a jej pani podeszła do Kiernana.

- Co się stało z owymi przemytnikami? - zapytała rzeczowo.

- Nie wiem, pani. Wycofaliśmy się, kiedy ranili Ranulfa, bo nagle zrobiło ich się dwa razy więcej niż nas.

Odwróciła się ku dowódcy straży.

- Gareth, proszę, poślij kogoś do wsi, niech każe mieszkańcom zebrać się na rynku. Przemówię do nich, gdy opatrzę sir Ranulfa. Zbyt długo byliśmy cierpliwi.

Jakie to szczęście, że rana nie jest głęboka, pomyślała Bea, przeciągając igłę przez przeciętą skórę. Cięcie biegło wzdłuż żeber, dzięki czemu nie ucierpiały żadne organy. Ranulf był wprawdzie nieprzytomny, ale domyślała się, że zemdlał na skutek upływu krwi. Pojękiwał z bólu, gdy skończyła zszywanie i posmarowała skaleczenie maścią z

głowienki. Użyła całej swojej wiedzy i wszystkich umiejętności, aby nie wdało się zakażenie. Pewno zostanie mu blizna, ale przynajmniej przeżyje, pomyślała z ulgą. Gdyby umarł, chyba sama oddałabym ducha z rozpacz...

Maloren krzątała się w pobliżu podenerwowana, ale, o dziwo, milcząca. Przyglądała się wyważonym gestom i opanowaniu podopiecznej, nie posiadając się z dumy. Jej ukochana gołąbeczka z dziewczątka przemieniła się w niewiastę.

- Gotowe - oznajmiła Beatrice i usiadłszy na stołku, otarła czoło. - Zrobiłam, co w mojej mocy.

- To najschludniejsze szwy, jakie kiedykolwiek oglądały moje oczy - uspokoiła ją piastunka. - Zobaczysz, że wydobrzeje.

- Obyś się nie myliła. - Bea podniosła się z miejsca i ruszyła ku drzwiom. - Zostań przy nim, a kiedy się zbudzi, poproś Teccę, by przyniosła mu stawę. Musi jeść, żeby wróciły siły.

- Nie będzie cię, gdy się ocknie?

- Mam nadzieję, że zdążę wrócić. Tymczasem muszę pójść do wioski i przemówić do rozumu mieszkańcom.

Bea popatrzyła na zgromadzony przed nią tłum i pomyślała o osłabionym, nieprzytomnym Ranulfie, który męczył się na łożu boleści.

- Mieszkańcy Penterwell! - powiedziała gromkim, zdecydowanym głosem. - Wasz kasztelan i jego zwiadowcy zostali zaatakowani na nabrzeżu, gdy próbowali schwytać cudzoziemskich przemytników. Zarówno on, jak i wielu innych cierpi z powodu ran, które odnieśli w walce. Sami wiecie najlepiej, że sir Ranulf od początku swego urzędowania stara się być dla was dobrym i sprawiedliwym panem. Tak jak wy był oburzony i przerażony z powodu mordu, którego dokonano tu na co najmniej trojgu zacnych ludziach. Na próżno jednak próbował dowiedzieć się od was, kto może ponosić winę za owe haniebne zbrodnie. Przymykał oko na rzeczy, którym nie musiał pobłażać. Robił to, ponieważ ma dla was wiele wyrozumienia. Pojmuje, czemu niektórzy nie przestrzegają krzywdzących królewskich dekretów. Niestety, nie odpłacacie mu tym samym. Nie może liczyć na waszą życzliwość ani na wasze zaufanie. Dzisiejsze

wydarzenia przelały czarę goryczy, jego własne życie i zdrowie zostały bowiem narażone na szwank, przeto z żalem oznajmiam wam, iż jego cierpliwość się wyczerpała, a czas wyrozumiałości skończył. Wzywam was, abyście poszli za głosem rozsądku i wyjawili mi wszystko, co wiecie na temat zabójstw, a także na temat żeglarzy, na których natknął się patrol kasztelana. Zważcie na to, że jeśli wspólnie nie zaprowadzimy w tych stronach porządku, to, co spotkało Gawena, Hedyna i Gwenbrithę, może spotkać także i was, albowiem złoczyńcy nie znają litości. Myślą wyłącznie o tym, jak się wzbogacić i jak dbać o własne interesy. Wasz los zupełnie się dla nich nie liczy. Co więcej, zabijają każdego, kto stanie im na drodze. Tedy proszę was, pomóżcie mi odnaleźć i ukarać sprawców, zanim spadnie na nas kolejne nieszczęście. Pomyślcie o rannym sir Ranulfie i o tym, jak cierpliwie czekał, aż choćby jeden z was znajdzie w sobie dość odwagi i mądrości, by się do niego zwrócić, nim sprawy zajdą za daleko.

Gdy Beatrice umilkła, przez chwilę słychać było jedynie piskliwe okrzyki mew. Miała nadzieję, że ktoś przemówi od razu, ale spotkał ją srogi zawód. Ludzie zaczęli między sobą szeptać, potem rozeszli się każdy w swoją stronę.

- Lady Beatrice?

U jej boku stanął Myghal.

- Tak? - odparła z nadzieją, że szeryf powie coś, co odrobinę złagodzi jej rozczarowanie.

- Idzie o małego Gawena, pani. Ma gorączkę, a Wenna odchodzi od zmysłów. Prosiła, bym cię sprowadził.

Bea troszczyła się o synka wdowy, ale tym razem się zawahała. Pragnęła jak najrychlej wrócić do domu na wypadek, gdyby ktoś z wioski jednak zdecydował się przemówić.

- Błagam, pani! Mały jest rozpalony i wymiotuje.

To przesądziło sprawę. Postanowiła, że jeśli choroba dziecka okaże się poważna, zabierze je wraz z matką do zamku. Nie zwlekając, ruszyli pospiesznie do chaty Wenny. Gdy dotarli na miejsce, Myghal przepuścił w drzwiach Beatrice. Natychmiast zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Nagle poczuła na plecach ostrze miecza.

- Ani słowa, pani.

Odwróciła się, by spojrzeć na szeryfa.

- Co robisz?! - zapytała oszołomiona, spoglądając ze zdumieniem na wymierzoną w siebie broń. - Odjęło ci rozum? Gdzie się podzieli Wenna i dziecko?

- Zabrali ich. Jest tylko jeden sposób, aby ich odzyskać. Siądź na stołku, pani, i bądź cicho. W przeciwnym razie będę musiał cię skrzywdzić, a nie chciałbym tego robić.

Bea nie wierzyła własnym uszom.

- Myghal, zastanów się, co czynisz. Jeśli zostali porwani, trzeba iść na zamek, zorganizować posiłki i wszcząć poszukiwania...

- Wiem, kto ich pojmał i gdzie są. Siadaj, pani.

A zatem intuicja jej nie myliła. Nie bez powodu często czuła się przy nim nieswojo. Czemu nie posłuchała instynktu? Dlaczego próbowała przekonać samą siebie, że nic jej z jego strony nie grozi? Cóż, zwiódł nie tylko ją. Uśpił także czujność Ranulfa, Hedyna i sir Frioca.

- Myghal, opanuj się - rzekła, spostrzegłszy, że wyjął zza pazuchy kawałek sznurka. - Związanie mnie w niczym ci nie pomoże. Chodźmy po pomoc. Weźmiemy strażę i znajdziemy ich...

- Nie! Zabiją ją, jeśli to zrobimy. Nie cofną się przed niczym, by zdobyć to, czego chcą, a chcą ciebie, pani.

- Mnie?! - wykrzyknęła. - Ale dlaczego? Po co? Dla okupu?

Merrick i Constance z pewnością mnie wykupią, pomyślała Bea, ale coś może pójść nie tak. Zaczęła się bać. Tymczasem Myghal skrepował jej ręce.

- Wypuść mnie, a pomogę ci sprowadzić Wennę i Gawena do domu - spróbowała jeszcze raz. - Postaram się, byś nie został ukarany. Wiem, że nie myślisz jasno, bo bardzo ją kochasz i jesteś zdesperowany.

- To wszystko przeze mnie. Najpierw dopadli ją, a teraz dostaną ciebie.

- Nie musi tak być. Jeszcze nie jest za późno.

- Owszem, jest! - wykrzyknął zniecierpliwiony. - Zamilcz wreszcie, pani. Jeśli nie przestaniesz mówić, zaknebluję cię.

Cóż, będzie musiał, stwierdziła w duchu.

- Ponoć znasz owych złoczyńców. Kim są? Czy to przemytnicy? Trzymasz z nimi od samego początku? Powiedz, pomogłeś im zgładzić Hedyna i Gwenbrithę? A może i Gawena?

- Milcz! - wrzasnął i wepchnął jej do ust zwiniętą chustkę. - Zabrali ją tylko po to, bym przyprowadził im ciebie. Jesteś dla nich o wiele cenniejsza. Oddadzą mi ją, kiedy zrobię to, czego żądają. - Szarpnął Beatrice za ramię i pociągnął do wyjścia. - Przykro mi, pani. Próbowałem znaleźć inny sposób, ale nie udało się. Wymienię cię za Wenne i jej synka. Jeśli im cię nie oddam, to ich sprzedadzą jako niewolników zamiast ciebie.

Zamiast mnie? Beatrice omal nie zemdląła, słysząc, jaki los ją czeka. Przeraziła się jeszcze bardziej, gdy przypomniała sobie, że Ranulf jest ranny, prawdopodobnie nadal leży bez przytomności w łożu. Kto przyjdzie jej z pomocą? Kto ją wyratuje? Ile czasu upłynie, zanim w Penterwell zorientują się, że przytrafiło jej się coś złego? Maloren, pomyślała nagle. Cała nadzieja w niej. Piastunka z pewnością niebawem podniesie larum i pobiegnie do Garetha i Kiernana. Zaczną jej szukać. Ludzie na rynku widzieli, że odeszła z Myghalem w stronę domu Wenny. Przyjdą tu, a kiedy się zjawią, powinni znaleźć coś, co im powie, że wzięto ją siłą. Szeryf odwrócił się, aby wyrzeć na podwórzu. Korzystając z chwili nieuwagi Myghala, Beatrice zsunęła but i zostawiła go za sobą.

Ranulf powoli otworzył oczy. Był w swojej komnacie w zamku. Wokół panował mrok rozświetlony jedynie wątlm płomieniem świecy. Zdaje się, że już wieczór, pomyślał, a jednocześnie poczuł ból w boku. Nagle wszystko sobie przypominał: jednookiego zbója, zdradzieckie ostrze jego miecza i krew...

- Och, Ranulfie, nareszcie doszedłeś do siebie!

Spojrzał w urodziwą twarz Celeste i natychmiast zaczął się zastanawiać, dlaczego to nie Bea się nad nim pochyla.

- Bardzo cię boli? - zapytała z troską.

- Trochę - skłamał gładko, choć miał wrażenie, że ktoś przypieka mu żebra. - Gdzie Bea?

Lady Fontenbleu zmarszczyła czoło i odwróciła się, by zmoczyć kompres.

- Poszła do wsi.

- Do wsi? Po co?

- Żeby przemówić do mieszkańców i zażądać, aby pomogli jej znaleźć przemytników, którzy was napadli. Sądziłam, że będzie chciała otoczyć cię czułą opieką jak przystoi niewieście, ale ona wołała wymaszerować stąd niczym generał. Dalibóg, nie mogłam się nadziwić. Prawdziwa dama by tak nie postąpiła. Właśnie powiedziałam Kiernanowi, że ja nigdy nie zrobiłabym czegoś podobnego.

Istotnie, to do ciebie zupełnie nie pasuje, pomyślał Ranulf, oczami wyobraźni widząc Beatrice raczącą Kornwalijszyków gniewną perorą.

- Bardzo ucierpiałem?

- Trzeba było zaszyć ranę. Omal nie padłam zemdlona, gdy zobaczyłam zakrwawione bandaże. Przekonywałam lady Beatrice, że należy posłać po medyka, ale uparła się, że robi to sama. Doprawdy nie pojmuję, czemu naraziła cię na takie ryzyko. Co ona wie o leczeniu?

- Całkiem sporo, uwierz mi. - Spróbował się podnieść.

- Zdaje się, że jeszcze nie pora wstawać.

- Daj spokój, szyto mnie wcześniej nieraz. - Był odrobinę słaby na skutek upływu krwi, ale ogólnie czuł się nadspodziewanie dobrze, a tak niewiele brakowało, by zginął...

- Co z przemytnikami? Schwytaliśmy ich?

- Kiernan powiada, że na moment przed tym, jak cię ranili, pojawiła się reszta bandy. Zyskali nad wami znaczną przewagę liczebną, więc zarządził odwrót.

- Kto? Kiernan?

- A któż inny? Ty nie byłeś w stanie.

- Ale Gareth był. To on jest dowódcą straży. Poradziłby sobie bez trudu. A może i on ucierpiał?

- Nie. Kilku innych odniosło lekkie obrażenia, ale to nic poważnego. Wiedz, że to właśnie Kiernan odparł atak tego, który omal cię zabił. Powinieneś być mu wdzięczny.

- I jestem, teraz gdy już o tym wiem. Najwyraźniej nie doceniałem jego waleczności i kunsztu.

- Może napijesz się wina? - zapytała udobruchana Celeste. - Maloren przyniosła też chleb i odrobinę mięsa.

Nie miał apetytu, ale wiedział, że aby odzyskać siły, musi coś zjeść.

- Tak, chyba wypadałoby się posilić.

Gdy odeszła po tacę, sięgnął do bandaża. Wyczuwał nieznaczny zapach ziołowej maści. Był przekonany, że Bea opatrzyła go jak należy. A niech to, szkoda, że nie było mu dane zobaczyć i usłyszeć, jak wygłasza orędzie do mieszkańców. Uśmiech zamarł mu na ustach, kiedy drzwi otworzyły się z impetem i do izby wpadła Maloren.

- Nie ma jej! Zniknęła! Moja gołąbeczka przepadła na wieki!

- Kasztelanowi nie wolno przeszkadzać - pouczyła ją wyniośle lady Fontenbleu. - Musi wypoczywać.

Ranulf usiadł ciężko, próbując nie zważać na rozdzierający ból w boku. Serce waliło mu jak młotem, a duszę ścisnął strach, jakiego jeszcze nie zaznał.

- I po cóż robić takie poruszenie? - rzuciła pogardliwie Celeste. - Poszła do wsi.

Maloren posłała jej wrogie spojrzenie.

- Poszła, ale nie wróciła. Już dawno powinna być w zamku.

De Beauvieux wygrzebał się z pościeli i stanął chwiejnie na nogach. Był niemal kompletnie nagi, lecz niewiele sobie z tego robił.

- Podaj mi miecz i odzienie.

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie Celeste. - Nie wolno ci wstawać. - Z trudem oderwawszy wzrok od kasztelana, zwróciła się do Maloren: - Dokąd mogła się udać?

- Nie wiemy, ty durna kłepo! - rozsierzdziła się piastunka. - Gdybyśmy wiedzieli, nie sądzilibyśmy, że przytrafiło jej się coś złego.

Ranulf puścił ten wybuch mimo uszu. Nie było chwili do stracenia.

- Gdzie Myghal i Kiernan?

- Kiernan pojechał jej szukać, co do szeryfa, jeszcze go dziś nie widziałam.

- Pewnie jest z Kiernanem. Natychmiast do nich dołączę.

- To szaleństwo! - krzyknęła Celeste. - Jesteś jeszcze bardzo słaby. Nie pozwolę ci!

- Nie potrzebuję twojej zgody - odparł gniewnie. - Jadę odnaleźć Beę. Sam diabeł mnie przed tym nie powstrzyma.

- Niech cię Bóg błogosławi, panie! - wykrzyknęła ze wzruszeniem Maloren. Potem pobięła w te pędy do kufra z ubraniami i uniosła wieko. - Wiem, że ją znajdziesz. Moja gąska nic a nic się co do ciebie nie myliła. Nie dziwota, że się w tobie zakochała. Wprawdzie jesteś rudy, ale co mi tam! Jakoś to przeboleję.

- Czemu utykasz, pani? - spytał podejrzliwie Myghal, gdy przemierzali ścieżkę wiodącą na plażę.

Beatrice dyszała ciężko, próbując za nim nadażyć. Uniosła głowę i spojrzała na niego, jakby postradał rozum. Z kneblem w ustach trudno jej było wydobyć z siebie głos, zresztą, nawet gdyby mogła mówić i tak nie pisnęłaby ani słowa.

Westchnąwszy niecierpliwie, szeryf pchnął ją na ziemię i chwycił za pokaleczoną stopę, którą zakrywała jedynie podarta pończocha.

- Zgubiłaś but - zauważył odkrywco.

A żebyś wiedział, pomyślała złośliwie. Podniósł ją z powrotem na nogi i powiedział z wyrzutem:

- Nie ułatwiasz mi zadania, pani, ale wiedz, że twoje wysiłki na niewiele się zdadzą. Oddam cię Pierre'owi, choćbym miał zawlec cię do niego siłą, w przeciwnym razie nigdy nie odzyskam Wenny i Gawena.

Ranulf prędzej czy później go dopadnie i każe mu słono zapłacić za to, co mi zrobił, pomyślała Bea. Zawsze to jakaś pociecha.

Niebawem dotarli do ukrytej między skałami niewielkiej łodzi z pojedynczym masztem. Oczyma wyobraźni Bea ujrzała siebie tonącą w bezkresnej otchłani fal. Cóż, zapewne lepiej byłoby skończyć na dnie morza niż w haremie jakiegoś okrutnego sułtana. Postanowiła się nie poddawać. Będzie się bronić, póki starczy jej sił. Wyrwała się zaskoczonemu Myghalowi i zamiast wsiąść do łodzi, usiadła na kamieniu. Nie pójdzie z nim po dobroci, postanowiła.

- Wstawaj! - wykrzyknął, bez skutku usiłując ją podnieść.

Zaparła się z całych sił i długo nie dawała za wygraną.

- Nie chcę cię skrzywdzić, pani.

Nie zareagowała, więc wyjął miecz, po czym szarpnął ją za ramię i zmusił, by stanęła na nogi. Był tak rozeźlony i rozstrojony, że nie zauważył, kiedy zsunęła ukradkiem drugi but. Pociągnął ją za sobą i wepchnął bez ceregieli na łódkę.

Poślizgnęła się i upadła, uderzając o ławkę. Poczowała przeszywający ból w żebrach i zrobiło jej się ciemno przed oczami. Zacisnęła powieki. Nie pozwolę, by o władnął mną strach, powiedziała sobie w duchu. Przetrwam, a Ranulf mnie odnajdzie.

Myghal rozwinął żagiel i siadł na rufie. Wkrótce wiatr popchnął ich przez spienione fale ku oczekującym w umówionym miejscu przemytnikom.

TLR

Rozdział osiemnasty

Ranulf pokonał pospiesznie schody, na wszelki wypadek trzymając się poręczy. Maloren biegła przed nim, a Celeste kroczyła dostojnie za jego plecami. W oświetlonej wielkiej sali zebrali się żołnierze strzegący zamku oraz zaniepokojona służba. Był wśród nich także wzburzony i pobladły Kiernan. Wystarczyło spojrzeć na jego zaszępienie oblicze, by w lot pojąć, że Beatrice się nie odnalazła.

Kasztelan zebrał się w sobie i wyprostowawszy ramiona, zbliżył się do zgromadzonych.

- Ani śladu? - zwrócił się zwięźle do Kiernana.

Młody rycerz wskazał stół. Piastunka podążyła za jego wzrokiem i pisnęła wniebogłosy. De Beauvieux spojrział na pozostawiony na blacie przedmiot i z miejsca rozpoznał but Bei.

- Gdzie go znaleźliście?

- W chacie niejakiej Wenny. Mieszkańcy wioski powiedzieli nam, że lady Beatrice odeszła w tamtą stronę z szeryfem.

- Co wam powiedziała Wenna?

- Chata była pusta.

Ranulf zmarszczył brwi, czując na plecach dreszcz trwogi na myśl o tym, co spodziewał się zaraz usłyszeć.

- Ona i jej dziecko również zniknęli? - zapytał ze ściśniętym gardłem.

- Niestety, ale obawiam się, że to jeszcze nie wszystko - odparł Kiernan. - Przepadł także szeryf.

- Szeryf? Jak to? Jego też pojmano?

Gareth postąpił naprzód i rzekł, nie kryjąc wzburzenia:

- Lady Beatrice widziano ostatni raz właśnie z nim. Jeden z wieśniaków doniósł mi, że wraz z Myghalem zniknęła jego łódź. Sądzymy, że wypłynął nią na spotkanie z innym statkiem.

Kasztelan zaklął, pomstując w duchu. Przypomniawszy sobie, że Bea nieraz czuła się przy Kornwalijszym nieswojo, lecz kiedy mu o tym wspomniała, zlekceważył jej

obawy. Czemu ufał bez zastrzeżeń człowiekowi, którego nie znał? I to do tego stopnia, że mianował go szeryfem. Zastanawiał się tylko, dlaczego młodzian uprowadził także WENNĘ i jej dziecko. Gdyby porwał jedynie Beatrice, byłoby oczywiste, że uczynił to z powodu jej niepośledniej urody. Cóż, nieistotne co nim powodowało, teraz liczyło się wyłącznie to, aby jak najszybciej odnaleźć niewiasty.

- Niewykluczone, że jest w zмовie z przemytnikami, z którymi walczyliśmy rano - podsunął Kiernan. - Zapewne to z nimi ma się spotkać. Posłałem na nabrzeże kolejne patrole. Mają sprawdzić całą plażę w zasięgu dziesięciu mil.

- Tym razem miejscowi powiedzieli nam wszystko, co wiedzieli - wtrącił dowódca straży. - Wszyscy lubią WENNĘ i darzą wielkim szacunkiem lady Beatrice. Chcą je odzyskać całe i zdrowe tak bardzo jak ty, panie.

Z pewnością nie tak bardzo jak ja, pomyślał de Beauvieux. Troszczył się o los WENNY i GAWENA, ale Bea była mu najdroższą istotą pod słońcem, nikt nie kochał jej bardziej niż on, nikt nie potrzebował jej do życia tak jak on. Nie mógł jej stracić. I nie straci, przyrzekł sobie w duchu. Kiedyś wmawiał sobie, że uczucia, a zwłaszcza ich okazywanie, to oznaka słabości. Dziś to miłość do Bei dodawała mu siłę i popychała do działania; sprawiała, że zapominał o bólu i strachu.

- Przeszukamy pobliskie trakty i wrzosowisko, a potem obejdziemy jeszcze raz nabrzeże - oznajmił nieznośnym sprzeciwu tonem. - Być może przeoczyliśmy jakiś ważny ślad.

Kiernan i Gareth wymienili spojrzenia.

- Wszyscy pragniemy je jak najprędzej odnaleźć - odezwał się Kiernan - ale rozum nakazuje poczekać do świtu.

- Nie dbam o to, że już po zmierzchu! - zareagował gwałtownie Ranulf. - Weźmiemy pochodnie. Zbierzcie tych, którzy nie pełnią warty. Połowa pojedzie konno, połowa pójdzie piechotą.

- A jeśli natkniemy się na złoczyńców w środku nocy? - zaprotestował Kiernan. - Chcesz się z nimi bić po ciemku? To szaleństwo!

- Dla Beatrice gotów jestem zstąpić do piekieł i potykać się z samym Belzebubem.

Łódź brnęła mozolnie do przodu. Bea łudziła się, że nieprzychylny prąd zmusi Myghala, aby zawrócił do brzegu, lecz wkrótce porzuciła nadzieję. Zmokła i zmarzła. Choć nigdy przedtem nie odczuwała tak przemożnej trwogi, użyła całej siły woli, by zachować względny spokój. Postanowiła nie tracić głowy. Wiedziała, że dopóki nie opuszczą wybrzeża Kornwalii, dopóty może liczyć na ratunek.

Trzymając się kurczowo siedziska, rozmyślała o ukochanym. Czy doszedł do siebie? Czy wie, że zniknęła? A może wyruszył już na poszukiwania i trafiwszy do domu Wenny, odnalazł jej trzewik? Nie, pewno odłożą pościg do jutra... Byle tylko nie próbował dosiąść konia. Dobrze знаła Ranulfa, nie wyobrażała sobie, by zdołał siedzieć z założonymi rękoma i czekać na wieści od swoich ludzi. Będzie obstawał przy tym, żeby jechać wraz z nimi. Gotów przemierzyć wzdłuż i wszerz cały świat, aby ją ratować. Modliła się gorąco, by nie zrobił sobie przy tym krzywdy. Nie miałyby po co żyć, gdyby zginął, próbując wyrwać ją z rąk oprawców.

Gdy w końcu dobili do statku piratów, Myghal ustawił łódź równolegle do burty i przywiązał ją zrzuconą z góry liną.

- Podejź tu, pani - rozkazał podniesionym głosem. Musiał niemal krzyknąć, by zagłuszyć hulający wiatr. - Przewiążę ci sznur wokół talii, żeby mogli wciągnąć cię na pokład.

Pokręciła głową.

- Nie próbuj stawiać oporu. To na nic. Jeśli nie pójdziesz po dobroci, sami po ciebie zejdą i raczej nie będą delikatni.

Bei zrobiło się niedobrze, gdy wyobraziła sobie, że obmacują ją ich obmierzłe łapska. Podeszła chwiejnie do szeryfa.

- Bardzo mi przykro, pani - rzekł, wyjąwszy jej z ust knebel. - Za nic nie podniosłbym na ciebie ręki, ale nie mam wyboru.

Nie dbała o jego przeprosiny i nędzne tłumaczenia.

- Strzeż się - powiedziała, obrzucając go wzgardliwym spojrzeniem. - Ranulf wkrótce cię odnajdzie i zabije.

Myghal zacisnął węzeł i zawołał:

- Gotowe! Zaczynajcie!

Uniosła się w powietrzu niczym worek mąki. Gdy znów stanęła na nogach, otaczał ją tłum odrażająco niechlujnych mężczyzn. Jednemu z nich brakowało oka. Niedługo po niej na nadburciu pojawił się Myghal. Zignorowała go i skoncentrowała się na odpychającym jednookim typie.

- Jak mniemam, jesteś kapitanem?

Wyszczerzył zęby w obleśnym uśmiechu.

- Nie inaczej, jaśnie pani. - Skłonił się przesadnie nisko. - Pierre de Lessette, do usług. Witam na pokładzie.

- Skoro tak, zechciej zdjąć te więzy. Ranią mi dłonie.

- Och, naturalnie - odparł z drwiną. - Nie możemy na to pozwolić. - Wyjął zza pasa wąski sztylet i zbliżył się do Bei na tyle, że poczuła nieznośny odór wina, dziegciu i potu.

Poczuła mdłości. Odetchnęła dopiero, gdy przeciął pęta, które krępowały jej nadgarstki.

- Jeżeli masz odrobinę oleju w głowie - oznajmiła, rozcierając obolałe ręce - porzuć nieczne plany i każ odwieźć mnie i Wenę z powrotem na brzeg. W przeciwnym razie kasztelan Penterwell, lord Merrick z Tregellas oraz sir Henry z Ecclesford znajdą was choćby na końcu świata i wybiją do nogi.

Francuz zaśmiał się donośnie, jakby usłyszał przedni dowcip.

- *Mon Dieu*, piękna i krewka, słowo daję. Wielka to szkoda, że nie mogę zatrzymać cię dla siebie. Radzę ci jednak, byś darowała sobie czcze groźby. To mój statek i rządę na nim niepodzielnie, a co do owych rycerzy, o których raczyłaś wspomnieć, niestraszni mi oni ani żadni inni. Kiedy sprzedamy ciebie, tę drugą i jej bachora, będziemy żyć w dostatku do końca naszych dni daleko stąd, w Marsylii. Tam nikt nas nie będzie szukał.

- Miałaś oddać Wenę mnie! - wykrzyknął oburzony Myghal, podbiegając do Pierre'a. - Taka była umowa. Obiecałeś, że jeśli sprowadzę lady Beatrice...

- Zełgałem - oznajmił spokojnie herszt bandy.

Zdesperowany szeryf rzucił się na niego z gołymi rękami, choć wiedział, że staje do nierównej walki. Pomagierzy kapitana odciągnęli go w mgnieniu oka i powalili na ziemię. Bea skorzystała z zamieszania i wychyliła się za burtę. Nie była już związana, mogłaby skoczyć do wody i odpłynąć łodzią Kornwalijszyka. Tyle że musiałyby

zostawić Wenę i Gawena na pastwę owych bestii, które chciały uczynić z nich niewolników.

Tymczasem Myghala podniesiono na nogi. Miał rozciętą głowę i rozplątany policzek. Po jego twarzy spływała strużka krwi.

- Jak mówiłem - odezwał się złowieszczo de Lessette - to ja sprawuję rządy na tym statku i nikt nie śmie mi się sprzeciwić. Jako że nigdy nie wrócimy w te strony, na nic nam się już nie zdasz, mości panie szeryfie - Z tymi słowy wbił Myghalowi nóż w brzuch po samą rękojeść. Szeryf jęknął i padł bezwładnie na pokład.

Bea odwróciła głowę. Nie potrafiła przyglądać się spokojnie, jak go mordują. Po policzkach spłynęły jej łzy.

- Wyrzućcie to ścierwo do morza - rozkazał Francuz, chwyciwszy za ramię Beatrice. - Pozwól pani, pragnę pokazać ci moją kajutę.

- Kiernanie, błagam cię, opamiętaj się! - wołała rozpaczliwie wdowa Fontenbleu, przyglądając się, jak jej nowy ukochany poprawia popręg. - To szaleństwo! - Dziedziniec tonął w ciemnościach, oświetlany jedynie kilkoma pochodniami. - Będziecie iść po omacku! Możecie ugrzęznąć na mokradłach albo w ruchomych piaskach! Zaklinam cię...

- Wolałabyś, żebym został i czekał tu z założonymi rękami? - rzucił ostro, odwracając się, by na nią spojrzeć. - Bądź spokojna, nie kocham Beatrice, ale jest mi drogą przyjaciółką. Nie zostawię jej samej sobie w tak trudnej sytuacji. Lady Constance miłuje kuzynkę, okrutnie by cierpiała, gdyby jej nie odnaleziono.

- Bardziej dbasz o lady Constance niż o mnie? Pomyślałeś, co ja będę czuła, jeżeli przytrafi ci się coś złego? Naturalnie, że nie pomyślałeś, w takim razie powiem ci, serce mi pęknie, jeśli cię stracę!

Kiernan rozejrzał się dookoła i zniżył głos do szeptu.

- Darzę cię wielkim uczuciem, Celeste - zapewnił gorliwie. - Dałaś mi najwspanialszą noc mojego życia, ale muszę pomóc w poszukiwaniach. Proszę cię, zrozum, że nie wypada mi postąpić inaczej.

- Obiecuj chociaż, że będziesz ostrożny...

- Dobrze, obiecuję, że będę na siebie uważał i wrócę do ciebie cały i zdrowy.

Zajrzał w jej piękne zatroskane oczy. Bała się o niego. Dzielili ze sobą łożę, ale połączyło ich znacznie więcej niż zwykła namiętność. Był pewien, że mimo tak krótkiej znajomości zakiełkowało między nimi gorące uczucie, które przy odrobinie starania rozkwitnie jak piękny kwiat. Celeste sporo w życiu wycierpiała. Potrzebowała domu i opieki silnego mężczyzny, on zaś pragnął jej ciepła, miłości i podziwu. Wiedział, że mogą dać sobie wiele. Nie zdoławszy oprzeć się pokusie, wziął ją w ramiona i przytulił. Chciał jej pokazać, jak wiele dla niego znaczy. Nie bacząc na to, czy ktoś im się przygląda, pocałował ją żarliwie w usta.

Bea potknęła się i upadła, gdy Pierre wepchnął ją bez ceremonii do ciemnej kajuty. Poderwała się momentalnie, gotowa gryźć, bić i kopać, gdyby próbował jej dotknąć.

- Lady Beatrice! - wykrzyknęła ze zdumieniem Wenna.

Tkwiła skulona w kącie izby, przyciskając dziecko do piersi. Miała podrapaną twarz i rozdartą suknię.

Beatrice zlustrowała ukradkiem pomieszczenie w poszukiwaniu czegoś, czego mogłaby użyć jako broni. Niestety, komnata okazała się niemal całkowicie pozbawiona mebli i jakiegokolwiek innego wyposażenia. Mogła posłużyć się jedynie krzesłem. Przysunęła się chyłkiem do stołu, lecz nie uszło to uwagi Francuza.

- Co robisz, pani? Chcesz rozbić mi na głowie któryś ze sprzętów?

Zamarła.

- Sama widzisz, z jaką łatwością przejrzałem twój zamiar. Zdaje się, że nie jesteś aż tak bystra, za jaką cię uważałem.

- Prędzej uwierzę, że nieraz rozgruchotano na tobie mebel. To by tłumaczyło ów dar przewidywania.

- Niejedna przed tobą próbowała odwieść mnie od tego, co sobie umyśliłem. Wiedz, że żadnej dotąd się nie udało. Tobie też radzę zaprzestać wysiłków. - Uniósł sztylet i obejrzał jego ostrze w wąłym blasku świecy. - Chyba że nie dbasz o los tej płaksy i jej potomka. Jeśli nie zechcesz słuchać mnie we wszystkim po dobroci, oboje stracą życie w nader nieprzyjemny sposób.

Wenna jęknęła żałośnie, a Gawen zaczął kwilić.

- Uciszyć tego bachora albo zaraz go ukatrupię! - wrzasnął de Lessette, wykrzywiając szpetnie twarz.

Wdowa rozsznurowała drżącymi rękami staniki i przystawiła synka do piersi.

- Nareszcie. Najwyższa pora, byśmy doszli do porozumienia, pani.

- Do porozumienia? - Bea zmusiła się, by spojrzeć na kapitana. - Nie mam zwyczaju paktować z przemytnikami i mordercami.

- Zmień zwyczaje, w przeciwnym razie ta podróż będzie dla ciebie istną torturą. Rób, co ci każe, a nie spotka cię nic złego.

- Poza tym, że kiedy dotrzemy do celu, zostanę niewolnicą? Iście kusząca perspektywa.

Pierre przysiadł na krawędzi stołu.

- Jeżeli nie będziesz posłuszna, każe ci spać w kubryku. Moi ludzie będą zachwyceni, a ciebie kilka nocy z załogą oduczy krnąbrności.

Na samą myśl o tym, co by jej zrobili, Beę ogarnęła fala mdłości. Za to jej umysł pracował na zdwojonych obrotach. Uznała, że prośbami o litość niczego nie wskóra. De Lessette to człowiek całkowicie pozbawiony ludzkich odruchów, uznała. Dla takich jak on liczą się jedynie zyski i pełna sakwa.

- Wydadaj mnie tym ordynusom, a niewiele na mnie zarobisz - odrzekła. - Teraz przynajmniej jestem dziewicą - skłamała gładko. - Jak miemam, dla właściciela haremu to nie lada gratka. Z pewnością da ci za mnie o wiele więcej, jeżeli zachowam cnotę.

Francuz zmarszczył brwi. Jej słowa najwyraźniej dały mu do myślenia.

- Chcesz się wzbogacić, radzę ci traktować nas dobrze. Nie tylko mnie, lecz także Wenę i Gawena. Ona jest urodziwa i młoda, a chłopiec silny i zdrowy. Wyrośnie na krzepkiego mężczyznę. Jeśli zamierzasz nas katować i głodzić, równie dobrze już teraz możesz odesłać nas do domu.

- Gadasz, jakbyś sama kupczyła ludźmi - zakpił z lekceważącym uśmiechem.

- Wiem, czym się różni służący, o którego się dba, od takiego, którym się pomiata. Ot i wszystko.

Pierre podszedł i zbliżył twarz do twarzy Beatrice.

Cofnęła się mimo woli.

- Może jednak powinienem zatrzymać cię dla siebie?

- A jak wytłumaczysz się z tego kamratom? Powiesz im, że nagle zmieniłeś zdanie? Że naraziłeś ich na niebezpieczeństwo bez powodu? Nie wydaje ci się, że zażądają zadośćuczynienia?

Roześmiał się z niejakim podziwem i potrząsnął głową.

- *Sacre coeur*, znasz się na mężczyznach, pani. - Zmrużył oko i przyjrzał jej się podejrzliwym wzrokiem. - Ciekawy jestem, jakim to sposobem zdobyłaś ową rozległą wiedzę? Twierdzisz, że jesteś nietknięta...

- Niewiasta nie robi się rozumniejsza od obcowania z mężczyzną. A co do twojej załogi, cóż, nietrudno ich przejrzeć. Wiedz, że mój ojciec był jednym z najchciwszych i najprzebieglejszych ludzi w całym królestwie. Długie lata spiskował i bratał się z takimi jak wy, by osiągnąć upragniony cel. Od dziecka widywałam sprzedajnych rębajłów, którzy dbają wyłącznie o własną kieszeń, i wysłuchiwałam najrozmaitszych knowań. Własny rodzic zadbał o to, bym nauczyła się obłudy.

Francuz wpatrywał się w Beę. Niewątpliwie usiłował ją przejrzeć, lecz wciąż nie mógł się zdecydować, czy wziąć jej słowa za dobrą monetę.

Beatrice spostrzegła jego wątpliwości i przystąpiła do kolejnego natarcia. Postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

- Zdaje się, że nie wzięłeś pod rozwagę jeszcze jednego istotnego szczegółu. Nie pomyślałeś o tym, że ten, któremu pragniesz mnie sprzedać, będzie opływał w bogactwa, a ludzie majątni mają tę wadę, że są wielce wpływowi. Pieniądze to władza. Dzięki nim można wszystko. Ja zaś, jak sam byłeś łaskaw zauważyć, mogę się poszczycić nie tylko niepoślednią urodą, lecz także niepospolitą zmyślnością. Nie od dziś wiadomo, że piękne niewiasty czynią z mężczyzn bezwolnych głupców. Możesz być pewien, że znajdę sposób, by zwrócić swego nowego pana przeciwko tobie. Uczynię z niego twego najzagorzalszego wroga.

- Niestraszne mi twoje groźby, durna dziewczko - skwitował ze wzgardą Pierre. - Będę z dala od was, w Marsylii. Jego władza nie sięgnie aż tak daleko.

Spojrzała na niego z politowaniem.

- Tacy jak on nie mszczą się sami, mają najemników. Bądź pewien, Pierre, bez wysiłku przekonam sułtana, żeś łotr nad łotrami. Uraczę go wzbudzającą litość opowieścią o tym, do czego mnie zmuszałeś i jakich dopuściłeś się wobec mnie niegodziwości. Będzie jadł mi z ręki. - Mówiła z niezachwianym przekonaniem, puszczając wodze wyobraźni. - Niewiasty mają na to swoje sposoby. Zrobi wszystko, o co go poproszę. Chyba w to nie wątpisz? Staniesz się w jego oczach wcielonym diabłem. Rozdepcze cię jak robaka, sądząc, że wyświadcza bliźnim przysługę. Dla pewności wmówię mu, że w dodatku jesteś szpiegiem, opłaconym, by obalić władców w jego kraju. Nie sądzę, by mu się to spodobało. Będzie chciał zapobiec katastrofie i każe cię zgładzić.

- Na miłość boską, jestem przemytnikiem, nie szpiegiem! - zirytował się de Lessette, na próżno próbując odzyskać nad sobą panowanie. - Nigdy nie najmowałem się u monarchów ani tym bardziej u wielmoży! Zresztą nic mi nie zrobi, bo będę na drugim końcu świata.

- W Marsylii - odrzekła spokojnie. - Tam właśnie go za tobą pošlę. Powiem, że nim wypłynąłeś w morze, niczym pajak utkałeś misterną sieć intryg przeciw jego państwu. Powtórzę mu to, co rzekomo usłyszałam na statku o złocie, które obiecano ci w zamian za podżeganie do buntu, i o tym, że naśmiewałeś się z jego wiary.

- Nie ośmielisz się!

- Nie ośmielę się? A cóż mnie przed tym powstrzyma? Nie będę miała nic do stracenia. Zapewnię sułtana, że jest niezrównanym kochankiem i że podbił tym moje serce. Majętni mężczyźni są zazwyczaj bardzo próżni.

- Odjęło ci rozum? - Pierre wbił w nią zdumione i wystraszone spojrzenie, po czym zaczął wycofywać się w stronę drzwi.

Bea zbliżyła się do niego z rozsierdzoną miną. Zamieniła się ze zwierzyny w drapieżnika.

- Nie zawaham się spełnić groźby. Chciałeś uczynić ze mnie niewolnicę, aby się wzbogacić. Zrobię co w mojej mocy, byś zginął w męczarniach.

- Zamknij się wreszcie, bo cię zabiję! - wrzasnął bez opamiętania Francuz, unosząc sztylet.

- Zabijesz mnie? - zadrwiła bezlitośnie. - A co powiesz załodze? Sądzisz, że moja śmierć powstrzyma sir Ranulfa, lorda Merricka i sir Henry'ego przed okrutną zemstą?

- Zważ to sobie dokładnie - włączyła się raptem Wenna. - Ludzie z Penterwell nie puszcza wam tego płazem. Domyślili się, że to wy dopuściliście się zabójstw. Znają ciebie, twój statek i twoich ludzi. Jeśli zabijesz lady Beatrice, wydadzą cię kasztelanowi. Pewnie już to zrobili. Pojmałeś ich panią. Już jesteś martwy!

De Lessette popatrzył na nie w niemym przerażeniu, po czym obrócił się na pięcie i wybiegł na korytarz.

TLR

Rozdział dziewiętnasty

Ranulf trzymał się w siodle wyłącznie siłą woli. Wolałby iść piechotą i wraz z innymi szukać śladów, lecz nie śmiał zsiąść z konia z obawy, że zemdleje. Gdyby mógł, przeczesałby każdy skrawek ziemi na kolanach, byle tylko znaleźć wskazówkę, która zaprowadziłaby go do Bei.

- Ranulfie! - Kiernan pędził ku niemu na złamanie karku z przeciwnej strony traktu. - Znaleźliśmy drugi but!

- Gdzie?

- Trzy mile stąd. Na skale, tuż przy brzegu. Ponoć rzadko cumuje się tam łodzie, ale jeden z wieśniaków wczoraj o zmierzchu widział w pobliżu francuską barkę.

- Panie! - zawołał niespodziewanie Gareth. - Widzę coś na plaży. Wygląda jak topielec!

Dobry Boże, modlił się kasztelan, spraw, żeby to nie była Beatrice. Przywoławszy jednego ze swoich ludzi, wsparł się na jego ramieniu i wkrótce postawił stopy na ziemi.

- To Myghal - stwierdził dowódca straży, gdy podeszli do miejsca, w którym spostrzegł bezwładne ciało. - Pochylił się, by sprawdzić na szyi puls. - A niech mnie! Żyw, dycha jeszcze!

- Dajcie go tu! - polecił de Beauvieux.

Niebawem wyłowiony z wody Kornwalijszczyk leżał u jego stóp.

- Myghal! - krzyknął i spróbował ocucić nieprzytomnego, wymierzając mu policzek. - Myghal!

Po chwili szeryf zamrugał i rozchylił powieki.

- Gdzie są niewiasty? I mały Gawen?

Młodzieniec skrzywił się z bólu i znów zamknął oczy. Kasztelan rozchylił poły jego tuniki i natychmiast ujrzał krwawiącą ranę w brzuchu. Dźgnięto go nożem i wrzucono do morza.

- Co zrobiłeś lady Beatrice? - odezwał się podniesionym głosem.

- Spróbuj tego - włączył się Kiernan, wręczając mu bukłak z winem.

Ranulf rozchylił usta szeryfa i wlał w nie odrobinę trunku. Pomogło. Myghal zakrztusił się i zakasłał.

- Mów, gdzie jest lady Beatrice! - powtórzył de Beauvieux.

- Na statku Pierre'a - odparł z wysiłkiem ranny. - Wybacz mi, panie. Musiałem mu ją wydać. Miał Wenę. - Po jego policzku spłynęła łza. - To on zabił Gawena, Hedyna i Gwen... - Urwał i z trudem złapał oddech.

- Dokąd chce je zabrać? Do Francji?

- Nie... - Słabł z każdą minutą.

Zniecierpliwiony kasztelan chwycił go za ubranie i gwałtownie nim potrząsnął.

- A więc dokąd?

- Do... Tangeru... na targ... niewolników.

Chryste! - pomyślał przerażony Ranulf. Tymczasem Myghal nieoczekiwanie odzyskał siły i uczepił się jego koszuli.

- To wszystko moja wina - wymamrotał mu wprost do ucha. - Zapłaciłem Francuzowi, żeby zgładził Gawena. Pragnąłem pozbyć się rywala. Kochałem Wenę, ale ona wolała swojego rybaka. - Westchnął ciężko i opadł z powrotem na ziemię. - Odpuść mi winy. Nie chciałem nikogo skrzywdzić.

De Beauvieux wiedział, co znaczy złamane serce i urażona duma. Rozumiał nieszczęsnego Kornwalijczyka aż za dobrze.

- Odpuszczam ci.

- Oby i Bóg mi wybaczył - rzekł szeryf i wyzionął ducha.

- Wybacz ci. Jest miłosierny.

Ranulf podniósł się z wysiłkiem i przywołał Garetha. Odnajdzie Beę i ocali ją. Nikt i nic go przed tym nie powstrzyma, choćby miał płynąć na drugi koniec świata, nie spocznie, póki nie wyrwie jej ze szponów szubrawca, który podniósł na nią rękę.

- Będzie mi potrzebna porządna łódź - oznajmił.

- W porcie kotwiczy spory starek kupiecki - odrzekł dowódca straży. - Dość szybki, by doścignął piracką barcę, ale nadciąga sztorm...

Kasztelan rzucił mu nieprzejednane spojrzenie i dosiadł konia.

- Jadę z tobą - obwieścił Kiernan, stając u jego boku.

- My też - przytaknął Gareth. - Niestraszna nam burza, gdy idzie o uratowanie lady Beatrice.

Ranulf trzymał się kurczowo relingu, tocząc nierówną walkę z chorobą morską. Statek kołysał się niemiłosiernie na boki, a jemu z każdą kolejną falą coraz bardziej zbierało się na wymioty. Był zziębnięty, przemoczony i dokuczał mu rozdzierający ból w boku. Czuł się jak wrzucony w sam środek jednego z własnych koszmarów. Znalazł się na pełnym morzu, w dodatku podczas sztormu. Zdany na łaskę bezlitosnego żywiołu, spoglądał z przestachem na wzburzone wody, jakby te miały go pochłonać.

Kiernan podszedł do niego chwiejnym krokiem.

- Kapitan mówi, że tylko pirat albo człowiek niespełna rozumu wypływa w taką wichurę.

Kasztelan milczał. Obawiał się, że jeśli otworzy usta, natychmiast zwróci resztki posiłku.

- Na szczęście, płyniemy z wiatrem - ciągnął Kiernan. - W przeciwnym razie ów kupiec za nic nie użyczyłby nam statku ani załogi.

- Gdyby się nie zgodził, nie miałby czego szukać w tutejszych portach. Jak prędko ich dogonimy?

- Nie wiem, ale sternik robi, co w jego mocy.

Nagle z bocianiego gniazda dobiegło wołanie:

- Jest! Widzę piracką barkę!

Ranulf wychylił się i spojrzał we wskazanym kierunku. W jego sercu wezbrała nadzieja.

- Idę po ciebie, Beo - szepnął i od razu poczuł się lepiej.

- Wszystkie żagle w górę! - zawołał z za steru Pierre.

- Zbyt mocno wieje! - odwrzasnął Barabasz. - Powyrywa je z masztów! Trzeba podpłynąć bliżej brzegu.

- I pozwolić, żeby nas dogonili? - Francuz obejrzał się przez ramię. - Już jesteśmy blisko brzegu.

Olbrzym skrzywił się, nie kryjąc złości. Po jego twarzy spływały strugi deszczu.

- Mówiłem ci, że owe niewiasty sprowadzą na nas nieszczęście. Wszyscy przez ciebie zginiemy, chciwy głupcze!

De Lessette zmierzył go nienawistnym spojrzeniem.

- Miarkuj się! Wciąż jestem tu kapitanem!

Nagle powietrze przeszył krzyk i jeden z marynarzy przepadł za burtą.

- Widzisz?! To przez ciebie, psi synu! - krzyknął rozeźlony osiłek. - Oddawaj ster!
- Odepchnął Francuza i skierował barkę ku lądowi.

- Co robisz, durniu? Nie znasz tego wybrzeża tak dobrze jak ja! Rozbijesz nas na skałach!

- Wiem, że w pobliżu jest zatoczka. Przekiekamy w niej sztorm.

- Postradałeś zmysły?! - pieklił się Pierre. - Nie możemy tam zacumować. Znajdą nas i wszyscy zawiśniemy na stryczku!

- Nic nam nie zrobią - odparł Barabasz. - Wyrzniemy ich do nogi. - Wpatrzony w horyzont nie zauważył sztyletu, który jednym wprawnym cięciem rozplątał mu gardło. Nie usłyszał już łomotu, gdy jego martwe ciało padało na pokład, nie poczuł też uderzenia, gdy burta barki rozbiła się o skałę.

- Osiedli na mieliźnie - stwierdził Kiernan.

Ranulf domyślił się, że kadłub statku został uszkodzony i że jeśli szybko doń nie dotrą, fale roztrzaskają go do reszty, a pasażerowie przepadną w otchłani wody. Nie dopuści do tego. Zrobi wszystko, by Bea wyszła z tej opresji żywa.

Ponaglił kapitana i przywołał łuczników. Na szczęście, zbliżyli się do pirackiej barki szybko i bez większych przeszkód. Upewniwszy się, że na pokładzie nie ma niewiast, kasztelan dał rozkaz do wystrzelenia pierwszych strzał. Przemytnicy padali jak muchy. Ci, którzy uniknęli śmierci, dobyli mieczy i przygotowali się do walki.

Wkrótce de Beauvieux i jego ludzie za pomocą bosaków przyciągnęli swój statek na bezpieczną odległość, po czym zaczęli przeskakiwać na barkę piratów.

Gdy Ranulf odzyskał równowagę po skoku i stanął pewnie na nogach, otaczało go trzech zdesperowanych zbójców. Mimo przewagi liczebnej nie mieli szans. Trafili na rozjuszonego nieprzyjaciela, który gotów był oddać życie za ukochaną, i walczył, nie

zważając na ból ani na ściekającą z policzka krew. Nie było czasu na finezję, liczyła się skuteczność. Pierwszy z piratów padł raniony w ramię, pozostali dwaj odskoczyli zaatakowani przez Kiernana i resztę kompanii z Penterwell.

Tymczasem za plecami kasztelana pojawił się uzbrojony w sztylet de Lessette. Na swoje nieszczęście Pierre nie przewidział, że jego przeciwnika nigdy nie zawodzi instynkt. Ranulf wyczuł ruch, odwrócił się odruchowo i ciał Francuza przez pierś. Ten jęknął zaskoczony, zachwiał się i wypadł przez reling do morza. Przez chwilę wymachiwał rękami, na próżno próbując utrzymać się na powierzchni, potem zniknął przykryty ogromną falą.

De Beauvieux zauważył, że zejścia pod pokład strzeże dwóch członków bandy. Ruszył na nich bez namysłu wspomagany przez Kiernana. Gdy obaj bandyci legli martwi u ich stóp, puścili się biegiem przez korytarz. Tymczasem statek zachwiał się i osunął o dobrych kilka cali.

- Bea! Bea!

- Ranulfie! Tutaj! Jesteśmy tutaj! - rozległo się z wnętrza jednej z kajut.

Mimo osłabienia i bólu, Ranulf uderzył całym ciałem w drzwi. Drewniana konstrukcja puściła pod naporem jego mięśni i powstał w niej potężny wyłom.

- Jesteś ranny! - zawołała Beatrice, spostrzegłszy ranę na jego policzku.

- To nic. Prędko. Zaraz pójdziemy na dno!

Wyszarpnęli jeszcze kilka desek, by powiększyć otwór. Niebawem Bea znalazła się po drugiej stronie i natychmiast padła w ramiona ukochanego. Żadne z nich nie wyrzekło ani słowa. Nie potrafili wyrazić tego, co czuli. Przytulili się do siebie, po czym kasztelan oddał Beę w ręce Kiernana, a sam pomógł Wennie.

Wkrótce wszyscy stanęli razem na dziobie przy prowizorycznej kładce z belki, którą połączyli dek barki ze statkiem pożyczonym od kupca.

- Ty pierwsza, Beatrice - rzekł Ranulf. - Przejdź na czworaka albo przeczołgaj się na brzuchu.

- Nie, najpierw Wenna i Gawen - odparła stanowczo.

Nawet nie przyszło mu do głowy, by jej się sprzeciwić.

- Gareth - zwrócił się do dowódcy straży - podam ci dziecko, a ty przekażesz je komuś z naszej załogi.

Kilku strażników przytrzymało kładkę z jednej strony, o przeciwległy koniec zatroszczyli się łucznicy. Jeden z nich siadł okrakiem za Garethem i odebrawszy od niego niemowlę, objął je ramieniem. Potem przesunął się z wolna w tył, pomagając sobie drugą ręką.

- Bogu niech będą dzięki! - wykrzyknęła z ulgą pobladła ze strachu Wenna, gdy malec wylądował bezpiecznie po drugiej stronie.

Dowódca straży wrócił na baręk, żeby pomóc kobietom.

- Pani - odezwał się do Beatrice.

- Nie, teraz Wenna - oparła categorycznie, ujmując za rękę Ranulfa.

Ścisnąwszy jej dłoń, kasztelan skinął głową.

W końcu przysła kolej na nią. Zerknęła przelotnie na spienione wody i zaczerpnęła głęboko tchu. Potem weszła na belkę i bez wahania przeszła na klęczkach na pokład statku. Kilka kolejnych minut okazało się dla niej istnym koszmarem. Statek piratów tonął coraz szybciej, a Ranulf uparł się, że zejdzie z niego ostatni. Wiedziała, że tak postąpi, ale serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, gdy zaczął przechodzić z wolna po chybliwej kładce. Myślała o jego lęku przed wodą i błagała stwórcę, by dodał mu odwagi. Oby starczyło mu sił, modliła się żarliwie.

Był blady jak płótno, miał zaciętą minę i cały czas spoglądał przed siebie albo na nią. Ani razu nie spojrział w dół. Wreszcie po nieskończonej długim oczekiwaniu stanął na pokładzie i znów mogła go objąć. Tulila go do serca, aż poczuła, że robi się coraz cięższy. Zemdlał i osunęli się razem na ziemię.

Rozdział dwudziesty

Gdy Ranulf otworzył oczy, zorientował się, że leży we własnym łóżu w Penterwell. Niestety, Bea nie siedziała przy nim. W pobliżu nie było nawet Celeste. Pojawił się za to lord Tregellas we własnej osobie.

- Nareszcie przyszedłeś do siebie - rzekł, spoglądając ponuro na przyjaciela. - Najwyższa pora.

De Beauvieux spróbował usiąść. Zakręciło mu się w głowie i syknął z bólu, chwytając się za obolały bok.

- Gdzie jest Bea?

- Masz na myśli moją podopieczną, lady Beatrice?

- A kogóż by innego? Co z nią?

- Nic jej nie jest - zapewnił Merrick. - Nabiła sobie kilka siniaków i poraniła stopy, poza tym jest cała i zdrowa. W każdym razie usta jak zwykle jej się nie zamykają.

- W takim razie... dlaczego jej tu nie ma?

- Uznałem, że potrzebujesz ciszy i spokoju, choć wyznam, że nieźle się natrudziłem, żeby ją od ciebie odciągnąć. Nie chciała cię zostawić ani na chwilę, nawet wtedy, gdy zajęła się tobą Constance. Puściły ci szwy. Trzeba było zaszyc na nowo. Przekonywaliśmy ją po stokroć, że nie umrzesz. Na dobitkę Maloren uderzyła w lament. Wykrzykiwała, jak to źle cię oceniła. Dasz wiarę? Oniemiałem ze zdumienia, gdy na koniec stwierdziła, że jeśli odejdziesz z tego świata, będzie to kara za jej grzechy, i że nigdy sobie tego nie daruje. Do tej pory ani ja, ani moja żona nie możemy pojąć, co ją napadło. Powiadam ci, to nie ta sama niewiasta...

Że też akurat teraz zebrało mu się na gadanie, pomyślał Ranulf.

- Merrick, zlituj się i powiedz, gdzie ona jest!

- Śpi, mam nadzieję - odparł Tregellas. - Biedulka była zupełnie wycieńczona. Podejrzewam, że Constance uspiła ją jakąś miksturą, w przeciwnym razie trajkotałaby do upadłego. Jak się zapewne domyślasz, zdążyła zdać nam ze wszystkiego szczegółową relację. - Przechylił głowę i przyjrzał się przenikliwie rozmówcy. - Wyglądasz mi na uszczęśliwionego, a ponoć bardzo cierpisz z powodu ciężkich obrażeń.

Ranulf podźwignął się i oparł plecy o poduszki.

- Co z Wenną i dzieckiem?

- Wyszli z tego bez szwanku. - Merrick poprawił się na krześle i zerknął krzywo na swoją nogę, która wciąż była w łubkach i bandażach. - Przyznasz, że niezła z nas para - zauważył z przekąsem.

- Jakim cudem się tu znalazłeś? Bea mówiła, że nie wolno ci dosiadać konia.

- Ani słowa o tym. Musiałem spędzić całą drogę w wozie, imaginujesz sobie? Niczym zniedołężniały starzec. Tfu, nigdy więcej.

- Przynajmniej nie popełniłeś tylu głupstw, co ja. Bracie, okazałem się ostatnim durniem. Zaufałem Myghalowi, a on...

- Później o tym pomówimy. Idę o zakład, że sir Leonard ma ci sporo do powiedzenia.

- Chcesz mu o tym napisać?

- Nie muszę, jako że jest w twoim zamku.

- I owszem - rozległ się od progu znajomy głos. - Dowiedziałem się o tobie arcy-ciekawych rzeczy, mój chłopcze - oznajmił de Brissy, podchodząc do łóżka. - Podobno stoczyłeś bitwę na morzu. Zaiste, zdumiewające to nowiny. Gdy usłyszałem o tym od Merricka, pomyślałem, że biedaczysko wziął rozbrat z rozumem.

- Ratowałem lady Beatrice, ot i wszystko - odparł de Beauvieux. - Poznałeś ją, mistrzu?

- A jakże, przedstawiła mi się w nader osobliwy sposób. Jak tylko usłyszała, kim jestem, rzuciła mi się na szyję i niemal mnie zadusiła. - Zmarszczył brwi, ale w jego mądrych oczach czaił się uśmiech. - Zaczna z niej panna, jako żywo.

- Najzaciejsza na świecie. Kocham ją z całej duszy i jeśli Merrick da zgodę, chcę ją poślubić.

Mentor spojrział ze zdumieniem na obu wychowanków.

- Wiedziałem, że coś jest na rzeczy - oznajmił z satysfakcją lord Tregellas. - Wreszcie powiedziałeś coś mądrego, przyjacielu. Constance od dawna zatruwa mi tym życiem. Obawiała się, że nigdy nie zaczniesz zabiegać o rękę jej kuzynki. Co gorsza, za-

zwyczaj ubolewała nad tym w chwilach, gdy miałem nadzieję, że będziemy robić coś zgoła przyjemniejszego od rozmowy.

Ranulf oblał się rumieńcem.

- Jak się domyśliła?

- Niewiasty już tak mają. Kto by tam za nimi trafił? Wiedziała i już. Od wielu miesięcy jest przekonana, że powinniście się pobrać. A po co przysłał mi tu Beatrice, jak nie po to, żebyście wreszcie przestali wodzić za sobą oczami i zabrali się do rzeczy?

- Uknuliście spisek? - zachichotał ubawiony sir Leonard. - Sam bym tego lepiej nie wymyślił.

- Zanim się rozzłościysz, Ranulfie, wiedz, że nie ja na wpadłem na ów koncept. Moja umiłowana małżonka nie wtajemniczyła mnie w swoje plany. Wzięła się na sposób i dowodziła, że tylko Beatrice może przyjść ci z pomocą. Dotąd przekonywała i wierciła mi dziurę w brzuchu, aż ustąpiłem. - Merrick ciężko westchnął. - Cóż, uległem pod presją. Każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo, chociaż zupełnie mi się to nie podobało. Nie godzi się, żeby niezamężna panna podróżowała samotnie i składała wizyty mężczyźnie. Niestety, moja pani okazała się nieugięta. Zresztą, gdybym się nie zgodził, Beatrice zatrułaby nam życie ciągłym sarkaniem i utyskiwaniem na moją rzekomą nieczułość.

- Co też ty opowiadasz? - obruszył się Ranulf i stanął w obronie ukochanej - Bea nigdy nie narzeka.

- Może i nie, ale ani chybi weszło by jej to w zwyczaj. Gdy idzie o ciebie, staje się krnąbrna i nieobliczalna. Ubrdała sobie, że cierpisz tu niewygody i że umrzesz z głodu, jeśli cię nie poratuje. Tak czy owak, Constance miała nadzieję, że wreszcie porzucisz dumę i wyznasz jej kuzynce miłość.

- Prawda, zawsze byłeś dumny i uparty, chłopcze - wtrącił de Brissy.

- To nie duma ani upór mnie powstrzymywały - tłumaczył się de Beauvieux. - Jestem biedny jak mysz kościelna. Beatrice mogłaby znaleźć sobie godniejszego męża.

- Wątpię - zaprotestował Leonard. - Zapominasz, że jest napiętnowana jako córka zdrajcy.

- Nie znasz jej, mistrzu. Ma wiele przymiotów. Jest nie tylko urodziwa, lecz także dobra i mądra. Wyznaje się na leczeniu przeróżnych dolegliwości i znakomicie prowadzi dom. A ja? Cóż mogę jej dać? Chyba tylko miłość i dozgonne oddanie. Zapytaj Merricka, sam ci powie, że chciałby dla niej korzystniejszego zamążpójścia...

Tregellas powstrzymał go gestem dłoni.

- Daj pokój, Ranulfie. Zachowaj te deklaracje dla wybranki. Pannom schlebia, gdy się im mówi, że nie jest się ich godnym. Co do mnie, czemu, do diaska, miałbym nie chcieć jej wydać za najwierniejszego przyjaciela? Dzięki tym zaślubinom staniesz się moim powinowatym. Będziesz mi prawdziwym bratem. Nie musisz się martwić o brak majątku. Mam nadzieję, że zgodzisz się pozostać kasztelanem Penterwell. Jeśli odmówisz, jak nic czeka mnie bunt. Za murami zebrały się tłumy, które z niecierpliwością nasłuchują wieści o twoim zdrowiu. Przybiegli, gdy znosili cię ze statku. Beatrice darła się wniebogłosy, żeby zrobili przejście. Wiedziałem, że jest gadatliwa, ale nie sądziłem, że potrafi tak wrzeszczeć.

Mistrz de Brissy zaśmiał się i pokiwał głową.

- W rzeczy samej. Płuca ma nie do zdarcia. Poza tym mogła trafić znacznie gorzej. Wy dwaj i Henry jesteście najlepszymi spośród tych, których kiedykolwiek szkoliłem, pod każdym względem. Nie idzie mi wyłącznie o wojenne rzemiosło. Jestem z ciebie dumny, Ranulfie. Rodzony syn nie przyniósłby mi większej chluby niż ty.

De Beauvieux ogarnęło wzruszenie. Leonard zaczerwienił się podejrzanie i podszedł pośpiesznie do drzwi.

- Wracam do wielkiej sali. Chcę się rozmówić z dowódcą straży.

- Rad jestem go widzieć - odezwał się kasztelan, gdy został sam na sam z przyjacielem - Zastanawiam się, czemu przyjechał.

- Nie wiesz? - zdziwił się Merrick. - Jesteś jego oczkiem w głowie. Zawsze tak było, jest i będzie. Gdy posłaliśmy umyślnego z wieścią, że jesteś ranny, wsiadł na konia i jechał całą noc i cały dzień, żeby cię zobaczyć. Miłuje cię jak własnego syna, ot co. - Uśmiechnął się krzywo i dodał: - Wyznam, że Henry i ja nie możemy pojąć dlaczego.

Ranulf wcale się temu nie dziwił. Już dawno uzmysłowił sobie, że mistrz de Brissy troszczy się o niego bardziej niż o innych wychowanków.

- Znał za młodu moją matkę. Chyba się kochali, ale rodzina wydała ją za innego. Tregellas zmarszczył brwi.

- Kiedyś przyszło nam do głowy, że w istocie możesz być jego synem.

- Wiele bym za to dał, ale, niestety, to nieprawda - odparł kasztelan. - Po ślubie ojciec trzymał matkę w zamknięciu. Nigdy więcej nie spotkała Leonarda. Poza tym stary de Beauvieux i ja jesteśmy podobni jak dwie krople wody. Wystarczy raz spojrzeć, by się przekonać, że to on mnie spłodził. Pomówmy o czymś przyjemniejszym. Kiedy zobaczę się z Bea?

Merrick pochylił się ku niemu z zasepioną miną.

- Jako że przyjaźnimy się od dawna, postanowiłem rozmówić się z tobą otwarcie. Pewien jesteś, że chcesz się z nią ożenić? Powiedz szczerze, jak na spowiedzi. Gładka i rozumna z niej dziewczyna, nie przeczę, ale zważ na to, że jeśli ją poślubisz, do końca swoich dni nie zaznasz chwili ciszy i spokoju, to pewne jak amen w pacierzu.

De Beauvieux uśmiechnął się z rozmarzeniem na wspomnienie upojonej nocy z ukochaną. Nigdy w życiu nie doświadczył takiego spokoju i ukontentowania jak wtedy, gdy leżał w jej ramionach.

- Nie martw się, jakoś to zniosę. Zresztą, milczenie jest przeceniane. Twoja własna małżonka też nie jest szczególnie potulna i układna, prawda?

- Racja - zaśmiał się Tregellas. - A zatem na kiedy wyznaczyć datę ślubu?

- Jak najszybciej - zapalił się Ranulf. - Choćby i zaraz.

Bea spodziewała się ujrzeć u wezglowia Constance lub Maloren, lecz zamiast kuzynki czy służącej zobaczyła gładko ogolonego rudowłosego mężczyznę ze świeżą raną na policzku. Wyglądał młodo i bardzo znajomo, a jego brązowe oczy lśniły.

- Ranulf?! - Niewysłowiona radość natychmiast ustąpiła miejsca szczerzej trosce. - Skąd się tutaj wziąłeś? Powinieneś leżeć i odpoczywać, inaczej nie wydobrzejesz. Jesteś ranny. Mogłeś zginąć! Nie wolno ci jeszcze wstawać. Nie pojmuję, czemu Constance ci na to pozwoliła. Jak długo spałam? Zaraz wszystkiego dopilnuję. - Usiadła i postawiła stopy na podłodze. - Poczekaj, poślę po...

- Bea...

- Szelma, musiała dosypać mi do wina czegoś na sen. Jak mogła wypuścić cię z łóżka? Zmyję jej za to głowę.

- Bea...

- Sądziłam, że lepiej się tobą zajmie. W końcu to moja kuzynka. Och, nawet nie przypuszczasz, jak bardzo się ucieszyłam na widok jej i Merricka. Wiesz, że przyjechał także mistrz de Brissy? Przezacny to jegomość.

- Bea! - przerwał jej podniesionym głosem Ranulf.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami i rychło zapomniała o Tregellasach i o Leonardzie.

- Wiedziałam! - wykrzyknęła przerażona. - Przeczuwałam, że tak to się skończy! Bardzo cię boli? Nie frasuj się. Wnet temu zaradzimy. Zawołam Maloren albo...

- Na Boga, nie! - zaprotestował gwałtownie, a potem się uśmiechnął i ujął jej dłonie w swoje. - Nie potrzebujemy nikogo i nic mi nie dolega. Jestem tylko słaby i odrobinę obolały. Nie ma się czym martwić. Musieliby mnie związać, żebym do ciebie nie przybiegł, więc po namyśle puścili mnie po dobroci. Spójrz tylko, jesteśmy sami.

Rozejrzała się, po czym zmarszczyła brwi.

- Merrick pozwala nam przebywać sam na sam?

- Widać uznał, że nie ma w tym nic złego. Skoro dał zgodę na ślub...

Beatrice wydała z siebie okrzyk radości i odsunęła pierzynę. Zamierzała rzucić się ukochanemu na szyję, ale w sam czas przypomniała sobie o jego ranie.

- Jak twój bok? Puściły ci szwy.

- Wiem, Merrick mi powiedział. Prawdę mówiąc, boli jak licho, ale za to usta mam zdrowe. Nie zaszkodzi, jeśli mnie pocałujesz. - Posadził ją sobie na kolanach. - Tak, pocałunek mnie uzdrowi.

- Skoro tak, mój panie, chętnie służyć. - Z zapalem podała mu usta. Jakiś czas później oderwała się od niego i upewniła: - Merrick i Constance nie mają nic przeciwko temu, byśmy się pobrali?

- Nic a nic. Co więcej, zdaje się, że twoja kuzynka od dawna planowała nas połączyć. To dlatego pozwoliła ci ratować mnie w biedzie.

Bea sprawiała wrażenie wstrząśniętej.

- Chciała nas zeswatać? Nie może to być...

- Cóż, najwyraźniej takie przyświecały jej intencje.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Cokolwiek nimi powodowało, zawsze będę im wdzięczna za to, że pozwolili mi przyjechać do Penterwell.

- Ja również.

Objęła go za szyję i złożyła głowę na jego ramieniu.

- Jestem najszczęśliwszą niewiastą pod słońcem.

- A ja najszczęśliwszym mężczyzną w całej Anglii, najmilsza Beo - odparł, całując ją w policzek. - Obawiam się jednak, że od dziś nie będziesz już cierpieć z powodu nieodwzajemnionej miłości - zażartował. - Kto wie, czy kiedyś za tym nie zatęsknisz.

Posłała mu niewesołe spojrzenie.

- Nie lubiłam tej ciągłej niepewności. Miałam nadzieję, że w końcu mnie pokochasz, ale się niecierpliwiłam. A czasem, kiedy myślałam, że w ogóle o mnie nie dbasz, popadałam w czarną rozpacz.

- Postaram się, byś już nigdy nie wątpiła w moje uczucie - obiecał, składając na jej ustach gorący pocałunek. - Co dzień będę cię zapewniał o dozgonnej miłości.

- A ja dopilnuję, byś już nigdy nie był samotny, najdroższy Ranulfie.

Epilog

Ranulf i Bea niebawem powtórzyli słowa przysięgi przed obliczem Boga. Z czasem kasztelan Penterwell i jego małżonka zasłynęli z tego, że ich dom wypełniały radość, szczęście i zadowolenie. Gospodyni lubiła raczyć gości barwnymi opowieściami o tym, jak to została uratowana z rąk okrutnych oprawców przez męża oraz sir Kiernana Penderstona. Pytany o owe wydarzenia kasztelan wolał snuć gawędy o przemyślności swej połowicy, jej fortelu z butami i o tym, jak skłoniła porywacza, by ten z własnej woli uciekł z kajuty.

Kiernan poślubił lady Celeste. Stworzyli udane stadło i spłodzili kilka nad wyraz urodziwych córek. Jedna z nich wyszła potem za Gawena, słynnego na całe królestwo męznego rycerza, który zaczynał jako giermek, a następnie przyboczny sir Ranulfa z Penterwell.

Wenna przyjęła oświadczyzny dowódcy straży, Garetha, i otworzyła gospodę znaną z wybornych pasztecików. Zarówno im, jak i ich dziatkom wiodło się niezgorzej, choć żadne mimo pokus i licznych sposobności nie zhańbiło się przemytnictwem.

Kasztelan i jego żona również wydali na świat potomstwo, całą gromadkę niesfornych urwisów o rudozłoty lokach. Niektóre miały błękitne oczy, inne brązowe, za to wszystkie były bystre i przemyślne. Chłopcy zasłynęli z biegłości we władaniu mieczem oraz z ciętego dowcipu. Zjednywali sobie panny przystojnymi twarzami, postawnymi posturami i żarliwą naturą. Ich urodziwe i krewkie siostry wsławiły się poczuciem humoru i gadatliwością, niewątpliwie odziedziczoną po rodzicielce. Lady Bea nie wyzbyła się skłonności do wesołej paplaniny. Nawet gdyby próbowała, jej mąż nigdy by na to nie przystał.

